ZBIÓR POWIEŚCI TOM XIII.

SZAŁAWIŁA.

STAROSZLACHECKA POWIEŚĆ

przez

B. BOLESŁAWITĘ.

Connubia sunt fatalia......
Śmierć i żona — przeznaczona.

TORUŃ.
NAKŁADEM F. T. RAKOWICZA.
1870.

Druk J. Buszczyńskiego w Toruniu.

SZAŁAWIŁA.

Staroszlachecka Powieść

przez

B. Bolesławitę.

Connubia sunt fatalia......
Śmierć i żona — przeznaczona.

TORUŃ.
NAKŁADEM F. T. RAKOWICZA.
1870.

Druk J. Buszczyńskiego w Toruniu.

W małym, zwykle drzemiącym miasteczku, którego szczęśliwi mieszkańce dla wynalezienia sobie jakiegokolwiek zajęcia zmuszeni są przypatrywać się tworzeniu obłoków i robić spostrzeżenia metereologiczne, a jeśli przypadkiem coś przerwie zwykłą monotonią życia, jeśli coś zaszumi, zabłyszczy, — ozwie się głosem niezwykłym i porządek codzienny zmięsza, cóż to za uroczystość dla biednych mieszkańców i jaka pociecha, jaki materyał obfity do długich postrzeżeń i nieskończonej gawędy. Prawdziwe święto choćby w dzień powszedni! Wszystkie gospodynie na progu, (niestety! od kipiących garnków oddalić się niepodobna, a i dzieci krzyczą w kołyskach) — wszyscy gospodarze kapoty nadziawszy wychodzą w ulice, a dzieci, przednie straże i tyraliery puszczają się aż na sam teatr wypadku... dla dostania języka... Najczęściej ów

śmielszy pułk bosonogich przypuszcza szturm zbitym legionem i odparty cofa się do płotów w należytym porządku, aby za chwilę wrócić z wrzaskiem ku przedmiotowi ciekawości swojej!

Hej! hej! panowie moi! Komu się w życiu trafiło ulicznikować za młodu, o chłodzie i głodzie, szyby wybijać, wróble wykręcać, i należeć do jaśnie wielmożnego tłumu — choć to były ciężkie czasy, krwawemi częstokroć wspomnieniami oznaczone — ileż to potym razy w szczęśliwszych chwilach z westchnieniem i łzą się ich nie pożałowało! Bo młodość wszystko ozłaca... bo naówczas... ale do porządku! do porządku!!

Jesteśmy właśnie w takiej mieścinie spokojnej, godzina wieczorna, słońce ma się ku zachodowi, bydło z pola powraca... o tej porze już wszystko tu zwykło się zabierać do spoczynku... a przecież w okolicy parafialnego, starożytnego kościoła objawia się jeszcze ruch jakiś coś zwiastujący niezwyczajnego... pogrzeb czy wesele?...

Przez murowaną bramę wiodącą na cmentarz przedkościelny, widać drożynę wysypaną piaskiem żółtym i zielonym tatarakiem...

Gdyby to miał być pogrzeb, dróżka wysypana by była żałobną posiekaną jedlinką...

A więc jedno z dwojga, chrzest znakomitego potomka rodziny lub weselisko...

Nie ma przytym ani bractw ani chorągwi... *Evoe*! więc z pewnością wesele!

Dwóch sławetnych panów mieszczan w granatowych długich kapotach, czapki wysokie z siwego barana na głowie, częstują się tabaką przed furtą, rozglądając do koła, kilku obdartych chłopców powłaziło na mur kościelny aby dalej widzieli: dziad o kuli i baba z garnuszkiem pod łachmany ukrytym zabrali miejsca u samego wnijścia, aby ich nie pominięto... W miasteczku, jak zajrzeć, co chata to gosposia w progu, jedne ręce u czoła trzymają od blasku, drugie w boki się wzięły dla powagi...

Jeden ze śmielszych wędrowców dostał się na gałąź starej lipy i z tego obserwatoryum, popatrzywszy na gościniec ku polu — krzyknął:

— Jadą!!

— Jadą!! jadą!! słyszycie jadą! powtórzyły echa... Tłum przeszły dreszcze spokojne.. ulicami elektryczna przebiegła wieść... Jadą!! Oczy zwróciły się na drogę... W istocie tuman kurzu ogromny... ale z za tumanu nic nie widać... tylko tętni, huczy, brzęczy... klaska coś...

Mieszczanie ustąpili z drogi; dziad i baba przybliżyli się do furty... dziećmi ciekawość jak wiatr miota, to się rzucą w prawo, to w lewo, a śmicją się, a popychają a kuksają... taka radość... żc się coś niewidzianego zobaczy... Nagle i cisza! jak mak siał... Tuman się rozstąpił, kawalkata wychodzi z jego łona i — dalipan jest popatrzeć na co!! Naprzód konni, chłop w chłopa, od karmazynów, atłasów, a konie w rzędach najsutszych, a na głowach kity i kołpaki, a u boków szable... a ostrogi u bótów... a pod szyjami koni pukle, a u panów karbunkuły... Daj go katu... Choćbyś nie chciał, to tu pana młodego poznać musisz — najładniejszy ze wszystkich... jeno mu okrutna kresa przez łeb zawadza... blizna czerwona... Ale z tym młodemu ładnie, znać, że za piecem nie siedział... Za państwem dwornia i czeladka, koniki niczego i suknie od święta... a jest tego nie mało... I konie i ludzie w kupie brykać skłonni, więc to wszystko śmieje się, gzi, parska, wierzga, huczy, a konie stają dęba, a chłopcy czapki do góry rzucają... ochota taka, że aż miło...

Niekiedy starszy szlachcic huknie wiwatem, drudzy mu zawtórują... a brzuchy się trzęsą, a pasy złotemi fręzlami drżą... i z końca w koniec kawalkata cała niby jedno ciało

śmiechem i krzykiem wtóruje... Przed kościołem kilku w powietrze wypaliło z pistoletów.

Nuż za niemi drudzy, kto głośniej wypali, chłopcy miejscy ze strachu poszli za mur. Mieszczanie z respektem się cofają... wróbli całe stado spłoszone poleciało na tok plebański...

Gospodynie z progów zabierają się do rejterady. — Bo kto zaręczy, że się jakiemu szlachcicowi kula nie zamięszała do pistoletu, a ręka mu nie drgnie i ołowianka nie poleci... gdzie się być nie spodziewała.

Ale otóż już z koni zsiadają przed furtą, a dalej i powozy ciągną...

Stare to jeszcze kolebki na pasach, otóż jest jedna kareta nowa bardzo piękna — stare skarbniczki, wózki, bryki... wszystkiego dosyć...

Bo na szlacheckim weselu im tego więcej a ogon się dłużej ciągnie, tymci lepiej... i do ostatniego podjezdka ze stajni trzeba wydobyć na taką okazyą, choćby nieborak na przewody zdechł.

Dopieroż z kolebek, z karety, z wózków starszyzna się wysadza i rubrony wysuwają jak żarki...

Tu największa ciekawość, tu *dramatis persona*... panna młoda!!

Miasteczkowa publika aby ją zobaczyć po-

sunęła się z narażeniem życia i powagi — ale tu jest na co i spojrzeć!

Panna Domicella cudo urody... istne caceczko, a w tych ślubowych strojach swych, białym atłasie, zasłonie, wieńcu i trzewiczkach śnieżystych na koreczkach, wygląda jakby z saskiej porcelany ulepiona i świeżo pomalowana...

A malutka, szczuplutka... drobna... nóżka jak u dziecka, rączka jak u dziecka, spojrzenie dziecinne... uśmieszek dziewiczy... O mój Boże! I to ten kresowaty zawadija, ogromne człowieczysko... ma wziąć tę różyczkę, której zdaje się strach dotknąć, żeby w powietrze nie uleciała....

Mieszczanie kiwają głowami... baba westchnęła...

Panienkę prowadzą druchny dwie dorodne, słuszne, tak że między niemi znika maluśka jak konwalija w bujnej trawie... a za młodą, druchnami, matką, która płacze i łzy ociera, za panami i dwornią kto żyw śpieszy do kościoła — ciśnie się ciekawie miejska drużyna, bo to dla jednych zajmująca, jak się wiekuista wymawia przysięga, dla drugich przypomnienie słodkie tych lat, gdy się szło do ołtarza. Przy tym mnóstwo się czyni postrzeżeń, czy w ołtarzu świeca nie zgasła, i z której strony,

kto pierwszy wstąpił na kobierzec, on czy ona, za panną młodą która weszła• druchna i jakim głosem wymawiali *tak:* i czy które z nich zapłakało...

Orszak weselny przy dźwięku marszu na organach odegrywanego wtoczył się pod gotyckie kościołka sklepienia; wszyscy stanęli w miejscach jakie im wiek i dostojność naznaczała... młodzi poklękli się modlić, organ marsza dokończył, cisza... tylko tu i owdzie szabla brzęknie bo się z nią utaić trudno — i westchnienie wolniejsze przedrze się przez usta... Z zakrystyi wychodzi staruszek z agendą w ręku... poszedł wprost do ołtarza i ukląkł... Dobra chwila minęła nim się na duchu zebrał, nim ołtarz ucałowawszy odwrócił się do tłumu i począł naukę przedślubną... Głos starego kapłana był cichy, kościół obszerny... mało go też słychać było a bodaj czy kto prócz matki panny młodej słuchał...

A tuż i obrzęd następuje...

Pana młoda jakoś stłumiono i niewyraźnie, po dłuższej chwili oczekiwania wyrzekła przysięgę nareszcie — męzkim a rycerskim głosem wypowiedział pan młody. Na organach brzmi już *Veni Creator*, a państwo młodzi się modlą.

Druchowie i druchny ustąpiły, poważniej-

szc matrony i starsi panowie gotują się odprowadzić od ołtarza...

W kruchcie ruch wielki, bo każdyby rad tak stanął, aby się lepiej przypatrzyć wracacającym młodym, co szli przed chwilą wolni a wracają teraz na cały żywot jednym losem związani.

Ale mrok już w kościele, choć na podwórzu jeszcze jasno... i twarzy nie widać, tak że nikt z pewnością powiedzieć nie może czy panna młoda płakała...

Wychodzą już, wychodzą... Szmer, młodzież śpieszy do koni... woźnice się obwołują, że czas zaciągać i z bicza klaskać, aliści — patrz, jeszcze spóźnieni jacyś goście jadą...

Kolebka stara, opylona, koni cztery u niej tęgich ale starych i zhasane okrutnie, znać się spieszyli bardzo... W otwartym powozie widać mężczyznę niemłodego, twarz przeciągła a blada, i obok niego kobietę czarno ubraną, pochyloną w głąb, z głową opartą o poduszki z oczyma zasłoniętemi. Czy w drodze zasłabła?

— Stój! stój — stary wysiadł żywo, korda u boku pomacał, czapkę na głowie umocował, wąsa potarł, na kiju się sparłszy, idzie. Oko w oko spotkał się z weselnym orszakiem: stoi jakby osłupiały, wargi mu drżą,

ręce dygocą, na nogach się ledwie trzyma... stoi a patrzy...

Mijają go zdumieni, nikt nie zna, ale kto spojrzy, to po nim czegoś ciarki przejdą... Cóż to za jeden? co zacz?

Już do kolebek siadać zaczęli weselni, gdy pan młody wyszedł... i spostrzegłszy z kolei starca, który w niego oczy wlepił surowe i dzikie... zadrzał a pobladł...

— A tuś mi! wrzasnął stary rozgłośnie — a tuś! w czas przybywam... Wczas! Ichmości panowie a bracia... stójcie! Biorę was panów wszystkich za świadki, jako ja Strukczaszy Życzyński imieniem Floryan, klejnotu Koźlerogi — ślub JMPana Zbisława Wierzchowskiego aresztuję, protestuję, unieważniam i za niebyły ogłaszam...

Odetchnął nieco.

— A czyniąc to — dodał, opieram się na świętym a uroczystym przyrzeczeniu rzeczonego Zbisława daniu córce mej Anieli ustnie i na piśmie, iż ją miał za małżonkę wziąść... przyczym zaręczyny z duchownym błogosławieństwem się odbyły...

Panna młoda słysząc ten protest, zbladła, drgnęła, niby radość błysła na jej licu i kilka kroków ku matce się swej cofnęła. Zrazu panowało milczenie... aliści pan młody poczer-

wieniał nagle i przyjaciół jego oblicza pokraśniały i szable jęły brzęczeć, jakby im już w pochwach tęskno było.

— Za pozwoleniem — ozwał się, występując przed pana młodego, który mówić już miał, giętki, szpakowaty, zwinny i żywy mężczyzna, szerokim krokiem cisnąć się pod samego prawie pana Strukczaszego — za pozwoleniem! Trochę się Jegomość dobrodziej przypóźniłeś, bo kościół święty, matka nasza przed chwilą tę oto parę wiekuistym, uroczystym a niezłomnym połączyła węzłem. Co było a nie jest, to nie pisać w regestr!! Mało kto co komu obiecywał...

— A mam tego za... nikczemnego, kto nie dotrzymał! krzyknął Strukczaszy...

— O to się rozprawicmy! huknął pan młody z za swojego obrońcy... Zostałem przez pannę Strukczaszankę samę zwolniony z przyrzeczenia... byłem wolny... a żeś mi Jegomość uczynił krzywdę i zamięszał godzinę szczęśliwą... o to do rachunku pociągnę. Teraz tu ni czas ni pora procesa przed kościołem rozwodzić...

Chciał pan Zbisław podać ręce zaślubionej swej pannie Domicelli, gdy mała owa laleczka jak od oparzonego się cofnęła ku matce.

Z za powozu opylonego wysunęła się chu-

da figura palestranta z papierami pod pachą, nieboraczyna szedł, ale drżał... i nisko czapką się kłaniał wszystkim.

— Woźny — czytaj protest i pozwy wręczaj... krzyknął Strukczaszy.

— Ani mi się rusz, chceszli mieć uszy całe! krzyknęli w kilku przyjaciele młodego — Wrzawa się poczęła sroga, szable też już z pochew wyłazić zaczynały, ale co który dobył, to rzucił nazad jakby zmuszony... Strukczaszy stał jabo dąb stuletni nieporuszony, nieulękły. Zoczył o kilka kroków matkę i córkę tulące się do siebie i zwrócił się ku nim.

— Miasto łez i przekleństw winniście mi państwo podziękowanie, żem oto tę ofiarę niewinną ze szpon tego jastrzębia wyrwał w porę — zawołał śmiało. — Nie znacie jeszcze tego ptaszka!! ale ja go znam i znają go strony nasze Hrubieszowskie, a ci co go tam klną lub nań płaczą. Nie stąpił na próg domu, żeby z sobą nieszczęścia nie przyniósł, zwady, krwi, procesu, zabójstwa i zwodzicielstwa... ani mury klasztorne były mu za wysokie...

Podziękujcież mi — albowiem ślub ogłaszam za nieważny. — Woźny czytaj protest!

Za krzykiem już nic słychać nie było,

w tym wystąpił opiekun panny, stryj jej pan Bożeński z miną wielce frasobliwą.

— Za pozwoleniem, rzekł — ale tego!! nikt p. Strukczaszemu nie broni protestować ani pozwów na drzwiach przybijać, ani głosić, co mu się podoba... na to są sądy, konsystorze... trybunały... tandem tu *coram publico* poczynać tak gwałtownie zwadę, hałas... ani nam, ani waszmości nie przystało... Każdy będzie wiedział, co czynić... a my możemy z weselem do domu...

Ruszyło się niby wszystko, starzec spojrzał błagająco na pannę młodą zapłakaną, zmięszaną, stojącą w ślubnym wianku i zasłonie. Panna Domicella, gdyż ją tym imieniem jeszcze nazwać możemy — zadrzała, spotkawszy wejrzenie Strukczaszego, cofnęła się kroków parę, i sparła chwilę na ramieniu matki, potym zwróciła do stryja i żywo coś mu do ucha szeptać poczęła... Stryj pan Bożeński syknął i pochwycił się za głowę... ale Domcia odsunęła się od niego ku matce.

W tym Zbisław przedzierając się przez kupkę otaczającą, zaczął ku niej przybliżać... Domcia niezlękniona wpatrzyła się weń groźno i długo... w oczach jej widać było gniew, dumę, prawie niechęć i pogardę. Ktoby się był takiego wyrazu w oczach młodej żony,

w takiej chwili, i z tak łagodnych źrenic spodziewał.

P. Zbisław chciał iść ku niej, ale się zawahał, ukłuty wzrokiem i na chwilę pomięszany.

— Moja panno... rzekł do żony...

— Jeszczem ja nie waszmościna — odparła sucho mała laleczka — jeszcze nie! Przyrzekałeś waćpan innej przedemną, a nie dotrzymałeś... ja cudzych resztek nie chcę! Ona ma pierwszeństwo do waćpana. Więc choć ksiądz dobrodziej nasze ręce związał... ja waćpana za męża mojego nie uważam, a zwalniając go ze słowa i przysięgi mam honor być najniższą sługą!!

Dygnęła bardzo rezolutnie ale gniewnie, odwróciła się do matki i zamilkła, osłupieli wszyscy... pan młody ramionami ruszył, ale mu policzek drgał ze złości i wąs się miotał.

— Pani żono dobrodziejko... rzekł jąkając się nieco — zawcześnie pani zażywać chce władzy swej niewieściej a pono nieskutecznie... Mnie jeszcze w uszach brzmi przyrzeczone przez nią *posłuszeństwo*!

Ostatni wyraz wymówił z naciskiem.

— Nie jestem jeszcze żoną waćpana... odparła, zwracając się jak na sprężynie mała laleczka... wprzódy się pan rozpraw z pierw-

szą narzeczoną, zaręczona czy... tamta, której wiarę przysięgałeś... wprzódy się waćpan oczyść — ja go znać nie chcę...

Wszyscy zamilkli, spoglądając po sobie, panna Domicella zdjęła powoli wianek z głowy i postąpiła ku powozowi osłoniona przez matkę, która ją obejmowała płacząc. Stryj rękę sobie z gniewu kąsał, nie wiedząc co począć, pan młody niby śmiał się, ale w oczach mu złym ogniem błyskało...

W tej chwili właśnie ktoś był księdzu pobiegł dać znać do zakrystyi, a staruszek przerażony, nie mając czasu komży zrzucić, przybiegł z odkrytą głową, z załamanemi rękami na plac owej niespodzianej utarczki...

— Co się tu dzieje! co to jest! na miłego Boga, stojąc pośród nich — co za zwada?

— Ja protest zanoszę — rzekł Strukczaszy, któremu męstwa jeszcze przybyło — ślub jegomość dałeś nieważny, zostałeś uwiedziony, bo było uroczyste przyrzeczenie małżeństwa innej dane... a ślad mam na piśmie.

— Na piśmie! A przecież ogłaszano zapowiedzie? czemuż nie protestowaliście wprzódy?

— A któż o waszych zapowiedziach wiedział? o dwadzieścia mil?

— Pytałem pana młodego na egzaminie.

— Com miał mówić? co? ofuknął pan młody — żem sobie z panną żartował? Onać to wie najlepiej, bo mi pierścień sama oddała, i słowo zwróciła...

— Alem ja ci słowa nie zwrócił! zakrzyknął Strukczaszy — i nie zwrócę i nie zwrócę! Myślisz, że cię z nią gwałtem chcę ożenić! Mylisz się, nie dam ci jej na żaden sposób — gdybyś mi krzyżem u nóg rok leżał, mieć jej nie będziesz... ale nie dam ci też innego zażyć szczęścia ani spokoju, kiedy ona go nie ma. Ożenić ci się niedopuszczę z żadną... nigdy! Gdyby do Rzymu przyszło pieszo iść — nie dam! Ruch ręką impetyczny zrobił w powietrzu, czapkę poprawił, wąsa pociągnął i uderzył po karabeli.

— A zrąbiecie mnie — dodał, widząc, że dłonie na szable spadły — jać to wiem czym taka robota pachnie! zrąbiecie mnie.... jest Życzyńskich cały sznurek! Piotr, Damjan, Paweł, Hilary, wszyscyśmy sobie przysięgli.... zastępować mnie będą do ostatniego, któryś przecież swego dokaże.

— No, to o tym potym — syknął gniewnie pan młody — niech ksiądz probuszcz raczy z żoną moją się rozmówić, aby rozum miała, że to nie żarty, ja do niej prawo mam

i tego nie puszczę... a ze Strukczaszym moja sprawa... to się załatwi.

Domcia obejrzała się już od stopni powozu.

— Waćpan do mnie prawa żadnego nie masz i mieć nie będziesz... ślub był nie ważny... ślubuj tej, którejś wprzódy przyrzekał.

— Nieważny! powtórzył Strukczaszy.... zdradą i kłamstwem otrzymany. Huk się zrobił, ale stary nic nie zważał, ksiądz ręce rozstawił szeroko.

— Na Chrystusa ukrzyżowanego — stójcież ludzie bez miłosierdzia nad sobą... Rozprawcie się spokojnie... niech konsystorz rozstrzyga... ja z mojego obowiązku kapłańskiego stoję w obronie panny Domicelii. Sam ślub dałem, prawda.... ale *matrimonium ratum*, rozwód łatwy, bo to jeszcze nie małżeństwo. Kościół był oszukany. Rozjedźcie się i...

Pan młody nie dał mu dokończyć.

— Co jegomość mówisz: ślub nieważny! zawołał cały kipiąc krwią oblany — ślub nieważny! Jam przysięgał, mam świadki, ona przysięgała, słyszeli wszyscy... Ja z siebie igraszki robić nie dam, ani się ulęknę... Ze Strukczaszym to moaj sprawa...

— Klecho jakiś! warknął jeden z towarzyszów pana młodego.

Ksiądz się zwrócił ruszając ramionami.

— Mój dobrodzieju, mnie nie zastraszysz... ja niechcę być odpowiedzialnym przed Bogiem ni przed ludźmi, dopóki wyższe władze nierozstrzygną... ogłaszam, iż ślub zawieszony...

— A ja ciebie stary grzybie powieszę! odezwał się stłumionym głosem jeden z tłumu...

— Panowie — przerwał pan młody — czy to my malowani, co to my tu sejmikować przyszli! hę! Damyż z siebie żartować! Byliście ślubu świadkami... ja nikogo nie pytam i żonę biorę jak swoję.

W tej chwili stało się zamięszanie okrutne... szable poszły wszystkie do góry, mieszczanie i tłum przypatrujący się począł krzyczeć... panna młoda z matką rzuciły się czymprędzej do powozu, przeciw panu młodemu i jego przyjaciołom wybiegł stryj i ksiądz...

Bożeński dawał Zbisławowi jakieś znaki rękami...

— Czekajcie ichmoście! na Boga zaklinam... bez gwałtu...

Strukczaszy stał, za nim dwóch czeladzi przy szablach, zimny, blady z ręką na rapciach. Powóz matki i córki, znać z ich rozkazu, nawrócił szybko i nim przyjaciele pana młodego rzuciwszy się zdołali konie pochwycić, w pędzie co koń wyskoczy napowrót od miasteczka ruszył.

Bożeński próżno starał się tumult ów poskromić, młodzież rzuciła się na nieulęknionego Strukczaszego, gdy w tym z powozu czarno ubrana, z krzykiem wyskoczyła kobieta.

To zjawisko, którego się dotąd nie domyślano, na chwilę w osłupienie wprowadziło wszystkich... Nawet przyjaciele Zbisława wylękli stanęli...

Strukczaszanka Aniela, słusznej postaci, blada, z czarnemi kosy, poważna a dziwnie piękna, objęła ojca rękami...

— Ojcze mój! zawołała — i ty mnie uwiodłeś! nie przyznałeś mi się, dokąd jedziemy... po co? Nie dałabym ci się narażać na śmierć, na gniew... na kłótnie dla mnie daremne... Ja mu oddałam pierścień i słowo, i niechcę go! niechcę! niechcę... niech ślubuje! niech będzie szczęśliwy, byle go oczy moje więcej nie widziały...

Wszyscy milczeli — pan młody zrazu stanął czerwony, potym patrząc i słuchając stał się blady, potym mu policzek i wąs drżeć zaczął, potym się chwycił za pierś, a brwi mu się ściągnęły strasznie i szrama zaczerwieniła jak wstęga krwawa.

Oczy wlepił w pannę Anielę... coś mówić

chciał i nie śmiał, jakby do walki z kobietą występować nie mógł.

Przyjaciele jego patrząc nań, nie wiedzieli, co poczynać, tymczasem córka odciągnęła ojca, gwałtem go pchając do kolebki.... i nim się opatrzyli Zbisławczycy, już powóz powoli ruszał z miejsca, nikt go nie wstrzymywał... Ksiądz, stryj, towarzysze pana młodego, przyjaciele Bożeńskich pozostali przed bramą, większa część z szablami dobytemi i długo milczeli...

Przerwał ciszę nareszcie stryj panny, przystępując do Zbisława...

— Tylko się waszmość teraz nie rwij a sprawy sobie nie psuj! Cierpliwie... zwolna... niech pozywają...

— Niech pozywają przed samego Lucypera — krzyknął nagle, burząc się jak ocucony pan młody — a mnie co do ich pozwów! Jam ślub wziął, ksiądz mi go dał, żonę mam i o niczym wiedzieć niechcę...

— Więc cóż! więc cóż! spytał Bożeński.

— Co? siadam na koń z przyjacioły i jadę do Zmurek po żonę, tak mi Boże dopomóż, choćby szturmem brać przyszło! A! niedoczekanie ich, żeby potym pośmiewiskiem być u ludzi, że mnie od własnej małżonki jak kota

od mleka odsadzono! Panowie! kto mój, kto mi drub, na konie!

— Stój! stój! krzyknął stryj, krzyżując ręce... Co waść pan czynić chcesz! To się na nic nie zdało! Ja moję bratową znam! — Ja waszę Domcię znam, — ja wiem co będzie... Tu gwałtem nic nie poczniesz...

— Ale ja mam prawo święte...

— A słyszałeś, co Domcia mówiła? rzekł stryj.

— O to my się z jejmością potym rozmówimy, odparł gwałtownie pan młody — to moja rzecz — ale żonę muszę mieć, choćby krew rozlać przyszło.

Ale jakże ją siłą mieć możesz? spytał stryj — co ci w głowie? One pojechały przodem... Nim wy dobieżycie do Zmurek cała dwornia, a bodaj wieś będzie na nogach, strzelcy, czeladź... Brama murowana, dwór częstokołem oprowadzony... baby się obronią... jeśli na upartego przyjdzie.. Sprawa hałasu narobi, a jeszcze ją może kto i życiem przypłaci...

— Mówcie sobie co chcecie... ja nie pójdę z kwitkiem, to darmo, przerwał Zbisław... klnę się na ojca i matkę...

— I my nie pójdziemy! wtórowali przyjaciele...

— Na koń! na koń! poczęto wołać ze wszech stron...

— Na miłość Bożą. — Słowo... pomiarkujcież się, rozkrzyżowując się znowu począł Bożeński — tylko słowo.

— Co mamy pleść darmo...

— Ja jako parlamentarz pojadę... dajcie mi czas... kilka godzin, jeśli nic nie zrobię, umywam ręce, przecieżem sam aści forytował, prawo mam pośredniczyć... Niech mi skarbniczek podadzą — pojadę do Zmurek za niemi. Matka, jeśli kogo posłucha, to mnie. Uda się, to przyszlę chłopaka, nie, to sam powrócę — ale póki się nie sprawię — posiedzicie w miasteczku — korona wam z głowy nie spadnie.

Popatrzyli po sobie młodzi i jęli głowami kręcić, ale jakoś Zbisław się pomiarkował i poskromił.

— No, to waszmość jedź — zgoda — zawołał — czekam z powrotem... Ale jeśli się nie uda wyprawa, jak mi Pan Bóg miły — ruszym przebojem na dwór... i żonę wezmę... choćby życiem przypłacić przyszło... A schowa się... to ja z pod ziemi ją dobędę.

Spojrzał po swoich... ci mu wtórowali...

Stryj tymczasem do skarbniczka się drapał i kazał poganiać — a ksiądz cicho po-

wrócił do zakrystyi. Kupa weselna przyjaciół została tak u furty kościelnej, przed którą konie trzymano i powozy stały... i czeladź gawroniła, a dalej, choć już nadeszła noc i księżyc w pełni wypłynął, z miasteczka tłumy przypatrywały się tej zwadzie ciekawe.

Pan młody pokręcił wąsa, szable się do pochew powsuwały, gdzie jeszcze jaka była nagą.

— A, żeby czasu nie tracić — zawołał, zapraszam ichmościów do Hersza... użyjemy dobrej myśli, póki zła nie nadejdzie... Za mną! za mną...

Więc pieszo ruszono tryumfalnie niby ulicą pod najstarszą wiechę jaka tu była, do gospody Hersza Smolańskiego...

Hersz miał dobrą piwnicę — bo się tu szlachta często gromadziła, sprowadzał co roku wino z Węgier, sprzedawał je okseftami i beczułkami i butlami, ale miał i stare miody i starego też węgrzyna dukatowego. Więc u niego hulanka mogła być niczego — a że ją p. Zbisław umiał urządzić, o tym nikt nie wątpił. Znanym był im z tego... tylko że dziś humor nie sprzyjał. W milczeniu przesunęli się wszyscy aż do rynku. Konie kazał prowadzić za sobą, a że ich zdala przychodzących u Hersza dojrzano i domyślić się było

łatwo dokąd i po co idą... oświeciły się izby, gospodarz wyszedł na próg. Pan młody poprzedził innych o kilka kroków.

— Słyszysz Hersz — zawołał — jest izba na przeciwko?

— Czemu nie ma być dla jaśnie pana.

— Wtoczyć mi do niej beczkę węgrzyna — ale najlepszego! i szklanek... Zapłacę, co się patrzy, ale mi nie daj trucizny na wesele... Ha! — rozśmiał się — wszak wiecie że to moje wesele.

— Sto lat, jaśnie panie! dam sam cymes... którego przywiozłem za rarites.

— Nie gadaj! beczkę wtoczyć natychmiast.

Żyd skoczył, a szlachta tłumnie wcisnęła się do izby ławami w okół ostawionej. Okna pootwierano... zaczęto gadać hałaśliwie i odgrażać się. Ale za chwilę wszystko umilkło, gdy spostrzeżono, że beczka jedzie. Wiedziano, co to znaczy... postawiono ją na kozłach, a tuż żydówka wniosła szklanki.

— Mości panowie a bracia — zawołał Zbisław, stojąc naprzeciw czopa, za który pochwycił — po sandomiersku! czop wyrzucam za okno... a kto da beczce na podłogę lać Boży dar ten — kiep! więc kolejka przy czopie... a jest nas dość, by czas był odetchnąć. Co będzie potym — zobaczymy.

Dictum — *factum*, trysnęło wino do jednej szklanicy, podstawiono drugą, po drugiej trzecią... poszło tedy koleją.

— Wino takie — ozwał się jeden... że aż miło — ale bo i w gębie zaschło.

— Wypijemy do lagrów, jak mi Bóg miły.

— Lagier zębów nie łamie! rozśmiał się drugi.

— Koleją, mości panowie, koleją!!

Tak się rozpoczęła pijatyka.

Winoć to na ówczesne głowy bardzo niebezpieczne nie było... czyste, zdrowe, lekkie, dające się pić zwłaszcza po zmęczeniu. Czop nieustannie sączący nie zawadzał tak bardzo, bo luda było dosyć... więc w pół beczki zaintonowano pieśń... a gospodarz z pełną do okna poszedł, ciągnąc za sobą przyjaciela serdecznego, pana Jana Żubra.

— Słuchaj Żubr — rzekł — dobrze wyszedłem? co? patrzajże... patrzaj! żonaty i bez żony, cały zachód djabli wzięli — i ta kwoczka ledwie od ołtarza odszedłszy, już mi się do oczów rzuciła... No — cóż ty na to?

Żubr, który był słuszny chłop, barczysty i nie darmo swe nazwisko nosił... westchnął jak miech kowalski, wina się napił, wąsy otarł, splunął i nachyliwszy się do ucha Zbisławowi, a jednym okiem mrugając — rzekł.

— Cóż to ty mnie będziesz pytał, co robić? hej! albož to ty już ten co bywało — krocset — albo to nie wiesz, co człeku robić w takim razie, kiedy mu własność wydzierają? albo to nie własność święta... twoja! hę! i ty mnie pytasz! ty mnie pytasz!

— Słuchaj no — od takiego pioruna wolno głowę stracić, to był piorun, jak mego Boga kocham.

— Et! co zaś! piorun, gdy nie ubije, człek się śmiać powinien.

— Ale może ogłuchnąć, a mnie, dali pan... obałamucił!

Zbisław syknął na pociechę.

— Słuchaj Janie, dodał, ty mnie znasz nie od dziś — no! wiesz, że ja sobie w kaszę napluć nie dam — a powiadam ci, dziś straciłem kontenans, rozum, odwagę... a wiesz przez co? oto przez jedno wystąpienie tej kwoczki? Wiedziałem, że bardzo mnie nie kocha, ale się była udobruchała i nie mogłem ani pomyśleć, żeby miała śmiałość — przeciwko mężowi własnemu tak wystąpić!

— Żebym był na twym miejscu... począł Żubr, kręcąc głową.

— No, to cóżbyś począł.

— Co, rzekł, ruszając ramionami Żubr — co! porzuciłbym ją... aż by mi się sama pro-

siła — ani małżeństwa, ani rozwodu... siadłaby na ziemi na koszu.

— Dobrze ci pleść — odparł Zbisław — ale ta żmijka mi się podoba, to śliczne cacko... tylko na ręku nosić i całować... jak cukierek! jak laleczka... Powtóre... sama z siebie i po stryju będzie bogata... pięć wsi i miasteczko.

— Zeby ona ich dziesięć miała! zawołał pan Jan.

— Twoja rada na nic się nie zdała — rzekł Zbisław, idąc po wino do czopa — wiesz, że ja nie lubię ustępować. Im mi większa zawada na drodze staje, tym mnie większa do przełamania jej pasya porywa.

— Ale kat że bo cię po całym świecie nosił... żebyś sobie biedy szukał. Nigdy nie wiedziałem o Strukczaszance.

Zbisław pobladł... odwrócił oczy, spuścił je, twarz oblokła się ponurym wyrazem.

— Powiedz że ty mnie, co między wami było? zkąd taka Strukczaszego zajadłość?

— Przed tobą jednym tylko wyspowiadać się mogę — szepnął cicho, Zbisław — ale mi daj słowo, że to w tobie utonie. To głupia sprawa... źlem postąpił... źle, przyznaję... Jeszcze teraz gdy wspomnę sobie na nią, to

mnie smutek ogarnia — ale co się stało, to się stało.

Nim Bożeński przyszle lub przyjedzie, powiem ci wszystko... ale pójdź do czopa i nabierz w szklanki.

Zbisław przeszedł się po izbie, pocierając czoła milczący, tymczasem Jan u beczki napełniwszy kubki powrócił i odeszli z nim w róg izby, przysiadając przy stole...

— Temu będzie dwa lata... tak na św. Piotr dwa... nie mylę się — mówił pan młody, wypadło mi w Hrubieszowskie jechać do Żulna, do mojego krewniaka na chrzciny... Piliśmy tam dwa tygodnie bez wytrzeźwienia prawie... chłopcam mu w winie skąpał, żeby się zabartował... Dokazywaliśmy okrutnie... Był na chrzcinach Strukczaszy i tych Życzyńskich bodaj trzech, bo to tam osiadły dawno ród i jest tego dworów kilka... Ludzie poważni... Jednego dnia zaprosił nas też wszystkich Strukczaszy do siebie, bo był chrzestnym ojcem Filipka... Przyjmował jak się należało, a choć wdowiec w domu był wszelki porządek i dostatek... Starsza córka jego panna Aniela gospodarowała. Wpadła mi w oko. Piękna to nic, ale rozumna, śmiała, niepospolita niewiasta... Zrazu przystąpić do niej było trudno, alem na kieł wziął... Zostałem u bra-

tanka po chrzcinach i począłem dojeżdżać do panny Anieli. Nie miałem żadnej myśli, żeby to do ożenienia prowadzić miało, ale mi się panna podobała tym, że mi z nią nie poszło łatwo. Więcem się też zaciął, — poczekajże. Można mnie było do rany przyłożyć takem się w baranka poszył... Nareszcie panna Aniela poczęła więdnąć... ale nim się to stało, Strukczaszy mnie zagadnął *ex abrupto*.

— Widzę, że waszmość do mojego domu uczęszczasz, a żem wdowiec i córki mam, waszmość zaś nieżonaty jesteś, supponuję, że go tu nie co innego jeno która może z jejmościanek sprowadza... Jeśli nie — toć nie, tylko trzeba jasno wiedzieć, co się święci, bo ludzkie języki żmijowe języki...

Nie było co obwijać, zręcznie odpowiedziałem staremu, że miałbym sobie za zaszczyt sięgnąć po rękę jednej z córek jego, ale że proszę o czas, abym swe własne serce i skłonność panny mógł zbadać. I na tym się skończyło... A jam formalnie zaczłapał... Na ostatek sam już nie wiem jak do tego przyszło, oświadczyłem się, otoż i ojciec nadszedł, panna mi kazała powtórzyć mu moję deklaracyą... Nie było sposobu... wpadłem w matnią... Pierścionki uroczyście zostały zamienione, zaręczyny formalne... Panna mi się

podobała, kochałem się szalenie — ba — Bóg raczy wiedzieć, czy jej nie kocham jeszcze!! Więc pókim z nią był, najszczęśliwszym się czułem, ale aby mi z oczów zeszła, porywała mnie złość, tęsknica, żem się tak ująć dał stary wróbel na plewę.

Już tedy od ożenku ani się było myśleć wykręcić — a trzeba zabierać do słania gniazda... i ustatkowania.

A ty wiesz, jak to mnie nawykłemu do swobody, twarda rzecz pójść w chomąto i do roboty... Ale cóż! nie było rady! Tym czasem ta czarownica trzymała mnie, żem z Hrubieszowskiego nie mógł ani wyjechać...

Ale ten przymusowy statek już mnie dławił... Trafiła się okazya. W sąsiedztwie było wesele u Zarębskich w Samorokach... sproszano, kto żył... pojechałem i ja z bratankiem, wygalantowany, wesół i z tym postanowieniem, żeby sobie pohulać na zakończenie kawalerskiego żywota... Wiedziałem, że i Strukczaszy będzie z pannami, alem nie czuł się w obowiązku zbytnio się przy mojej przysiadywać, myślałem sobie — będzie na to czas... a tu polowanie na upatrzonego. Panien i młodych mężatek było huk, ale była i młoda wdówka pani Zabrzeska... dziewiętnaście lat, trzpiotek. . śliczna... wesoła i umizgus wielki...

Jak byśmy dla siebie byli stworzeni, tak od razu przylgnęliśmy jedno do drugiego. Mnie się w głowie zawróciło, bom we dwie godziny całusa schwycił, odprowadzając ją od tańca... Czysta to była pustota... ale djabeł chciał, żeby moja narzeczona panna Aniela siedziała tuż i widziała i słyszało wszystko... Żeby tak jaka inna nie byłoby nic, nałajałaby mi, padłbym do nóg i przyszłoby do tej lepszej zgody... ale ta rygorystka... o czem nie wiedziałem, naprzód omdlała... potym w półgodziny, gdym do niej przystąpił, zaprowadziła mnie do bokówki... i tam zdjąwszy z palca pierścień — rzekła mi, łkając — widziałam wszystko — płochości nie cierpię, zdrady darować nie mogę, żeń się waszmość z panią Zabrzeską, kiedy mu się podobała, między nami zerwane wszystko...

Chciałem się tłumaczyć, nie dała mi słowa pisnąć, rozgniewałem się też, oddałem pierścień i na złość poszedłem do białego dnia szaleć z wdową... Ale com naśpiewał do tańca, com nadokazywał, niech powiedzą ci co tam byli, bo do tej pory jeszcze w Hrubieszowskim tego wieczora pewno nie zapomnieli. Wdówka była, jak wosk. Żebym był chciał, dostałbym i pierścień i słowo i ożenił się w tydzień, ale mi odzyskana wolność droga

była... Więc choć serce lgło do niej, odłożyłem sprawę na dal... Podjechał tam Rotmistrz Bałaban potym i wziął ją sobie...

Ja dostawszy taką odprawę, zawziąłem się, po kilku dniach powiedziałem bratankowi, co się stało, pokazałem pierścień i zaprzęgaj do domu... Nie powiem, żeby mi Anieli nie było żal — tęskniłem aż sam sobiem się dziwił, brało mi się na płacz i na złość, a com szklanic natłukł i stołków narozbijał — nie policzę — ale znowu miłosierdzia, jak winowajca, za taką fatałaszkę p[illegible] nie mogłem... pojechałem...

Aż tu, ledwie tydzień u[illegible]śle mi bratanek umyślnego z listem na połarkuszu że Strukczaszy przyjeżdżał doń z wymówkami za postępowanie moje, że on mnie ze słowa nie zwalnia... że mu córka schnie itd... Odpisałem ni to ni owo, wielkich sobie z tego rzeczy nie robiąc — myślę sobie, a chcecie wy mnie, to się choć podrożę z sobą. Tymczasem mi i owa miłość przysychać zaczęła i o pannie Anieli trochę się zapomniało, choć znowu były takie chwile, żem się rwał jechać, ale duma nie puszczała... Strukczaszy odezwał się drugim listem wprost do mnie, odpisałem, składając się tym, że mi dano odprawę. Na trzeci list już w pasyi nic nie odpowiedziałem. Tymcza-

sem padło tak, żem w Lubelskie pojechał i Domcię zobaczył. Dziewcze mi do smaku przypadło...

— Ale ty jej pono zrazu — nie? spytał Żubr.

— A czy to zważać na kobiece fąfry? wszak ci się to udobrucha potym, a choćby zrazu dąsało się trochę... ugłaszcze się! ugłaszcze! — Starałem się więc i mamie przypodobać i stryja sobie ująć... a choć dziewczę się żachało... do ślubu przecież przyszło... Ale co za ślub.. widzicie!! kłopot sobie kupiłem nie żonę!.

Stuknął szklenicą o stół... ale że od czopa śmiech i wrzawa się wszczęła poszli ze szklankami...

A było się czego śmiać... Pan Rajmund Osowski znany bibuła wyzwał się z p. Zygmuntem Tomaszewskim o lepszą, kto dłużej pod czopem wytrwa, nie zakrztusiwszy się .. Na sędziego obrano podsędka Wyrzechowskiego, który dobywszy cebulę z za pasa i trzy koperty trzymając na palcu, liczył minuty, a Osowski pod czopem leżał i wino mu się lało wprost do gardła...

Więc śmiechy i oklaski... leżał parę minut i wyrwał się, nie mogąc dłużej, poszedł pod czop Tomaszewski i leżał pół minuty dłużej.

Ale oba potym poszli na ławę, bo się pochorowali. A już i beczka dogorywała... Ujął ją tedy siłacz Żubr na ramię i podczaszował, nalewając szklenice choć z lagrem... a śpiewali, aż się karczmisko trzęsło.

Na raz zatętniało, poznał Zbisław po brzęku uprzęży skarbniczek p. Bożeńskiego, więc choć zły był *omen*, że powracał sam, wybiegł na próg. Stary już tu stał zmęczony i blady... Podano mu naprzód wina i wszyscy go obstąpili, pytając — Co? jak?...

— Już lepiej nie badajcie mnie, rzekł, dobrego nic nie przywiózłem... Gorzej jest, niżem się spodziewał...

— A cóż? a co? nie chcą mnie? zaśpiewał Zbisław.

— Matka z córką nie wysiadając w Żmurkach, jeno konie przeprzęgły i poleciały na całą noc do Lublina do klasztoru, do Brygitek... Znać się gwałtu jakiego ulękły, bom ino ślad zastał, że na chwilę do domu wpadły i ruszyły...

Zbisławowi krew uderzyła do głowy..... uśmiechnął się.

— Ma pani matka rozum — odezwał się, bo bym Żmurki wziął choćby szturmem, a z klasztorem... no!

Tu zamilkł i po swoich spojrzał... mrugnęli mu towarzysze i on im.

— Ha! no — odezwał się, kiedy już na to poszło — zobaczymy!! Trzeba rzecz wziąć do namysłu, a że głodno i w żołądku zwija, bośmy na weselną ucztę czekali... każę choć ryby żydowi zgotować...

— Co ci w głowie — odparł Żubr, nie ma żony! aleć obiad gotów..... jedźmy do Żmurek...

— Dalipan jedźmy do Żmurek, zjemy i wypijemy przynajmniej...

Chwilę się pan młody zawahał... stryj łysinę tarł... kwaśno patrząc...

— Do Żmurek! do Żmurek...

— No, to do Żmurek — krzyknął Zbisław, żona moja, dom mój proszę asindziejów za mną... za mną..!

— Hura! wiwat...

— Ale ja... przerwał stryj... niepojadę...

— Ba! ba! my cię nie puścimy... musisz... wrzasnęli podpili biorąc stryja pod ręce — Musisz! dzwoniłeś na wesele... będziesz jadł antypasty... i marcepany...

Z hałasem wielkim wytoczyło się to wszystko z gospody od Hersza. Ludzie szli przy koniach, ale równie podpili jak panowie, bo ich też częstowano... kto mógł, dopadł kul-

baki, inni poszli na wozy, a napakowało się ich na nie dużo, bo mało kto na koniu się mógł jeszcze utrzymać. Toż dla rezonu zaczęli strzelać, kto miał z czego, tak że Tomaszewskiemu czapkę któryś przestrzelił a drugiego raniono w ramię... Ale animuszu przez to nie stracił nikt, i pieśń zanuciwszy weselną, zielonych gałęzi nałamawszy, puściło się to wszystko gościńcem do Żmurek.

Droga była na tę nocną jazdę niczego, konie ją też dobrze znały. Szczęściem też bez wypadku się obeszło. Ale już było około północka, gdy kawalkata do murowanej bramy przybyła.

Trzeba wiedzieć, że w Żmurkach rezydencya choć na pół drewniana, jak większa część dworów w Polsce, ale bardzo była wspaniała. Za to w dawnych czasach bywała obronna, więc na wałach utrzymywały się częstokoły i wrota na noc zamykano. Gdy nasi goście do nich przypadli, stały właśnie zaparte. Zaczęto się gwałtownie dobijać. Na górnym ganku nad bramą pokazał się stróż...

— Otwierać, bo bramę wywalim! huknęli z dołu.

— Ja kluczów nie mam, rządzca śpi, pani wyjechała... nikogo tu nie puścimy.

— Pan młody ze stryjem... otwierajcie, bo ognia damy...

Człek się umknął, a tuż — jak to po chmielu nie trudno, dwóch wystrzeliło i z muru się tynk posypał. Więc gdy raz huknęło, już nie było co myśleć — wszyscy się rzucili na bramę.

Ale stare to były dębowe okowane i puklami nabijane wrota, na potężnych wrzeciądzach, na blisko ćwierć łokcia miąższe... więc choć walili bez miłosierdzia, ani się zatrzęsły, tylko huk się rozlegał...

Co było kawek na bramie, w poddaszu pozlatało z wrzaskiem — ale we dworze, choć by się był człek z letargu obudził wszystko spać się zdawało — ani znaku życia...

Dopiero nie rychło domyślił się Żubr, żeby częstokół wyłamać i do fortecy się dostać dziurą. Tak też i uczyniono... nikt im nie bronił. W dziedzińcu jakby wszyscy wymarli... ani światła ani żywej duszy... Wprost tedy całym tłumem do dworu się sunęli... Tu też drzwi zaparte... Stuknięto raz, drugi, nie ma ludzi! Łam! zawołał ktoś — Wybito tedy drzwi, aż na ziemię legły... Dopiero z wnętrza zjawił się blady jak trup rządzca ze świecą w ręku.

— A godziż się to? a godzi! po nocy! najazd na dom szlachecki w ten sposób...

W tym Zbisław wystąpił.

— Miej waszeć rozum — rzekł — ja tu nie w gościnę przyjeżdżam ale do siebie. Wziąłemże przecie ślub z p. Domicellą, mam świadków... każ waćpan dawać wieczerzę i wina nie skąp, albo nie, prosić nie będę... dostaniemy sami... Ale wara mi się opierać, bo gorzej być może...

Rządzca zoczył p. Bożeńskiego, którego prowadzono pod ręce.

— Panie Starosto — zawołał błagając — a czyż pan w domu wdowim bratowej możesz dopuścić takiej zgrozy? Niechże pan przemówi...

Bożeński nic nie odpowiadając jeno mrugnął na rządzcę, żeby się już nie opierał... A tuż wszyscy na prawo się do jadalni wtoczyli.

Jadalną salę nieboszczyk Bożeński był przybudował sam i wysztyftował misternie, aby i na największą kompanią starczyć mogła... Siadało w niej sześćdziesiąt osób wygodnie... Na ścianach pozbierane portrety rzędem wisiały, kilku królów i familia nieboszczyka... W kącie kredensa wspaniałe od sreber pozłocistych... Że jegomość się w tym

kochał, żeby to było po pańsku i z cudzoziemska, więc u drzwi postawił jak to widział w Niemczech — dwóch rycerzów w całych zbrojach z halabardami... W sali choć ciemno było, ale stół jeszcze zastali nakryty po weselnemu, kwiatkami przyozdobiony... tylko siadaj i jedz... W lichtarzach jarzęce świece zatknięte... Zaraz je też gospodarząc sobie sami poczęli panowie zapalać... Dwóch wydelegowano do kuchni, po kucharza, bo wszystko szturmem brać musiano...

Ludzie się byli pochowali, słysząc hałas i strzały, gdzie kto mógł na strychy, do sadu, w warzywa, po stajniach, a niektórzy słabszego serca, aż na wieś pozbiegali. Dopiero pod szupasem zaczęło się ściągać i ognie na kuchni napalono... W izbie wszystko niemal stało gotowe, tylko wyziębłe, bo weselna uczta miała być wspaniała... Duchem wyrządzono wieczerzę. Nie dość na tym, w stajni na sianie znaleziono muzykę, co się była skryła, i ją też z kąta wydobyto, aby im grała. A że się basetlista opierał, dobrego guza dostał w dodatku, aż mu potym głowę chustą związano, że wyglądał jak plejzerowany...

Na przekorę smutkowi wzięła się taka ochota, że gdy do stołu zasiedli a podano wina, które było wytrawne i tęgie... już by

był nikt nie domyślił się, wszedłszy, że to tu raczej stypa niż wesele się obchodziło.

— Najadłszy się, napiwszy... rzekł Tomaszewski, który tęższym winem zupełnie się był wytrzeźwił, (bo nie ma po cienkuszu kwaskowatym jak mocne wino wytrawne. zaraz ono człeka na nogi postawi i głowę mu do jasna wyczesze). Co panowie myślicie? spać! Wstyd! Muzyka jest... musimy pójść w pląsy.

— Tak — a z kim? spytał drugi.

— Żeby też o dziewczęta było trudno, kiedy się chce potańczyć... *veniet ancilla*, kiedy pań zabrakło... Fraucymer jejmościn był ludny, muszą gdzieś panny być... zaprosimy je do tańca... A choćby Hapka która i Hrypinka przyszła... niechaj się przetrzęsą..

W śmiech wszyscy, myśl się podobała bardzo — tylko Bożeński protestował. — Zlitujcie się, czyście do nieprzyjacielskiego miasta się włamali, czy poszaleli. Szanujcież dom mojej bratowej...

— A cóż to pan myślisz, że my się tu jakiej nieprzyzwoitości dopuścimy, czy co? odparł Tomaszewski. Że sobie potańczym toć nie grzech... Przybyliśmy nogi nastroiwszy na wesele... jejmoście nam drapnęły... trudno im dać za wygraną...

Dwóch zaraz ochoczych puściło się pa-

nien szukać. Trzeba to przyznać, że nie wszyscy szli zgodni co do tańca, oponowali niektórzy, zwłaszcza, ci co nóg swych nie byli pewni... Tymczasem pito zdrowia... W pół godziny na sali zjawiły się jejmościanki cztery zapłakane, dwa wyrostki i troje dziewcząt z folwarku, ale w czystych i chędogich gorsecikach... Już za to zaręczyć trudno, czy łzy były prawdziwe czy udane, bo gdy kapela poczęła od ucha a kawalerowie pobrali owe Sabinki, twarze się im porozjaśniały i śmieszki słyszeć dały.

Było na co patrzeć, bo czystą komedyą grano z niemi. Posadzano je na krzesła i tytułowano Starościnami, Podczaszankami, Łowczankami, a obchodzono się jakby rzeczywiście niemi były... Dostało się po kieliszeczku słodkiego wina, do którego zostały przymuszone... a później ochota trwała do białego dnia jak w najlepsze.

Wszelako ani pan młody ani stryj p. Bożeński nie tańcował.

Już nadedniem poszli z sobą na naradę do drugiego pokoju, a co tam uradzili, nikt wiedzieć niemógł. Dosyć, że zdawali się być w zgodzie najlepszej. We dworze choć z musu słuchano i nie zabrakło na niczym...

Słońce wschodzić zaczęło, gdy się ta sza-

lona biesiada ze znużenia skończyła... niektórzy z sąsiadów wstydząc się prawie cichaczem powymykali, inni porozchodzili się spać — pan młody kazał koniom i ludziom być w gotowości do drogi.

Zjadłszy śniadanie samopiąt z przyjaciołmi, ruszył ze Żmurek, dokąd? o tym nikt nie wiedział... Uważano tylko, że w kierunku ku Lublinowi pociągnęli.

Na trakcie pomiędzy Żmurkami a Lublinem, gdzie się dwa gościńce przecinają wiodące jeden z Podlasia, drugi z okolicy Siedlec, w miejscu dogodnym dla podróżnych, od bardzo dawnych czasów stała gospoda, dość oddalona od wiosek — śród przetrzebionego już lasu. Zajazd zapewne w przewidywaniu jarmarków był ogromny, izb kilka (ale zajętych czasowo przez kartofle i kury), szynkownia rozległa, a gospodarz słynął z zaopatrzonej dobrze piwnicy i śpiżarni. Tu po nocy spędzonej na hulance w Żmurkach przybyło towarzystwo nam znane około południa i sam pan Zbisław zapowiedział wypoczynek, potrzebowały go konie, a i ludzie jeszcze więcej. Kazano w pustej komorze nasłać siana w pas, rozłożono

kobierce, poduszki, płaszcze i wszystko to legło z rozkoszą używać wywczasu.

Żubr tylko i pan młody pozostali na nogach, pierwszy przez przyjaźń dla Zbisia, drugi z wewnętrznego niepokoju, którego zwyciężyć nie mógł. Jeszcze konie były nie rozkulbaczone gdy Zbisław sam pobiegł do Moszka arendarza zdawna mu znajomego. Moszko był dlań pokorny, bo się Szaławiły (pod tym nazwiskiem wszyscy pana młodego znali), okrutnie obawiał. Wiedziano dobrze, iż nic go nie kosztowało człowieka potłuc, karczmę podpalić, figla bolesnego spłatać — gdy fantazya przyszła słoniną izraelitę prawowiernego nakarmić itp. Truchlało wszystko gdziekolwiek zajechał. Dawniej przynajmniej sowicie się opłacał... teraz mówiono, że nawet o grosz ciężko było a o excessy tym łatwiej. Moszko przystąpił doń z należną rewerencyą i rozbrajającym, pełnym słodkiej ufności uśmiechem.

— Słuchaj żydzie, niewiaro... masz ty zegarek?

— Jakto zegarek? a po co zegarek? zapytał Moszko...

— Wiesz dobrze godzinę?

— A na co mnie zegarek, żeby wiedzieć godzinę? odparł żyd. U mnie jest zegarek, ale

stojący... a najlepszy ze wszystkich, to koguty i słońce...

— No — dobrze, o którejże godzinie tędy przejeżdżała moja żona ze swoją matką?

Żyd oczy wielkie wytrzeszczył i nie zrozumiał.

— Z przeproszeniem jaśnie pana? albo J. Pan żonatego?

— Wczoraj w Żmurkach był mój ślub...

— A waj! z panną Bożeńską!! a waj! proszę ja pana niech ja pierwszy powinszuję. Ukłonił się jarmułką do ziemi.

— Z powinszowaniem poczekajcie — odparł Zbisław — o której one tędy przejeżdżały...

Żyd zmilkł.

— Ale pytam się ciebie... kiedy one tędy przejeżdżały...

Moszko patrzał, brwi podniósł do góry ogromnie, zdawało się, że niewiedział, co odpowiedzieć.

— A kiedy one miały przejeżdżać? zapytał z pewną trwogą.

— Ja się ciebie, żydzie pytam! krzyknął Zbisław...

— Ja nikogo nie widziałem! rzekł żyd.

— Ale to niemoże być! dodał pan młody,

wiem, że pojechały do Lublina, a ze Żmurek jadąc, minąć karczmy waszej niemożna...

— Pewno, że niemożna! dodał żyd... ale ja nikogo nie widziałem...

Po licu Zbisława przeleciał wyraz niecierpliwości, żyd zmiarkował, że się naraża na nieprzyjemne następstwa, jeśli nie odwróci gniewu i począł żywo.

— Proszę no, jaśnie pana... Że ja nie widziałem, to nic żadna racya, u mnie jest stróż, stary człek, co nigdy nie śpi, one może jechały nocą, a on najlepiej wie, co się na gościńcu dzieje... niech on powie...

Pan młody kiwnął głową, żyd pośpieszył trwożnie, a po chwili ukazała się z nim razem wlokąca postać osobliwa starego Wojtka, karczemnego stróża od lat dziesięciu.

Wojtek był obrazem nędzy zobojętniałej, dumnej, zdziczałej; starzec siwy z ogromnym rozczochranym włosem na głowie, twarz blada, opiła, oczy zgasłe w powiekach czerwonych, broda niegolona, koszula szara podarta, nogi bose... Ale mimo to za pas się trzymał oburącz i wyglądał jak pan udzielny. — Nie skłonił się nawet p. Zbisławowi, dobył brzozowej tabakierki i zieloną tabakę zażywał obojętnie.

Pan młody rzucił mu parę trzygrosznia-

ków, które Wojtek pochwycił, nic nie mówiąc i do tabakiery wpuścił.

— Słuchaj — jechał kto tędy dziś nocą ze Żmurek, powozem do Lublina? spytał pan młody.

Chłop głową potrząsł.

— Nie — rzekł — nie, przed północką jechało kilka wozów chłopskich, potem pleban z Żółtej Górki który nocował i do dnia ruszył, w pierwszych kurach przesunęły się podwody z Hajworza i przystały... com im wódki wynosił... a nadedniem ino dwóch konnych ludzi... więcej nikogo nie było...

— Może powóz minął..?

— A choćby i minął? toć ja śpię na przyźbie.. to bym słyszał...

— Ale jakże może być?

— A czy ja to wiem jak może być? rzekł stary dziad — dość że nie jechał nikt... Zbisław spojrzał na Żubra, kiwnęli na siebie i poszli do izby.

— Cóż to ma znaczyć? rzekł cicho pan młody, że one niepojechały do Lublina? więc, dokąd? słyszysz? jak ci się zda?.

Żubr który nie był bardzo bystry głową ruszał.

— Cóż się z niemi stało? hę? jeżeli nie pojechały do Lublina, niemamy i my po co

tam jechać.. tymci lepiej, żonę łatwiej mi będzie odzyskać gdzieindziej niż z klasztoru.. bo taki zawsze, widzisz, napaść na klasztór... może być sprawa nie dobra! — Ale co ci się śni? alboś myślał na prawdę klasztoru dobywać? spytał Żubr.

A co ty myślisz? dobywać czy włamać się, czy wkraść.. dosyć że żonę dostać muszę. Rozumuję tedy tak, jeżli nie jechały tędy, niepojechały wcale, kryją się gdzieś na wsi, trzeba nawracać, szpiegować, dowiedzieć się, napaść i porwać...

Żubr westchnął, rokowało to ciężką wyprawę.

— E! dałbyś pokój! zawołał — co ci tam po takiej żonce która ciebie nie chce... siedziałbyś spokojnie...

— No! no! ja wiem co robię, nie studź darmo gęby — odparł Zbisław — mnie, jak ja sobie co powiem, i sam diabeł nie przekona..

— No, to rób sobie co chcesz!

— Ty bo dobra bestya jesteś — dodał Zbiś, ale nie do rady... chodźmy do naszych...

W izbie zmęczeni podróżni drzemali na sianie, dla rozbudzenia ich w sposób oryginalny, wchodząc pan młody z pistoletu wypalił. —

— A temu jeszcze w głowie szumi! krzyknął Tomaszewski — nikomu nawet spocząć nie da.. niech cię djabli porwą...

— Jak Twardowski bym się w powietrzu zawiesił! roześmiał się Zbisław — no! no! Zgoda! na nogi! do rady. Moja żonka zdaje się że tylko symulowała ucieczkę do Lublina, ukrywać się musi gdzie indziej... trzeba tego dojść...

— A no — dochódźcie — ziewnął Tomaszewski — ale jabym tymczasem spał.

— Mnie trzeba sprytnego szpiega coby się za żebraka przebrał...

— E! e! dajże ty nam i sobie pokój! ofuknął Barański, któremu głowa po winie bolała — daj pokój! Ja ci się radą zdrową przysłużę — jedźmy do domu, wytchnijmy kapitalnie, wysmarujmy się... najedzmy, czas radzi... zobaczemy co robić. — Mnie się widzi że ty za swoją Domcią nie bardzo byś latać powinien, bo jej już — nie dostaniesz.

Zbisław ruszył ramionami.

— Słuchaj Barański — odezwał się. — Znasz ty mnie? hę? znasz? jak ty co podobnego powiedzieć możesz... Żebym ja jednej spodniczce z siebie dał drwić, żeby mi moja własna żona figę pokazała a ja ją zjadł i strawił? kto? ja? ja? ja?

— Ani byś był pierwszym ani ostatnim Samsonem, którego Dalila oszukała. Na twoim miejscu funtową świecę bym dał przed ołtarz krzyża Ś. u Dominikanów w Lublinie że mnie od nieszczęścia Bóg ocalił...

Co to gadać!

Głową kiwnął Barański i na słomę się powalił.

— Co ty przez to chcesz dać do zrozumienia spytał Zbisław — gadaj otwarcie — mów wszystko... ja będę słuchał...

— Musisz wszystko przecież wiedzieć! szepnął leżący towarzysz.

— Gadaj... stanowczo a gniewnie zawołał pan młody, rzucając się na posłanie — gadaj lub się bić będziemy.

— Nie groź że ty mi, bo i gadać będę i bić się jestem gotów dla twej przyjaźni, a wiesz że się ciebie i nikogo nie boję.

— No — gadaj...

— Jak ci nie w smak pójdzie Zbisiu, wina nie moja... Mnie całe to ożenienie wasze nie podobało się od początku do końca. Wlazłeś na upartego, gdzie cię oprócz stryja — nikt dobrym okiem nie widział... Cały świat wie, że pannę kochał szalenie Staszek Horwat, że ona go kochała, żeś tam wlazł między ich dwoje jak Piłat w Credo... żeś przez

stryja matkę obałamucił, a matka córkę przynagliła do tego małżeństwa... Domcia póki była panną, nie miała swej woli, płakała, nagadali jej że Staszek o niej zapomniał, skłamali pono że się ożenił nawet... poszła do ołtarza, ale teraz gdy ma dobry powód rozstać się z waszecią a jest już więcej panią swej woli... rozwód dostanie. I ty byś panu Bogu dziękował — co ci po takiej żonie która innego kocha?... Ze stryjem zrobiliście frymark, boś mu trzyletnią dzierżawę części majątku żony zapewnił i z tenuty pokwitował bez grosza... Wszyscy to wiedzą...

Zbisław się zamarszczył i złośliwie popatrzał na Barańskiego.

— Pleć! pleć! zawołał — słuchając ciebie ktoby powiedział że wróg gada nie przyjaciel... A cóż to ja za zbrodnią popełniłem? hę? albo to się u nas tak ludzie nie żenią? Albo to co zdrożnego żem stryjaszka posmarował? A te amory panny to dzieciństwo! Ja się Staszka nie boję, a wlezie mi w drogę, to go zduszę na gorzkie jabłko...

— Co z tobą gadać człowiecze, kiedy ty na pięść tylko rachujesz? odparł Barański. — Staszek prawda ani siły twojej, ani śmiałości nie ma, chłopiątko delikatne, mdłe, białe...

nieśmiałe, ale taki do kobiet najniebezpieczniejszy... Domcia go kocha...

— A za pół roku ja się tego kochania obawiać nie będę! rozśmiał się Zbisław, bylem ją wziął. Będzie mi ona śpiewać jak ja zagram...

— Chyba tańcować! poprawił Barański.

— I śpiewać i tańcować! zawołał Zbisław... Te romanse gołowąsów i studentów mnie nie straszą... Jak zostanie moją żoną z głowy jej to precz pójdzie. — Już ty mi więcej nie mów nic...

— Ja śpię — daj mi pokój — dokończył Barański i do ściany się odwrócił.

— Albo wy jesteście moi druhowie serdeczni albo nie — rzekł po namyśle pan młody — wola wasza! Przyjaciel się próbuje we frasunku, widzicie co mi się przygodziło... widzicie! a chcielibyście opuścić mnie w takim sromie i biedzie?

Jak sobie chcecie, ja nikogo nie muszę — ale kto dziś nie będzie ze mną, z tym ja nie będę nigdy... Ty wiesz Barański żem cię ratował nieraz, ręką i workiem, alem może kiedy i Tomaszewskiemu posłużył i Dygowskiemu był na coś przydatny i Zabrzuskiemu pomógł. — No — a teraz kiedy na mnie przyszła kreska, wy mi ręki podać nie chcecie.

— Jak to? nie chcemy — chórem ozwali się Tomaszewski, Zabrzuski i Dygowski, a za niemi i Barański ze swego posłania — ale my przecie pójdziemy za tobą i w ogień i w wodę.

— Tylko nam wolno, właśnie jako przyjaciołom, dorzucił .Barański, pokazać ci że gra świecy nie warta... Więcej byś pannie wzgardy pokazał, gdybyś plunął i porzucił.

— A tego ja nie uczynię! nie uczynię! nikomum w życiu nie ustąpił — huknął Zbisław i przed jedną też a choćby i dwoma babami nie cofnę się... Gdybym miał żonę wziąwszy na trzeci dzień ją z panną wyprawną na wozie do matki odesłać... (co może być) to ją przecie muszę mieć, choćby na dni trzy... To mówiąc uderzył nogą w podłogę Szaławiła i zamilkł.

— No — no — nikt ci już nic nie mówi! dorzucił Tomaszewski...

W tym Dygowski wstał z kąta... Na kominie stała flaszka wódki gdańskiej i kubek, poszedł naprzód się napić, sam, w milczeniu, potym stanął przed Zbisławem, ręce założywszy i rzekł powoli.

— No — niech cię tam wciórnastki... Zbisiu — gadaj czego chcesz, ja ci służę...

byle awanturka — ja to lubię. Co na półmisku?

— A no, naprzód trzeba wyszpiegować co się z babami stało...

— Jakże tu wyszpiegować? jak? pójdę jak stoję to mi nikt pewno nie powie — rzekł Dygowski — a przebierać się.

— Ot co ci wielkiego — zaczął Tomaszewski, weźmiesz chłopskie albo żebracze suknie, będzie ci do twarzy...

Zaczęli się śmiać, w istocie Dygowski miał taką głowę, żeby się jej ani chłopek ani żebrak nie powstydził. Wyglądał staro i brzydko, na jednym oku skałka, płeć czarna, włos prawie biały, nos i twarz popryszczone — istne straszydło. — Chłop był zdrów, krzepki, wytrwały jak żelazo, a co gorzej strasznie miłosnego temperamentu, więc mu z tym obliczem na świecie bardzo było niewygodnie — ale go żadną sztuką odmienić było niepodobna.

— Wezmę, rzekł Dygowski, dla przyjaźni Zbisia, choćby chłopską sukmanę i żebraczy kubrak — czemu nie! abym tylko mu mógł posłużyć.

Zbisław zerwał się i ściskać go zaczął.

— Tyś mi jeden druh! krzyknął — ale

na Boga ci się kłnę — odwdzięczę ci — ożenię... życie dam za ciebie.

— Życia nie potrzebuję, rozśmiał się Dygowski, tylko mnie ożeń z ładną panną, a z reszty kwita.

— No — słowo daję że pannę znajdę — zaśmiał się Zbisław... a teraz wywiąż się ze słowa...

Dygowski pomyślał, napił się wódki i nie mówiąc nic pomalutku wyszedł.

Po zniknięciu jego, milczenie czas jakiś w izbie panowało, Szaławiła chciał świstać a wzdychał. Żubr sapał. Barański czy udawał że śpi, czy spał już w istocie i chrapał.

— Ej! ej! począł ziewając Tomaszewski... nikt, co prawda, małżeństwa ci tego nie radził, Zbisiu... ale teraz gdy się stało — to juźcić prawda że dla honoru męzkiego, nie godzi się ustąpić, bo by się z nas śmieli...

— Ja też ustępować nie myślę... począł Zbisław — Nie pierwsza to u nas w kraju tego rodzaju historya, i nie ostatnia... Nasłuchałem ja się z młodu od nieboszczyka ojca jak porywano i małoletnie i odbierano, i sadzano w klasztorze i z klasztorów je mężowie dostawali i siekli się i pałaszowali o niejednę... Co za dziw że ja sobie też tak począć muszę...

Ciężko mi było pomyśleć że się do Brygitek schroniły, ale gdyby i tak było, przecież mury nie żelazne, a we świecie drabiny się znajdą. Jeżeli na wsi bawią skryte to je odszpiegujemy... a niema takiego dworu i takiego zamku, żebym ja się, moich ludzi wziąwszy, tam nie dostał... Więc to sprawa tylko o to, żeby wiedzieć kędy się moje jejmoście skryły...

— Ale czekajże — rzekł Żubr, nie jedna droga do Lublina...

— Jedna...

— Co to jedna! zresztą nocą stróż mógł prześlepić — trzeba jednemu do Lublina zbiedz... ja pojadę.

— Jedź, Jasiu, jedź! weź najlepszego konia i najrozumniejszą głowę...

— Nie bój się, ja nie gadam — rzekł Żubr, ale do roboty to mnie nikt nie przesadzi... pojadę.

— Ależ cicho! przerwał Tomaszewski, wy spiskujecie na rynku... a tu żydzi słuchają... kto ich wie co myślą...

Poczęli szeptać gdy w progu zjawiło się odarte chłopisko z kobiałką na plecach, w plecionych łapciach, czapka na głowie.

Spojrzeli nań... aż w śmiech... Był to do-

skonale przebrany za wieśniaka Dygowski; a kto by go mało znał, ani by się w nim szlachcica dobrego rodu domyślił, usmarował sobie ręce, szyję, włosy na czoło napuścił, trzymał się garbato, istne chłopisko...

— Ta, ono to dobrze — odezwał się do Zbisia — ale piechotą mi się nie chce iść, do Żmurek furę najmę, a już potym dalej... pieszo...

— To cię w Żmurkach poznają choćby dziewczęta z któremiś wywijał mazura... zaśmiał się Tomaszewski.

— Jako żywo! to moja rzecz. — Fura mnie czeka za wisznicami... bywajcie zdrowi... Ale gdzie główna kwatera i dokąd mam z językiem?

— Co mamy szukać innej, rzekł pan młody... oto tu w gospodzie... między Żmurkami a Lublinem na trakcie, będzie najskładniej, tu nas szukaj...

Wszedł i Żubr jak do konia ubrany, żegnając się bo chciał przed nocą być w Lublinie.

Tomaszewski, Barański nawet i Zabrzuski wstali z posłania żegnać się z odchodzącemi. Wypito jeszcze po kielichu gorzałki... i za chwilę cicho było w gospodzie.

Jakkolwiek odprawiło się to wszystko bardzo prędko i cicho, nie zważał nikt że Moszko był na posłuchach i niby nie zważając, niezmiernie się na te obroty ciekawił. Przeprowadził oczyma Żubra... popatrzał na oddalającego się Dygowskiego, którego poznał pewnie i wszedł do izby udając obojętnego.

Tymczasem brało się na zmierzch, a nasi podróżni rozłożyli się obozem w karczmie, konie, służba i panowie... Nie było co robić tylko za wczasu spać, a że wszyscy czuli się pomęczeni, legli więc zalecając aby się cicho w karczmie zachowano...

Wieczór był letni, gorący, cichy jak gdyby przed burzą, okna w gospodzie pootwierane, gospodarstwu żydowskiemu wcale się na sen nie brało... ale cicho zachowywał się każdy, bo z takiemi panami jak Zbisio nie było żartów.

Tylko gościniec nie odpoczywał... ku wieczorowi i nocy podwody, wózki, jezdni zaczęli napływać i przeciągać. Ale że karczma była rozległa, a izba szynkowa w jednym, gościnna w drugim końcu, i zmęczeni sen mieli twardy, nie przeszkadzało im to do snu jak najszczęśliwszego.

Już dobrze się zmierzchło i niebo pociemniało, a gwiazdy tu i owdzie zjawiać się

na nim poczęły, gdy od strony Żmurek pokazała się bardzo skromna biedka, stanęła przed karczmą i wydobył się z niej kapotowy jakiś jegomość. Wyglądał jakby na mieszczanina z małej osady, granatową miał kapotę, kapelusz słomiany, a pod zwierzchnią suknią na bieliźnie czerwony pas. Biczysko zatknął w biedę, koniowi torbę do głowy z owsem podwiązał, a sam powoli podszedł ku przyzbie, na której teraz siedział sam zamyślony Moszko.

— Dobry wieczór panie gospodarzu, rzekł, gdyby kto wódki wyniósł, to bym się napił.

Moszko spojrzał... A czemu nie zajdziecie do izby?

— Konia odstąpić nie mogę, młody, płochliwy, aby co to go licho poniesie... niech mi tam wódki kto poda ale szabasówki...

— Z daleka jegomość?

— Nie — ja z Zabrzezia...

— A dokąd?

— Do Lublina...

— Jegomość ma interes? począł Moszko, który zwykł był zawsze śledztwo prowadzić.

— A mam interesa!

— Czy jegomość lepiej nie zanocuje... do dnia można zajechać...

— Pewno u was pełno w gospodzie. —

— Oj! oj! miejsca dosyć — tylko tam kilka koni pańskich i dwa wozy...

— A kto taki?

— No — co? pan młody ze Żmurek...

Mieszczanin drgnął widocznie, ale rzekł spokojnie.

— Czy nocuje?

— Pewnie że nocuje.

— Tak niedaleko od Lublina?

Żyd ramionami ruszył tylko. — Podróżny się obejrzał w koło, uważnie skinął na Moszka i powoli coś z nim szepcąc odszedł dobry kawał od karczmy. Nie można było słyszeć co z sobą mówili — wkrótce jednak Moszko i on w bardzo jakąś żywą a zajmującą weszli rozmowę. — Odchodzili kilkakroć opodal, jakby dla uniknięcia uszów i podsłuchów, potym wracali nazad, aż nareszcie przyjezdny wódki dostał, obwarzankiem zakąsił, około konia coś poprawił, biedkę nieznacznie zwrócił nazad i po cichu za karczmę ją wyprowadziwszy, zniknął.

Bohaterowie nasi spali i we snach roić coś sobie musieli, bo z izby oprócz chrapania dochodziły do sąsiedniej wykrzyki nagłe, urywane śmiechy, wołania jakby reminiscencye dni ubiegłych... Dopiero nad ranem, gdy mieszkańcy gospody budzili się do życia, w izbie

podróżnych ucichło zupełnie, znać snem podróżnych zmęczonych usnęli głęboko. Około siódmej rano, promień młodego słońca wdarł się przez zakurzone szyby do izby gościnnej i począł igrać tym swobodniej po zakątkach że tylko jedna strona okna była zamknięta, drugiej snać panowie ci zapomnieli na noc zaryglować lub umyślnie ją otworem dla lepszego zostawili powietrza. Ranek był pogodny i piękny, ruch na gościńcu żywy; blask słońca znać zbudził naprzód pana Barańskiego, który po zakrztuszeniu się silnym, porwał na posłanie i siadł, rozglądając w izbie, a oczy zaspane przecierał. Obok niego w różnych malowniczych pozach spoczywali Zabrzeski i Tomaszewski i Zbisio.

Zdziwiło to wielce Barańskiego, że wczoraj złożonych na sianie sukni, szabel, pasów itp. nie zobaczył. Pomyślał sobie, że je ludzie do chędożenia znać zabrali, ale kiedy? tego sobie nie przypominał. Dziwna też rzecz była, iż i szabli nie stało i czapek i pasów, ba — gdy się lepiej rozpatrzył — i kubka przy flaszce srebrnego i trzosików złożonych wieczorem na kominie.

— Jeżeli to Tomaszewskiego żarty — rzekł w duchu — dalipan nie do rzeczy… I huknął:

— Tomaszewski wstawaj!

Ten ociągał się jakoś i przewracał jeszcze.

— Ale wstawajcie trutnie! czas wódki się napić! mnie już mdło! powtórzył Barański... musi być około ósmej!

— Hę? ozwał się Tomaszewski — wódki? już wódki? a jakaż z ciebie bibuła...

Zbudził się i Zbisław rozglądając.

— Dzień dobry...

— O spało się dobrze!

— Bo to nie ma jak na sianie! niech mi nikt o pierzynie i materacach nie gada! dodał Zbisław... siano to Boże posłanie. Ale gdzież buty, trzeba by pójść konie obejrzeć, bo ta czeladź... niech ją...

W stajni właśnie okrutna, szpetna i nieprzyzwoita panowała wrzawa.

— Te łajdaki już się tam za łby wodzą! zawołał Zbisław, trzeba iść z prętem, aby ich pogodzić.

Obejrzał się — ale gdzież buty moje?

— Kto z was sobie żarty stroi? hę — dodał rozglądając się w koło... Tomaszewski... słuchaj.

— Czego chcesz! gdzie sakwa co leżała na kominie!

— Jak Boga kocham okno otwarte! Barański się bosemi nogami zerwał. — Czy

żarty, czy złodzieje! Drudzy też... — Jak Boga kocham! złodzieje skorzystali z twardego snu i obrali nas do nitki!

Spojrzeli po sobie — Zbisław czerwony był i wściekły... Gdzie szabla?... moja damascenka! a niechże ich porwą... Jakże może być żebyśmy się obrać tak dali! Chyba nam co podali w jadle czy napoju — Ja żyda w śmierć skatuję.

Wrzawa powstała w izbie ogromna.

Zbisław drzwi otworzył na oścież i krzyknął na chłopaka. — Jurek! bywaj!

Ale od stajni nie przychodził nikt, choć się powtarzało wołanie. Z gniewem wyskoczył już choć boso Zbisław... i zobaczył ludzi około wozów w zwadzie się z sobą ujadających... Wrzeszczeli jak opętani.

— Co wam takiego? trutnie jacyś! do porządku! Co to jest! huknął pan młody...

Ale w tym spojrzał na żłoby gdzie konie stały... koni nie było.

— Gdzie konie... u sto tysięcy? coście na paszę puścili czy...

— Ale gdzież tam, proszę j. pana! zawołał Jurek nadbiegając w koszuli... taż to nas w nocy ze szczętem okradli i nikt nie słyszał. Konie wyprowadzili, z wozów co było pobrano... a dodatku i gospodarz lamentuje

bo mu i śpiżarnię odbito i para koni jego poszła z naszemi...

Zbisław osłupiał.

Zuchwalstwo złodziejów przechodziło wszelkie pojęcie, trudno nawet myśleć było, ażeby się mogli dopuścić takiej kradzieży bez jakiegoś porozumienia w domu, bez podstępnego upojenia i sług i panów... Ale gospodarz lamentujący za końmi. gospodyni rozkrzyczana nad szkodą zrobioną w śpiżarni, dowodzili że ich posądzać nie było podobna.

Nie tyle by może czułym był na straty pan Zbisław, chociaż te bardzo znaczne być mogły, wliczywszy w to pieniądze zagarnięte z komina, szable, konie, suknie, tłumoki itp. ile na niewolą przymusową na jaką został skazany, dopóki by się w co odziać i czym jechać nie mieli. Nie było tak łatwo w tym oddaleniu od wsi cokolwiek bądź dostać. Wreszcie zkąd? od kogo? za co? O pogoni ani było myśleć bo konia nie mieli na lekarstwo.

W pierwszej chwili szum tylko było słychać, zwadę, zrzucanie winy z jednego na drugiego, — Jurek się klął, że Maciej był winien, Maciej zrzucał na Jurka, Zbisław gniewał się na Tomaszewskiego, że pod oknem śpiąc złodzieja nie słyszał, który mu omal na nos nie nadeptał. Tomaszewski uniewinniał się

znanym swym snem głębokim... Barański który pono najmniej miał pieniędzy; najgorszą szkapę, a najlepszy humor, pierwszy się śmiać i wydrwiewać począł.

— Żeśmy wszyscy ślicznie wyszli na Zbisławowym weselu, nie ma co powiedzieć! Wracamy *per pedes apostolorum* i goli jak święci tureccy. Dygowskiego odzienie i koń poszli z naszemi, ale mu choć mieszek został; Żubr choć konia ocalił... my... w koszulach i pieszo. Nie pozostaje tylko się udać w pobożną za grzechy pielgrzymkę do Częstochowy.

— Ale to tak płazem żydowi i złodziejom nie ujdzie! zakrzyknął Zbisław..... ja się pomszczę..

— Na kim? za co? żydowi parę koni ukradli...

Właśnie przed próg wyszedł arendarz lamentujący...

— Ja nieszczęśliwy! nieszczęśliwy! wołał — moich para koni warte były trzydzieści dukatów od siebie rzucając...

— Co ty mi o swych parszywych szkapach będziesz treny rozwodził — zakrzyczał Zbiś — kiedy mnie w koniach, sukniach i pieniądzach, obliczywszy straty wszystkie na parę tysięcy obrano... Twoje konie! kto może mi zaręczyć,

że ty nie byłeś w zmowie ze złodziejami i że koni dla niepoznaki im nie dałeś?

Na te słowa Moszko zbladł i cofnął się, twarz jego zmieniła się nagle, począł bełkotać niezrozumiale... Powołano stróża na świadectwo, sam Moszko upewniał że on nigdy nie sypiał. Wojtek przyszedł z tabakierką we wczorajszym stroju, ale okazało się że wysłany z wieczora całą noc nie był przy karczmie i nie wrócił aż rano. Pierwszy on dostrzegł, że wrota były otwarte... pierwszy alarm zrobił widząc że koni nie ma... ale o niczym wiedzieć nie mógł.

Jednego z czeladzi posłano chociaż bosego do najbliższej wioski po konie, zamyślając niemi dostać się do Lublina, a tymczasem ponieważ złodzieje zabierając kubek i wódkę gdańską sobie przywłaszczyli — ratowano się szabasówką Moszka, która w cudowny sposób ocalała. Pani Moszkowa cała we łzach z powodu strat poniesionych w śpiżarni, które obliczała wysoko; zaczynała jednak po kojcach poszukiwania jaj dla ugotowania jajecznicy olbrzymiej, której żołądki tych panów domagały się gwałtownie. Oprócz tej potrawy europejskiej, najłatwiejszej do zgotowania, gdzie tylko się kury znajdują, nie było nic, chleb suchy i kwaśne ogórki.

Tych ogromną misę przyniesiono na zakąskę po wódce i wkrótce ją ci panowie zmietli. Barański utrzymywał, że jak żyje tak dobrych solonych ogórków nie jadł... Wczorajsza pijatyka dodawała im smaku.

Czas schodził na regestrowaniu strat, które za każdą chwilą okazywały się znaczniejsze, pieniądze, zegarki, szable, pasy, w tłumokach owe paradne weselne stroje, kity, kanaki, rzędy... wszystko to znikło... i ani się spodziewać było można odzyskania skradzionych rzeczy. Od czasu zaciągnięcia kordonu austryackiego, złodzieje ztąd zwykli byli manowcami przebierać się do nowo nominowanej Galicyą Rusi, a tam już jak w wodę wpadali. Im obłów był znaczniejszy, tym rozumniej musiały być przedsięwzięte środki umknięcia z nim niepostrzeżenie. Złodzieje mieli kilka dobrych godzin zysku... a teraz upływał też czas daremnie, bo nie było ani czym ani kim urządzić pogoni.

Szczęściem że towarzysze Zbisława byli ludzie-hulajdusze... bez kontuszów więc nawet trzymał ich się dobry humor. Z całego sprzętu ocalała talia kart na kominie, po jajecznicy więc siedli na sianie grać na kredyt. Moszkowa dostarczała furażu, aby się nie nudzili.

Klęli że się dach na karczmie trząsł. Tak zszedł cały dzień... dopiero ku wieczorowi Zbisław posłyszał głos Żubra. Żubr na koniu wjechał do gospody i otoczony przez czeladzi, nim zsiadł już się o wszystkim dowiedział. Ale z aprehensyi i zdumienia jakby mu nogi odjęło, koń go do żłobu sam prowadził... W poprzek była belka od słupa do słupa, koń podbiegł nieco, Żubr czołem się ciął o belkę i jak długi o ziemię obalił. Już kiedy bieda to nie jedna, potłukł się, okrwawił a zły był, że o mało konia nie zdusił, wszyscy się zbiegli na to nowe widowisko. Jurek pobiegł po wodę, żeby głowę obwiązać, obstąpiono nieszczęśliwego Żubra.

— Ale gdzieżeś ty oczy miał? żeby też dać się koniowi na belkę wprowadzić! wołał Barański.

Żubr tym bardziej się złościł, jakoś go udobruchawszy, poprowadzono na siano... ale głowa rozbita nie dawała mu się rozgadać... póki się wódki raz i drugi nie napił. Obwiązano mu skronie mocno, aby krew nie ciekła, usmażono znowu jajecznicy i nie rychło zaczął się spowiadać...

Pan młody chciał tylko o jednym wiedzieć, czy jego żona była w klasztorze u Brygitek czy nie? O tym właśnie Żubr stanow-

czego nic powiedzieć nie mógł... Panna Furtyanka na jego zapytanie (udał bowiem, że z listem przybył) odpowiedziała wprawdzie, że pań tych ze Żmurek nie było... ale zarazem listu chciała się podjąć niby dla odesłania... Dawało to do myślenia, że się kryć mogły w klasztorze. Z drugiej strony w gospodzie na placu na przeciw klasztoru, z której widać bramę jego, o żadnym powozie i paniach przybyłych nic nie wiedziano. Żubr wąchał, śledził, pytał, dowiadywał się i wrócił przeklinając babską chytrość. — Zamyślił się i pan młody niepewien co tu poczynać dalej.

Konie wprawdzie ze wsi przyprowadzono, ale teraz zamiast w pogoń za żoną, trzeba było jechać do domu i odłatać się na nowo... począwszy od konia do butów i sukni, musieli panicze sprawiać sobie wszystko *de noviter repertis.* Zbisław jakkolwiek podszastał był dobrze ojcowiznę, buty dawnej nie pozbył, zaklął się więc że przyjaciołom swym straty ich ze swej kieszeni wynagrodzi... a była to niemała rzecz — chcąc jak należało obdarzyć, co sama duma nakazywała.. Wszyscy owi druhowie ludzie byli niemajętni, oprócz Barańskiego, ale ten miał żonę rozrzutną i kilkoro dzieci...

Do Wierzchówki pana Zbisława Wierz-

chowskiego było od owej nieszczęsnej karczmy spętanych o mil sześć — na chłopskie konie z popasem cały dzień drogi... Pod noc jechać na nic się nie zdało. Uradzono więc ruszyć ze dniem chłodem, a dla Dygowskiego kartkę zostawić, aby on po przybyciu swym zaraz za niemi pospieszał. Dygowskiego funkcya szpiegowska nie dozwalała się go spodziewać rychlej nad dni parę... Czekać nań nie było co, spełzły wszystkie projekta.

Ale nie znał by Zbisia ktoby sądził, że doznane przeciwności odebrały mu humor, pomięszały szyki lub zwątliły chęć odwetu... Powtarzał cicho — co się odwlecze to nie uciecze... a dumał, wąsa kręcił i łysinę tarł.

— Oddam z nawiązką za poczekanie powtarzał.

Już dobrze znowu zmierzchało, gdy we wrotach gospody posłyszano rżenie koni dopominających się żłobu, rżenie zwykłe podróżnym zmęczonym szkapom... Wprawne ucho Zbisława poznało też po brzęku uprzęży, iż jakiś powóz znać na noc chciał do karczmy. Dostawszy już jakichś butów i mogąc wynijść nie wytrzymał Szaławiła, żeby nie dotarł co się to tam działo. Licowe konie już były za próg wyskoczyły, ogromna landara wstrzymana jeszcze była za gospodą jak gdyby zawrócić

zamierzono. Moszek z jarmułką w ręku u drzwi powozu coś kłaniając się rozpowiadał. Zbisław i Żubr powoli podkradli się pod wrota.

— Proszę Jaśnie Księżnej... izba jedna była gościnna, ta zajęta... mieliśmy wielkie nieszczęście... tej nocy złodzieje czy rozbójniki zakradli się do nas i panów nocujących tu i nas na tysiąców obrabowali. Te panowie siedzą bez butów u mnie.

— No, to jechać dalej — ozwał się głos z powozu.

— Ale dokądże, proszę W. Ks. Mości, odparł grubym głosem służący, otyły, poważny mężczyzna, stojący z drugiej strony drzwiczek — dalej las... o dwie mile dopiero wieś, noc... konie pomęczone w śmierć, jeden kuleje.....

— A jakże ja tu nocować mogę! bolejąco ozwał się głos z powozu.

— Dalipan, Jasiu — szepnął Zbisław do Żubra, to moja księżna.

— Jaka, twoja!

— Dobrodziejka i protektorka od młodości...ta której winienem całe moje wykształcenie! Szaławiła się uśmiechnął — Cóż bo, nie domyślasz się to przecie Księżna Podkanclerzyna...

To mówiąc Zbisław, choć był tylko okryty opończą od Jurka pożyczoną, poskoczył ku karecie... zrobił minę nieszczęśliwego żebraka, schylił się, wyciągnął rękę i począł...

— Jaśnie Oświecona Księżna Pani! ulituj się nad nieszczęśliwym podróżnym... którego spotkała niedola... raczcie obdarzyć choć...

— *Grands dieux*! to pan... to Zbiś!

Ten w śmiech... głowę podniósł...

— Widzi pani co to nas tu spotkało...

— A to was? o mój Boże!

— Tak, mnie, i moich przyjaciół... do koszuli nas obrano...

— Strach mnie ogarnia... zawołała księżna z powozu — o! już dalej nie pojadę.. będę tu nocowała. Zajeżdżać, grzeczni kawalerowie ustąpią mi z izby, a sami pojdą spać do sieni...

— I przez całą noc będziemy wartę trzymali, ażeby księżnie koni jak nam nie ukradziono...

Tak tedy powóz, bryka i karyolka wtoczyły się z księżną panią i dworem do gospody. Było to prawdziwe błogosławieństwo Boże, księżna Podkanclerzyna wracała z Lublina do dóbr swoich, zaopatrzona obficie we wszystko czego w drodze potrzebować mogła. Jechał z nią kamerdyner, dwie służące, dwóch

lokajów, hajduk ogromny drab słynny na całą Polskę ze wzrostu i dwóch rękodajnych dworzan, szlachty ubogiej. — Weselej się zrobiło zaraz, szczególniej Zbisławowi, który na dworze owego Podkancierzego lata spędził młode i był w wielkich łaskach u Podkanclerzyny.

Księżna miała lat blisko pięćdziesiąt, może więcej, ale zapominała chętnie o metryce..... strojna zawsze, wyświeżona, uróżowana, wysznurowana (dla zbytniej nieco otyłości) owdowiawszy od lat kilku, mówiono iż miała jeszcze nadzieję wyjść za mąż, chociaż syn pono trzydziestoletni, żonaty i wnuczki protestowały.....

Dwie rzeczy zajmowały księżnę nadzwyczajnie, zabawy i interesa majątkowe... Miała ona dobra znaczne bardzo, ale odłużone... i sama rządziła niemi z plenipotentem, prowadziła procesa, frymarczyła folwarkami, puszczała zastawy... przyjmowała i odprawiała ekonomów. Resztę zbywającego jej od tego kłopotliwego zajęcia — czasu, lubiła się bawić wesoło, szczególniej w męzkim towarzystwie. — Gdyby nie trochę trądu na twarzy, źle pokrytego bielidłem, byłaby jeszcze dość ładną, a twarz nieco już zwiędła okazywała

ślady niepospolitej piękności przekwitłej, o której wiele mówiono.

Księżna mimo utrapionych interesów, lubiła żyć wygodnie, chociaż przytym miała przystępy skępstwa... i oszczędności. Życie jej upływało na podróżach po sądach i trybunałach, gdzie sama pilnowała procesów, w papierach i rachunkach, w wycieczkach do stolicy i za granicę, trochę w politycznych frymarkach i intrygach wszelkiego rodzaju..... W towarzystwie była to osoba dobrze wychowana i rubaszna na przemiany, wielkiego tonu i bardzo prosta, jak jej było wygodniej..... Pierwszą w świecie dla niej rzeczą była ona sama.. po sobie kochała bardzo syna jedynaka, a po synu wszystkich ludzi, z którymi czas przyjemnie spędzić było można. Do tych należał z dawna Zbisio Wierzchowski... niegdy dworzanin księcia J. M., faworyt wielki pani, który choć się potym oddalił zawsze w łaskach pozostał, i co kilka miesięcy bawił po kilka tygodni u protektorki swojej.

Księżna przesiedziała w powozie, dopóki izby zajmowanej przez nieszczęśliwych towarzyszów pana młodego nie oczyszczono. Zbisław stojąc u drzwiczek landary, bawił ją rozmową, służba tymczasem wyprzątała, obi-

jała, kadziła... a Tomaszewski, Zabrzeski, boso wynosili się do żydowskiego alkierza.

— Ale mówże mi asindziej, w jaką to znowu popadłeś awanturę...

— A! M. księżno! prawda że w awanturę...

— Niespokojny duchu! klapnęła go rękawiczką po ręku, którą położył na drzwiczkach..... pfe! że się też to nigdy nie ustatkuje...

— Taka niepoczciwa natura! westchnął pan młody — ale teraz... gdy się wilczysko ożeniło...

— Jak to? ożeniło? z kim? gdzie? jak? żonaty jesteś.

— Od pozawczoraj, księżno dobrodziejko, a ślubny wieczór spędziłem samiuteńki jeden z przyjaciołmi.

— Gdzież żona?

— Drapnęła mi księżno.

— Jak to? od ołtarza?

— Tak, prawie jak od ołtarza... westchnął Zbisław... ale to cała historya...

— No to mów, rozpowiadaj, niemasz przecie co lepszego do robienia... nieszczęśliwy człowiecze...

— Po co się tu długo z grzechów spowiadać, księżno dobrodziejko, mówił Zbisław.

Zaswatałem się był naprzód w Hrubieszowskim i byłem zaręczony, panna śliczna, ale cóż? Dopatrzyła się całusa, który przez pustotę dałem innej i rzuciła mi pierścionkiem w oczy... Tymczasem ojciec nie chciał mnie ze słowa puścić... Jam sobie w świat jechał, tu mi się panna Domicella Bożeńska trafiła... prawda że ona mnie nie bardzo chciała, ale mnie się podobała. Po długich korowodach dali mi ją... Ale cóż? ledwieśmy od ołtarza odeszli, jawi się ojciec pierwszej panny z protestem, robi mi awanturę, a moja żona wypowiada posłuszeństwo i ucieka.

— Cóż waćpan pleciesz? bajki z tysiąca nocy! awantury arabskie! zawołała księżna pani... czy żartujesz sobie ze mnie.

— Ale gdzież znowu... mościa księżno! czyżbym śmiał! Tak było, niestety! tak było.

— I cóż?

— Nawet dotąd nie wiem gdzie mi żona uciekła, czy do Brygitek do Lublina, czy gdzie indziej się skryła... ale gdyby do piekła pójdę za nią.

— O! o! Jak Orfeusz za Eurydyką!i zaśmiała się księżna — cóż to ją tak kochasz?

— Podoba mi się, a przytym M. księżno nie rad z siebie daję żartować. Przecież mi przysięgała i jest żoną moją. Właśnie się moi

przyjaciele na zwiady rozjechali, gdy mnie tu to nowe nieszczęście spotkało.

— I cóż myślisz?

— A no naprzód muszę o butach myśleć, rozśmiał się Zbisław, potym zobaczymy...

Tu się rozmowa przerwała; dano bowiem znać księżnie, iż pokój gotowy, kamerdyner, hajduk, dwie służące i dwóch dworzan przyszli przeprowadzać do mieszkania, które wcale nie było podobne do tego, czym było przed chwilą. Znalazły się sprzęty, pookrywano ławy dywanami, stół zasłano makatą, izba woniała kadzidłem.

Zbisław przeprowadziwszy do progu swą opiekunkę dawną, rękę jej ucałował i chciał się cofnąć — ale został uprzejmie zaproszony na wieczerzę podróżną... Wahał się jeszcze, czy mu się godziło przyjąć samemu książęce przysmaki gdy drużyna była o głodzie i wódce, a księżnie znowu tak licznej kompanii narzucać nie było podobna, gdy Podkanclerzyna się uśmiechnęła.

— Przyjdź no, przyjdź ozwała się klepiąc go po ramieniu, nie ceremoniuj się, twoim przyjaciołom poszle się pieczeń zimna, a może tam jeszcze co dodatku, więc ich na sumieniu mieć nie będziesz...

Tak pocieszony Zbisław odszedł do swoich

z dobrą miną i nowiną. Pieczeni szczególniej byli niezmiernie radzi, bo szlachcic w ogólności jest stworzeniem mięsożernym, i żadna w świecie choćby z bażancich jaj jajecznica go nie nakarmi, póki się z wołowiną nie spotka. Pod tym względem mieliśmy instynkt zachowawczy anglików. Wprawdzie szły i jałowice na stół, gdy karmnego wołu nie było, ale bez wołowiny szlachecka kuchnia się nie obeszła.

Towarzysze pana młodego w zbyt zaniedbanym będąc stroju, ażeby się kobietom przedstawić mogli, u drzwi alkierza przez szpary czatowali na zwijające się służące księżnej pani. Jedna z nich wprawdzie dobrze była nie młoda, ale za to druga tak piękna, że dla napatrzenia się na nią, Zabrzeski z Tomaszewskim o mało się nie pobili.

Pan młody chodził zamyślony... bądź co bądź przybycie protektorki było mu na rękę, nie wiedział jeszcze jak je zużytkuje, ale spodziewał się zawsze skorzystać. Najbliższe dobra i czasowa rezydencya księżnej była tylko o dobre trzy mile. Z niej nawet obrawszy tu główną kwaterę, wygodniej można było czynić ku Żmurkom wycieczki, a pomoc dziedziczki wielkich dóbr, mającej mnogich oficyalistów, leśniczych, strzelców, dwornią... nie

była do pogardzenia. Wprawdzie teraźniejszy plenipotent księżnej i wielki jej faworyt, wielce nie lubił pana Zbisława, ale to bynajmniej u samej pani szkodzić mu nie mogło. Tej stałych łask zawsze był pewnym. Zdało mu się więc, że tu sama opatrzność sprowadziła dobrodziejkę na ratunek...

Jeszcze medytował, gdy wniesiono pieczeń i parę butelek wina dla towarzyszów niedoli, a stary kamerdyner zaprosił razem p. Wierzchowskiego na pokoje do księżnej Jejmości. Zbisław poszedł... księżna już była sama przy stole zastawionym obficie; poprawiła nieco stroju i choć nie zbyt wytwornie była ubrana, wyglądała wcale świeżo i zalotnie.

— Mościa księżno! zawołał filut od progu... jak mi Bóg miły — musiał księżnie Cagliostro sprzedać swoję wodę, tak pani cudownie świeżo i młodo wyglądasz...

— E! bałamucie ty jakiś! odpowiedziała śmiejąc się księżna... bałamucie — siadaj oto i jedz... a nie paplaj... bo ja ci nie wierzę...

Pomimo tej niewiary, księżnę bodaj czy nie komplement p. Zbisława wprawił w humor cale dobry. — Nalała mu wina i wyzwała do obszerniejszego rozgadania się o losach i przygodach. — Pierwszy to raz pono w życiu słynnego Szaławiły, tak mu się fatalnie

zaczęło niepowodzić. Do tej pory bowiem zawsze i wszystko szło jak z płatka — miano go i on się sam miał za najszczęśliwszego z ludzi. Ale od tej podróży w Hrubieszowskie, od poznania panny Anieli zmieniły się konstellacye i gwiazda bohatera naszego zaćmiła. Na chwilę niby ożenienie ją odsłoniło i zdała się świecić dawnym blaskiem, gdy najniespodzianiej wesele tragicznie zostało rozwiązane, a Zbisław rzucony na przygody, których rozwikłania przewidzieć nie mógł. Fatalna ta kradzież, stosunkowo niewielkiej wagi wypadek pomięszał też szyki. Pan młody choć się pragnął uśmiechać, był posępny i zamyślony. Postrzegła to księżna i naganiła mu niepotrzebne kwasy, których nie lubiła.

— A! Mościa księżno dobrodziejko! zawołał Zbiś — jak tu być dobrej myśli kiedy los prześladuje — z ludźmi walka jeszcze połatawszy, ale z przeznaczeniem... trudna...

— A któż waści powiedział, że masz z przeznaczeniem do czynienia? Że ci się raz powinęła noga, jeszcze niema co rozpaczać, zwłaszcza kto sobie tak radzić umie jak wy.

I pogroziła mu księżna paluszkiem ale biedny pan młody wzdychał.

— Nie, nie, jest jakiś fatalizm — rzekł —

jest fatalizm... przeklęła mnie ta nieszczęsna panna Aniela!!

— Dobrze ci tak! po co dziewczęta zwodzisz...

Zbisław spuścił głowę... — Co tu teraz począć?

— Jedź do domu naprzód i ogarnij siebie i swoich... rzekła księżna... a masz że pieniądze...

— U żydów pożyczę...

Księżna zrobiła kwaśną minę.

— Czyż ci tak wiele potrzeba?...

— A! nie mało — odparł Zbisław... bo gdyby szło o paręset dukatów, toćbym przecie drugi raz żyto na pniu sprzedał.

— Drugi raz?

— Bo raz pono już sprzedałem — odrzekł obojętnie Zbisław — ale to nie moja wina. Żydzi na wesele dać mi nic nie chcieli, musiałem więc uciec się do tego środka..... a teraz...

— Słuchaj, mój ty szalony chłopcze, dodała księżna — jeśli ty myślisz, że ja ci pożyczę, to się mylisz. Sama musiałam dług zaciągnąć — niemam grosza przy duszy..... ale ci przecie coś poradzić i pomódz pragnę. Jedź do domu, przyszlę ci mojego Abrahama z Hubki i zaręczę jeśli potrzeba...

Jak się ogarniesz i trochę nabierzesz ducha lepszego, przyjeżdżaj do mnie, będę siedziała na wsi, założysz sobie główną kwaterę w oficynie w dawnym mieszkaniu...

Tu nastąpiło westchnienie wiele zaprawdę znaczące.

— No — dodała — i będę ci pomagać do odzyskania tej żony za którą się tak ubiegasz, a która ci pewnie w gardle stanie...

— M. księżno! zawołał Zbisław — ja na to tylko chcę ją odzyskać abym potym porzucił — żyć z nią nie będę... a wystrychnąć się dać na dudka — nigdy w świecie!!

— No! no! nie mówmy o tym — dodała księżna nalewając kieliszek — teraz wesołego mi coś praw... bieda na potym... Ja każę...

Rozkazanie księżnej Jejmości było tak skutecznym iż pan młody na chwilę zapomniawszy o położeniu spędził wieczór na pogadance wesołej i w znacznie poprawionym humorze, wrócił do swoich towarzyszów.

Do dnia po cichu, nie budząc nikogo panowie nasi ruszyli do Wierzchówki. Zbisław miał potężnego sprzymierzeńca.

Nie zdziwi to nikogo pewnie, że ojciec p. Zbisława Wierzchowskiego słynącego z roz-

rzutności wszelakiej, mienia, czasu, zdrowia i dobrej sławy, był jednym z najdziwaczniejszych skępców, jakich można było spotkać na obszarze rzeczypospolitej.

Dorobił się zapobiegliwością i oszczędnością niesłychaną wcale pięknej fortuny, ale ludzie mówili, że niedostatkiem wygód i nudziarstwem swym żonę wpędził do grobu a pono i dwoje dzieci. Został mu jedynakiem ów Zbisio ukochany, dla którego, mimo przywiązania, nie bardzo się na wychowanie wysilił. Przyjął był zrazu bakałarza, wędrownego klechę, który z wódką się pono lepiej znał niż z łaciną, aby chłopca rudymentów uczył; potym gdy tego nie stało, gdyż trzymać dla nałogu nie było podobna — chłopak się wałęsał bąki zbijając, niby do plebana uczęszczał na lekcye, ale z nich nie wiele też było pociechy. Oddano go do szkół, ale jak najoszczędniej, ordynarya i półtora sta złotych koprowiną wypłacanych, starczyły. Tu Zbiś poczuwszy w sobie szlachecką krew, więcej szalał niż się uczył. Koniec końców tak nabroił że go wygnano. Chłopak już był pod wąsem — co tu było począć z nim, ojciec wedle starych tradycyi, nawykły trzymać się pańskiej klamki, wierzący w skuteczność wychowania po wielkich dworach, nie mając

innego w pobliżu, powiózł go do księcia Podkanclerzego. Tu raz zdawszy go na opiekę marszałka dworu i ojcowski bizun z plenipotencyą powierzywszy czcigodnemu panu a bratu, powrócił spokojniuteńko do roli i zatrudnień około męczenia chamów. Rzeczywiście też na dworze księcia Zbisiowi było jak rybie w wodzie. Naprzód miał szczęście podobać się księżnie która go sobie za rękodajnego dworzanina obrała — potym wkradł się w łaski marszałka, naostatek potrafił współtowarzyszów zagarnąć pod swą władzę i zwierzchnictwo. Dwór, w którym szczególniej na występy wielkie, zachowywało się *decorum* pańskie, w powszednich dniach dosyć był sobie swobodny. Szalano okrutnie choć ostrożnie. Zbiś za wszystkich dokazywał. — Ztąd, prawdę rzekłszy, wyniósł on swoje szaławilstwo i zbytnictwo...

Dobrze mu było, choć mało co albo nic nie dawał, protegowany przez księżnę, gdzie tylko trafiła się jaka gratka, stawał do jej wzięcia. Na dworach ówczesnych nawet zamożna szlachta tych podarków zwyczajowych brać się nie wstydziła. — Gość, krewny, obowiązany, chcący pozyskać ucho dzierżawca, zastawnik kupował sobie względy faworytów konikiem, szabelką, pasikiem lub rulonikiem

dukatów. — Szło to gładziuteńko do kieszeni, kufra, do stajni, wszyscy o tym wiedzieli, zazdrościło wielu, nie sarknął nikt — brali wszyscy. Zbisio w rzadkich wycieczkach do Wierzchówki zdumiewał ojca garderobą, zapasami, dostatkiem... które szczęśliwego starca uwalniały od pensyi. Tatko też najczęściej zbywał na odjezdnym nic nie kosztującym ale rzewnym błogosławieństwem.

Zbiś nie bardzo mu dokuczał, miał tyle zdrowego rozsądku, iż sobie rachował już że skępstwo ojcowskie wyjdzie mu na dobre. W istocie gdy staruszek Bogu ducha oddał, a po pogrzebie przyszło robić inwentarz jego pokoju, od którego klucz zawsze na piersiach nosił, — Zbisio myślał, że wyszukiwaniu pieniędzy nigdy końca nie będzie.

Pokój to był ciemny, z wnętrza okutemi okiennicami obwarowany — pełniuteńki najrozmaitszych rupieci. Na pierwszy rzut oka nic się po tych niepozornych stósach gratów spodziewać nie było można — ale bliższe rozpatrzenie się dowiodło niezmiernej roztropności starca, który tak chował pieniądze, żeby złodziej wkradłszy się nie rychło je mógł zdobyć. Tak np. w garnku pierza pełnym na spodzie leżało w cieple tysiąc czerwonych złotych, w starych łachmanach, w wę-

zełkach pozawięzywane były talary i sztuki złota, w kominie pod popiołem było tysiąc bitych talarów... Wszystkie kryjówki, kątki, dziury pozapychane były różnych czasów uciułanym groszem, na którym częstokroć tylko stała data i znaczek. Począwszy od miedzi, starych tynfów, aż do pruskich dukatów Frydrychowskich i najlepszego hollenderskiego złota i portugałów różnych, wszystkiego tam można było dostać! Rejestrowano dwa dni dopóki się wszystko pozbierało, a pod podłogą poderwaną przypadkiem jeszcze nieszpetną summę odgrzebano. Gdy się to wszystko zgromadziło, a kapitały na obligach weszły też w porachunek, zdało się Zbisiowi, że był jednym z Krezusów w Polsce najbogatszych i stósownie do tego życie rozpoczął.

Czego mam sobie żałować? rzekł zaraz w początku. — Dziś żyjem jutro gnijem, albo ja głupi sukcessorom zostawić do użytku, co mi może przyjemność uczynić?

Naprzód tedy gorliwie się wziął do gotówki Zbisio, pojechał do Warszawy, zabawił tam pół roku, zgrał się, zachorował i powrócił z czyściejszym workiem niż sumieniem. W istocie dolegało mu to że dużo, dużo pieniędzy poszło na zielony stół w ręce szulerów. — Ale w domu były jeszcze niepodnie-

sione summy, obligi, rewersa itp., które żydzi rozkupili chętnie i kasa została znowu zaopatrzoną. Zbiś jeździł, bił się, swawolił, końmi frymarczył, panny zwodził, po miasteczkach burdy wyprawiał, a wkrótce on i jego banda stały się sławnemi w okolicy. Na chwilę nawet naśladując Albeńską, przyjaciele Zbisia poszyli sobie przyjacielskie mundury niebieskie z zielonym, podszewka karmazynowa... ale te gdy się podarły... drugich już nikt nie sprawił. Zbiś był postrachem okolicznej uboższej szlachty, do której dworków uczęszczać lubił bez ceremonii, a rzadko się gdzie po libacyach bez ekscessu obeszło. W jednym to z tych wypadków dostał to znakomite cięcie przez łeb — o którym owa szrama świadczyła. Innych pomniejszych w pojedynkach otrzymanych, policzyć by było trudno.

W tych czasach przytłumionego już w Polsce życia politycznego, zwichnionego bytu wewnętrznego, potwornych stosunków, które szlachcie odjęły dawną jej rolę i zatrudnienia, cała żywotność i siła jej, rzuciła się na różne tego rodzaju ekscessy, oryginalności, wybryki próżniacze... Starosta Kaniowski, Gozdzki i inni mnogich mieli naśladowców. — Życie przyjemnie płynęło na awanturach długo

bezkarnych, a człowiek od nich pewnego nabierał blasku.

Na takiego Szaławiłę wykształcił się Zbiś Wierzchowski, i już zadłużony, zrujnowany dyszał niemal ostatkami, gdy mu się trafiło bogate owe ożenienie... wyfrymarczone u stryja.

Na Wierzchówce też znać było i rządy i sposób życia jej dziedzica — i przeszłość niezatartą po ojcu...

Majątek był piękny, ale dwór stary i opuszczony; dopiero za młodego pana dobudowano mu fantastyczne skrzydło z kolumnami, które że były tylko tynkowane a często do nich z pistoletów strzelano, w znacznej części ze zwierzchniej powłoki poopadały. — Z gruntu nowe i wspaniałe stajnie żółto z białym pomalowane świeżej wyglądały i pokaźniej od samego dworu.

Zresztą największą ozdobą miejsca były stare lipy, grusze, które zielonością osłaniały nieład, jaki tu panował. Była chwila, w której Zbiś myślał sobie dwór nowy murować; założono nań fundamenta, podprowadzono ściany na parę łokci, ale cegły zabrakło, pieniędzy nie było, fantazya w inną stronę pierzchnęła i w tej nowej ruinie gnieździły się psy myśliwskie a wszelkiego rodzaju śmiecia i plugastwo. Dwór Szaławiły był liczny ale do-

rywczo pozbierany i kompletowany dziwnie, a nieustannie się zmieniający. Niektórzy uciekali, innych wyświecano z bata klaskając za nimi, niedołęgów było wiele... a darmozjadów najwięcej. Ale każdy z tych sług, dworzan, popychaczów miał jakiś słynny przymiot, którym się odznaczał, jakąś swą specyalność, co mu rozgrzeszenie win wyjednywała. Ten gwizdał cudownie, ów się na koniach znał, inny wabił doskonale lub dojeżdżał umiejętnie. Jeden nawet z głosem tenorowym i repertuarem piosnek dramatycznie odśpiewywanych żył tylko z tego talentu na dworze Szaławiły. Znał on się dobrze na pochlebcach i pochlebstwach, śmiał się z liziłapów, ale miał do nich słabostkę i trzymało się go dużo takich, co mu tylko podkadzać mieli obowiązek. Żeńskim gospodarstwem zarządzała córka ekonoma, panna piękna, dorodnego wzrostu, śmiała i energiczna, która — jak utrzymywano — tak dalece była w łaskach pana, iż nimi ojca poszlakowanego nieraz o jawne ze spichrza pożyczki i nie przebaczone pijaństwo, umiała utrzymać przy obowiązkach. W istocie rządził pono włódarz włościanin jeszcze z ojcowskich czasów do popychania gospodarstwa nawykły.

Pan młody z towarzyszami bardzo licho

poprzyodziewanymi, na furach chłopskich ruszywszy do dnia gdzie ich tak sromotnie ze wszystkiego obrano, mieli tyle w drodze niepowodzeń z końmi, ludźmi, popasami, burzą, co ich dwa razy wstrzymała po karczmach przez długie godziny, iż drugiego dnia dopiero, ale zawczasu jeszcze, spodziewali się stanąć w Wierzchówce. Tymczasem w wozie jednym przeładowanym znać, oś pękła, włokąc się na przedłużonym drągu, stracono dużo czasu, potym na przyprawianie osi... potym na przekąsywanie, tak że do Wierzchówki wypadło aż pod noc przybyć. Znając stan swej śpiżarni i gospodarność sług, pan Zbisław przewidywał, że ten powrót syna marnotrawnego żadnym tłustym baranem u święconym nie będzie. Nie trafiło mu się jeszcze nigdy w życiu przybyć do domu bez awantury i przymusu do surowego obejścia z delinkwentami złapanymi na uczynku..... Choć go się nawet spodziewano... zawsze ktoś pobroił i coś znalazło się nie po myśli. Wprawdzie tym razem dwór się mógł spodziewać przyjazdu pana młodego z żoną, ku czemu i dyspozycye wydane i przygotowania powinny być były poczynione. Na ten cel starego siwego lokaja — kredencerza, który niegdyś po wielkich dworach sługiwał, przyjął był so-

bie Zbisław... ale mimo to sam on drżał na myśl jak zastanie w domu. Ekonomówna klucznica straszliwie była samowolną, a ożenienie pana mające rządom jej absolutnym prawdopodobnie położyć koniec wcale jej nie smakowało... Mogła się więc przez zemstę dopuścić Bóg wie jakich nadużyć...

Wieczór był po burzy jeszcze parny, mżył deszczyk drobny i cichy, noc była czarna... gdy się Wierzchówka ukazała podróżnym znużonym, ochrypłym, ziewającym od niewygodnego snu na wozach. Zbiś jeden oka nie zmrużył, ten powrót bez żony i bez butów, i bez szabli i bez worka dolegał mu, przeczucia jakieś dziwne dręczyły... Na zwrocie ku dworowi, który spodziewał się ujrzeć ciemnym i we śnie pogrążonym, jakież było zdziwienie jego, gdy we wszystkich oknach postrzegł światła, a z kuchennego komina dobywający się dym czerwony świadczący, że tam nie na żart coś się przygotowywało. Miałżeby kto zdradzić ich przybycie? było to niepodobieństwem, cóż to się tam więc w pańskiej niebytności działa... Zmarszczył brew Szaławiła i skoczywszy z wozu równemi nogami zawołał — stój!

Ci co spali pobudzili się, drzymiący poczęli wołać: — Co? czego? co tam takiego?

— Stój! powtórzył gospodarz — cicho... We dworze dzieje się coś, czego nie rozumiem, nasi ludzie pozwolili sobie... ale — zjedzą... pieczonego... trzeba ich pochwytać na uczynku... Panowie bracia — wysiadamy...

Bolesne westchnienia wyrwały się z piersi, ale ze Zbisiem nie było sposobu, jak sobie co powiedział — stać się musiało...

Zakomenderował ludziom, aby nie poruszając się z miejsca pozostali gdzie ich wstrzymał — wyłamał na wszelki wypadek kij z płotu i syknąwszy na towarzyszów, znajomą sobie dróżyną po za psiarnią począł ich prowadzić tak, aby nie z przodu od ganku, ale od ogrodu dwór opasać mogli. Milczeli wszyscy... sapali otylsi... droga była po deszczu i śliska i nie bardzo bezpieczna, dzikie agresty i bzy utrudniały ją miejscami.

W miarę jak się zbliżano ku dworowi, śmiechy i hałas wychodzące zeń przez parę okien otwartych... dawały znać, że tam w istocie działo się jakieś licho niezrozumiałe... Zbisław z gniewu wczesnego wargi sobie do krwi kąsał... Główne światło wychodziło z izby jadalnej obszernej, od której dwa okna ku ogrodowi zwrócone, były na pół otwarte... Do nich z ostróżnością wielką zbliżył się Zbisław i jego towarzysze... Widok był za-

prawdę ciekawy, a zrazu nikt dobrze sobie z tego nie zdawał sprawy, co to być mogło...

Na wielkim stole dębowym w pośrodku izby leżał ogromny stos różnych jakichś rzeczy, sukni, odzieży, futer i drobnego cennego sprzętu. W rogu stołu kilka butelek wina i szklanek kilka świadczyły, że tę tajemniczą sprawę zapijano...

Nieco opodal imbryk od kawy i cukiernica, i talerze porozsuwane z jadłem, mówiły o tym, że się ktoś sobie posilał... Na kominku, że po deszczu powietrze było chłodne, a drewek olszowych nie brakło, palił się ogieniek niebieskawy... przy nim para garnuszków się jeszcze przygrzywała.

Wśród tych przyborów dziwnych, na wygodnym fotelu rozparta z ręką na stole, siedziała wspaniale odegrywająca widocznie z niejakim wysiłkiem i przesadą rolę wielkiej damy kobieta lat około trzydziestu, słuszna, brunetka, mająca w sobie coś nader rezolutnego i męzkiego. Strój jej był zaniedbany. Nogi wyciągnąwszy wygodnie dumała, pogardliwie spoglądając na resztę towarzystwa. To się składało z bardzo młodego chłopaczka przystojnego, białego, który stojąc nieco opodal, patrzał w oczy kobiecie i uśmiechał się w pół dziecięco, nieśmiało, a razem jakoś zuchwale.

Strach i zbytnia odwaga, istot słabych cechy, na przemiany go opanowywały. Bliżej krzesła stał mężczyzna w sile wieku, barczysty, zbudowany herkulesowemi kształty, w odzieży zaniedbanej, z wąsem do góry nasrożonym, z czupryną podgoloną... Przy nim w różnych postawach ożywionych, skłopotanych, zlęknionych kilku młodych ludzi, dworzan i służby, a na uboczu trochę szpakowaty mężczyzna, jeszcze krzepki, z twarzą spokojną, zamyśloną i nieco pogardliwie przypatrującemi się tej scenie oczyma.

— Djabeł sam wie, co to wszystko ma znaczyć, mówił barczysty Koniuszy, szarpiąc wąsy. Ja asańswu powiadam, że on nie żyje... Jego musieli zabić! Ja go znam, jeżeli tam przyszło do bitki, jak ono jest to jest, nie dał się. Musiała być liczba większa z tamtej strony i zasiekli... A co w tym dziwnego? Ani noga nie uszła widać... To uparta bestya...

— Ale ani kropli krwi na odzieży nie ma? odezwał się drugi...

— No, to cóż dziwnego? rzekł Koniuszy, tego odzienia, w którym się bili i pozabijali nie odesłano... Widać tylko resztę co przy nich była... nie chcąc uchodzić za rabusiów do Wierzchówki wyprawiono...

— Ale któż to przywiózł? spytała panna, bo gdym ja nadbiegła... już wszystko było na stole a ci ludzie odchodzili... Cóż oni mówili!

— Nie chcieli gadać, odezwał się Koniuszy, tylko gdym zapytał — Cóż, pozabijali ich, czy co? jeden mi odpowiedział — Ani noga nie uszła..

— Dowojował się — dodała panna — ja jemu zawsze mówiłam, że jeśli tak będzie postępować... to go djabli wezmą...

— Panna Karolina to mówiła — przerwał Koniuszy, ja mówiłem, wszyscy mu to gadali — ale co temu Szaławile było rady dawać? czysto groch na ścianę.

— Dobrze mu tak... odezwał się z boku inny.

— Należało mu, dorzucił inny — oj! należało. — Mało to on ludzi nakaleczył, kobiet nabałamucił... łez ludziom wycisnął? Pan Bóg cierpliwy ale sprawiedliwy.

— Ale co tu robić? rzekł Koniuszy, panno Karolino... co tu poczynać?

— Ja się nikogo nie pytam... i mnie się też pytać nie ma o co? Zobaczemy kto do majątku przyjdzie..... ma jakichś dalekich krewnych...

— Myśli panna Karolina, że tu kto co przed wierzycielami uchwyci... pójdzie to na

subhastę... długów więcej niż włosów na głowie... bo to szalało, waryowało a rachunku nie było za grosz...

— Co asan teraz mówisz, a niby to nie korzystałeś? i nie pomagałeś jak i drudzy? ozwała się panna Karolina ruszając ramionami.

— Moja panno — zawołał z oburzeniem Koniuszy, jeśli kto korzystał to pewnie wy więcej niż my... a czy sprawiedliwie, nie chcę o tym mówić, boś go panna Karolina za nos wodziła i zwodziła poza nosem.

— Milczałbyś! uderzając ręką w stół, ozwała się panna...

Stary, siwy, mężczyzna stojący na uboczu, ruszył ramionami.

— Nie ma tu pono co robić — mruknął, ale kto zasługi opłaci?

— A co, to my czekać będziemy aż tam co kapnie z łaski sukcessorów! zawołał Koniuszy. — Bylibyśmy głupi... ja biorę co napadnę z domu i stajni i jutro mnie tu nie ma. Niech wiatra w polu szukają... E! prawda panno Karolino...

— Nie bardzo ja tu asanu dam gospodarować — ponuro odezwała się kobieta, ja tu przecież z ręki jego byłam gospodynią... nie dam nic wziąść

— A sama wezmę! hę? — Niedoczekanie wasze! krzyknął Koniuszy...

— Myślisz, że ja się ciebie zlęknę? marsowo patrząc, zawołała panna. Mnie tu ludzie posłuchają, a was...

— No, no? czy myślicie wojnę prowadzić — rzekł śmiejąc się barczysty... z tym nam wszystkim źle będzie i wam nic lepiej. — Zgodą może się wyłatamy prędzej, panno Karolino...

Wypił szklankę wina dla rezonu.

— Niech który idzie do piwnicy i przyniesie jeszcze tego starego — zawołał — Co mamy sobie żałować? hę? pana djabli wzięli i poją go teraz smołą wrzącą, jak zasłużył... psia wiara! my winem się pokrzepmy, potym do sprawiedliwego podziału remanentów i — gdzie pieprz nie rośnie...

Panna Karolina na niego spojrzała.

— Ja nie dam ruszyć nic...

— Ej! Karolciu! życie moje! rozśmiał się Koniuszy — daj pokój ze mną wojować... bo jak ja zacznę gadać... a dużo wiem... będzie źle... dali pan będzie źle..

— Zobaczemy komu będzie dobrze a komu źle — zawołała panna Karolina, myślisz

że ja się gadania i czernideł boję. Ja o to nie dbam! niech ludzie sobie mówią co chcą.

— No — no — a ja powiadam, że na zgodzie i my i wy lepiej wyjdziecie... Chcecie wszystko zagarnąć i posprzątać, nim przyjadą krewni. Ja się zgadzam na to, ale żebyście wy sami mieli korzystać... nie pozwolę. Juściż mnie od tego nieboszczyka łotra... świeć mu lucyper smołą nad jego duszą — coś się należy.

— Tak to gadasz teraz, a lizałeś mu się póki żył? mruknęła panna Karolina.

— A kto się nie lizał? hę? z nim nie było żartu... jakby się jemu nie lizał, toby był dostał tak... że nie rychło by się wylizał potym z tego. To był zbój...

— Et! et! dalibyście znowu pokój, jeszcze trup nie zastygł może, a tak wymyślacie — przerwał inny. — Był popędliwy ale serce miał, a żeby nie te juchy przyjaciele co go otaczali, jeździli, popychali do wszystkich ekscessów. Tych to by bez sądu na gałąź!

— Jedli, pili, obdzierali i bałamucili..... dodała Karolina — już to, to prawda.

— E! e! cienkim głosikiem ozwał się młokosik... niby to on potrzebował, żeby mu bębenka podbijano? Albo to mu kto zrównał

we wszystkich ekscessach! On wszędzie był pierwszy... A tak do biednego człeka porwać się, a chlasnąć, a skrzywdzić, to mu było jak kawałek chleba z masłem zjeść.

Siwy mężczyzna stojący z boku zbliżył się się do gwarzących.

— Moje państwo — odezwał się spokojnie, jam tu nie dawno, nie znam dobrze jego, ale co was tom dziś się znać nauczył... Wstydzilibyście się umarłego szkalować, z którego łaski żyliście...

— Co to z łaski? odwróciła się panna... albośmy to mu nie służyli wiernie...

— Wiernie! rozśmiał się stary po swojemu, ruszając ramionami... a za nim ze śmiechem i wielu innych powtórzyli — Wiernie!

— Panna mówi o wierności! dodał Koniuszy...

— Plećcie sobie! mnie wszystko jedno — ja o was nie dbam, wstając z fotelu ozwała się z powagą panna Karolina... Ja tu pani póki kogo innego nie będzie...

— A kogo sobie teraz panna za adjutanta wybierze? szepnął, śmiejąc się barczysty Koniuszy... bo już ja nie w łaskach... Zerknął na młodego chłopaczka — Czy Wicuś?

— Mnie tu każdy posłucha! komu każę...

słyszysz! rozgniewana krzyknęła panna..... a ty...

— At! żarty! rzekł spokojnie Koniuszy nie zważając na fochy. — Mości panowie — dodał głośniej nalewając wina do szklanki — mam propozycyą do zrobienia... Wino dobre, my tu panowie, napijmy się za zdrowie na tamtym świecie — nieboszczyka pana Zbisława... niech go djabli za uszy dobrze trzymają, aby do nas więcej nie wrócił.

Śmiechem przyjęto ten toast... a przytomni nie dla konceptu, ale dla wina pochwycili za szklanki.

Można sobie wyobrazić jak przyjemnie z za okna słuchać było gospodarzowi tych mów pogrzebowych. Nie rozumiał on dobrze powodu, z jakiego go tu już za nieboszczyka miano, ale gniew i oburzenie miotały nim... Hamował się tylko ażeby jeszcze coś posłyszeć więcej, a kij ściskał w ręku, nastawiając ucha, jak gdyby się chciał zapewnić, że będzie miał czym po karkach pojechać.

Panna Karolina stała jakoś zamyślona...

— A co? panienko? ozwał się rozochocony Koniuszy, już jeśli kto to panna byś powinna po nim nosić żałobę.. hej! hej!

Karolka ruszyła ramionami.

— Co asan myślisz — odezwała się z kolei głosem bardzo uspokojonym — a czym on dla mnie był?

— Ej! bardzo miłościwym panem!

— Ale — ale! kończyła panna... u niego złe i dobre było jak wiatr w polu, co kręci się sam nie wie dla czego? Ja po nim bardzo płakać nie będę!

P. Zbisław za oknem wargi zakąsił. Zaczęli mówić inni, i zbliżać się do tego stołu na którym złożone były jakieś rzeczy, nie dobrze dające się rozeznać z daleka... Każdy chwytał co napadł i poczynano rozrywać, powstał hałas, panna Karolina rzuciła się także niby broniąc swej własności, gdy Zbisław wytrwać dłużej nie mogąc, pochwycił za uszak od okna i wskoczył z kijem do sali.

Piorun by straszniejszego nie wywarł skutku... Myślano że z głębi nocnych ciemności mściwy upiór przyszedł z piekła wymierzyć karę.. Co żyło rzuciło się krzycząc ku drzwiom, cisnąc tłumnie z przerażeniem, tylko stary siwy mężczyzna przy kominie pozostał prawie spokojny, a panna Karolina prędko się opamiętawszy powróciła, usłyszawszy grzmocenie kijem i krzyki, które dowodziły, że Szaławiła powrócił zdrów i cały. Koniuszy nie

czekając zapłaty umknął, chłopaków kilku wcisnęło się do kąta.

— A! trutnie jakieś! zawołał Zbisław, takeście to mnie kochali! tak to mnie żałowaliście? Czekajcież... dam wam co należy...

Za panem domu oknami poczęli się drapać Tomaszewski, Żubr, Zabrzeski, Barański; cała szereda towarzyszów równie zagniewanych na służbę jak sam gospodarz...

Młócba po grzbietach, której towarzyszyły jęki, uniewinnienia, prośby... trwała krótką chwilę. Panna Karolina pewna znać że się jej nic nie stanie, patrzała spokojnie na popłoch, jakby sobie nic do wyrzucenia nie miała.

Tak samo przypatrywał się stary kredencerz. Towarzysze Zbisława dopiero teraz zobaczyli że na stole złożone rzeczy były ich własnością skradzioną w gospodzie. Ale z kąd się one tu wziąć mogły? Ciekawość nakazywała rozpytywać... Wstrzymał się więc Zbisław kij rzuciwszy i wezwał starego przed swój trybunał.

— Mości Szkliński — zawołał, gadajcie mi co to jest? kto wam powiedział żem zabit? kto tu te rzeczy przyniósł? kto je na złodziejach odzyskał?

— A to właśnie nad wieczór się stało, proszę pana, jacyś ludzie nieznajomi, rzekł zwolna Szkliński, przybyli z wozem, za wozem prowadząc konie... Na wozie były o to te rzeczy i pieniądze i broń... Tyleśmy dopytać mogli, że panów na weselu miano pozabijać...

— Ale cóż to za jedni, przerwał Zbisław, bo nam konie i wszystko to pokradziono...?

— Kto ich wie co byli za jedni! odparł stary, ja tu mało kogo znam, koniuszy pono rzeczy przyjmował...

— I ślicznieście mnie żałowali! krzyknął Zbisław.

— Jam się tu do niczego nie mięszał — ja obcy... dodał Szkliński.

— A panna Karolka! hę! rzekł grożąc Zbisław.

Ta się uśmiechnęła — Dałbyś pan pokój — jam śpiewała ze strachu przed tą gawiedzią bo wiedziałam że się panu nic nie stanie... a przecież broniłam pańskiej własności.

Głową tylko pokiwał gospodarz... towarzysze rzucili się do stołu, szukając każdy swoich rzeczy i odzieży.

— Panno Karolino! rzekł Zbisław, nie żałowaliście sobie jedzenia i picia, dajcież i nam... proszę się zakrzątnąć, bośmy jak psy głodni — Chłopcy... do służby, gałgany.

Hej — dodał jeszcze — Koniuszego jeśli nie miał czasu drapnąć, przytrzymać, jego, rzeczy, konie, wszystko... Mamy z nim dawno na pieńku... I niech mi tu, jeśli go złapią, przyniosą maźnicę z dziegciem lub smołą, ja mu sprawię djabelski podwieczorek...

Więc po wybuchu pierwszych gniewów, wszyscy już niemal poczynali się śmiać... nawet Zbisław. Do Koniuszego tylko miał największą złość i na tego się z maźnicą odgrażał, ale tego już w żadnym kącie dworu nie znaleziono. W pomoc córce rozbudzony przywlókł się Ekonom, czerwony ze snu i od gorzałki, chwiejący na nogach, ale z bizunem przez plecy i w gotowości do usług. — Stanął w progu submitując się — wysłał go pan po fury, na których przybyli i w pogoń za koniuszym...

Tym czasem raźno przysposabiała się wieczerza. — Ze stołu sprzątnięto rzeczy, w kuchni prażono i prażono, a butelki na przenosiny przysposobione, koszami poczęli przynosić chłopcy...

Po pierwszych kieliszkach anticipative skosztowanych przed wieczerzą, humor wrócił jak za najlepszych czasów.

Kłuła tylko tajemnica tych rzeczy pokradzionych tak dziwnie i wróconych.

— Ono to z tego wszystkiego widać, rzekł lakonicznie Żubr... iż to była podła jakaś intryga...

— Ale czyjaż? podchwycił Zbisław, czyja?

— To się okaże — dołożył Tomaszewski, to się wyświeci. — Oczewista rzecz iż kradzież w karczmie miała tylko na celu, aby pogoń za waszą jejmością strzymać.

— A oczewiście, dodał Barański — tym sposobem nas sparaliżowali... a ona już do tej pory niewiedzieć gdzie...

— Ej! gdyby tylko powrócił Dygowski, możeby języka przyniósł — rzekł Zbisław... ale któż to znowu zarządził tak mądrze? Juści nie stryj, bo ten za mną, nie żona moja i nie jej matka, bo to nie kobieca sprawa, nie Strukczaszy, bo on tu obcy i to nie na jego robotę wygląda... więc kto u stu katów?

Spojrzeli po sobie.

— Któż to wiedzieć może! westchnął Barański — to się odkryje.

— To się okryć musi — zawołał pięścią

w stół bijąc gospodarz — a co się zwlecze nieuciecze i że winowajcy skórę wytataruję... możecie mi wierzyć, panowie a bracia...

Na tej obietnicy skończyło się przecież... Zasiedli do stołu wśród gwaru i sprzeczek, bo każdy co innego mówił, domyślał się i projektował.

Było tam i śmiechu i kłótni dosyć... a gdy od stołu wstali myśląc o pościeli już na dworze świtało. Poszli spać śpiewając, z dobrą myślą, a nazajutrz, tak się sen udał że potrwał do południa. Ziewając jeszcze o dwunastej wyszedł gospodarz w ganek zobaczyć co się dzieje na świecie, patrzy — jedzie fura z chłopem wprost przed dwór — i, co śmieszniej, chłopska fura nie miała prawa nawet na dziedziniec wjechać wedle starego obyczaju... a ta wprost przed dom się wysworowała. Patrzy Zbisław i poznaje na niej Dygowskiego. Dopieroż krzyk, rzucili się sobie w objęcia... Ponieważ szukał ich naprzód na gościńcu w gospodzie, wiedział więc już o kradzieży przyjaciel, ale o owym odniesieniu rzeczy do domu, nic a nic. Gdy mu powiedział Zbisław począł dobrze głową kiwać.

— Chodźmy no — do izby, zawołał, na dworze gadać nie zdrowo... a mam ci wiele,

wiele do powiedzenia, bom się porozpytywał u ludzi o różne rzeczy i przesznurkowałem okolicę, a nikt się nie domyślał kto i po co, więc też mi mówił każdy co miał na sercu bez ogródki.

— Tylko, słuchaj — dodał Dygowski zrzucając siermięgę, chodźmy we dwu gdzie do kąta, aby nas tak bardzo nie słyszano... bo się to rozbębniać nie powinno i zostać między nami. Kocham ja i Barańskiego i Tomaszewskiego i Żuhra, ale i oni gęby mają, weszli tedy do osobnej izby pana Zbisława Kawalerskiej jeszcze, obszernej, trochę ciemnej, bo o jednym oknie, zarzuconej bronią, gratami, papierami, wszelaką rupiecią. Tu kazano przynieść śniadanie, które czulsza po wczorajszym wypadku sama panna Karolina, wystrojona a śmiała jak zawsze raczyła im podać...

Zbisław przed Dygowskim zrazu zmilczał o przygodzie z ludźmi, wzięli się do wódki, piernika i wędliny.

— Słuchaj że, mój panie młody — odezwał się siadając na ławie Dygowski... tu się rzeczy wcale inaczej święcą niż ja sądziłem z tego co ty mi opowiadałeś; ty sam niewiesz co się z tobą działo i dzieje... ty sobie lek-

ceważyłeś amory twojej jejmości ze Staszkiem Horwatem, mając go za niewieściucha, a to on ci wszystkiego piwa nawarzył...

— A no! a no! z między zębów rzekł Zbisław — ja mu nawarzę też, ale nie piwa! nie piwa! tylko... juszki!

— Słuchaj wprzódy — słuchaj cierpliwie —

— Juściż, odparł gospodarz, mam cierpliwość od pięt do rękojeści szabli...

— Wziąłeś się do tego szatanka Domci, choć to niby już żona twoja, wcale niepotrzebnie. To była dziewczyna przebiegła, filut... i jak mała tak sprytna... Niema wątpliwości żeś ty się jej niepodobał, bo się szalenie kochała i kocha w Staszku Horwacie... tylko że on, choć ma sperandy, *golissimus* i coś mu tam zarzucają, że Rusin czy co... a dosyć że i matka go nie chciała i stryj nie życzył uparłszy się... a panna sobie powiedziała, że jego będzie... I pono nawet potym matkę przeciągnęła na swą stronę, a tyś tylko stryja ubiegł...

W tym wszystkim są pokątne Staszka roboty... Czyż ty wiesz że on w Hrubieszowskie jeździł przez braci Strukczaszego namawiać aby ślubowi twemu przeszkodził? Domcia twoja a bodaj matka wiedziały dobrze...

Na ciebie nagadali żeś zbój, że taki owaki, chciały się baby wycofać, ale się lękały awantur, więc to były rzeczy umówione, iż Strukczaszy przyjedzie przed ślubem i ślubu nie dopuści. Tymczasem licho nadało że się stary przypóźnił...

Twoja Domcia i jej mama ciągnęły za ślubem jak mogły do samego wieczora i przerachowały się... To też trzeba było widzieć, jak im było przy tym ślubie... Gdy dopiero przybył Strukczaszy z protestem, w to im było grać, żona ci się nasrożyła i pierzchnęła, a teraz gdzieś już daleko umknęła i pewnie do rozwodu podadzą... To rzecz niezawodna mój Zbisiu, bom się duchownych pytał, że taki ślub jak twój najłatwiej rozerwać..... Gdyby Strukczaszy o dwadzieścia cztery godziny spóźnił, już by co innego było...

Zbisław głową pokiwał.

— No, kiwaj czy nie głową, wiesz moje przyjacielskie zdanie, rzuć do licha tę, która ciebie nie chce, pluń na to wszystko i daj pokój.

Gospodarz się roześmiał.

— Czego ty się śmiejesz? spytał Dygowski.

— Z tego jak ty mnie doskonale znasz,

zawołał Zbisław. Jak to ty mnie możesz taką rzecz mówić? Żebym ja moję Domcię, bo — dalibóg, moją jest i być musi, dla tego iż się temu Staszkowi Horwaciukowi ubrdało za nią latać. Dałbyś pokój bredni, a powiedz tylko gdzie się to ten Staszek gnieździ, kędy to przeciąga? gdzie legowisko tego zwierzątka, żebym też miał przyjemność albo go na kapustę ukwasić, albo mu kulą napędzić rozumu do głowy?

Dygowski popatrzał nań i pokręcił wąsami...

— Ja cię dobrze znam, rzekł — ale ty jesteś wprost drapieżny zwierz, a chcesz o lepszą iść z lisem, z takim człeczkiem co idąc ślady zaciera, co go nigdzie nie widać a wszędzie go czuć, co się wśliznie w każdy kąt i ani go na szable wywołać, ani do pistoletów zaprosić, bo to ci się zawsze wywinie. Widzisz, bratku, nawet że tu się do niego nie mą o co czepiać — jego tu ani a on słychu.. ty o nim musisz nic nie wiedzieć... tymczasem będzie ci szyć buty jak najbezpieczniej.

— Ale cóż to za jeden ten twój cudowny, niewidomy Staszek Horwat? zapytał Zbisław, pogadajmy no — ty o nim pewnie będziesz więcej niż ja wiedział?

— Trochę, może, odpowiedział Dygowski — jać go spotkałem i znam... acz osobiście nie wiele, ale teraz pytałem o niego na wszystkie strony. Rodzina stara, szlachecka z Rusi, a że u nich tam byle szlachcic to z kniaziów, więc bodaj i oni by chcieli mitrą się stroić — ale o to mniejsza, polski szlachcic żadnej mitrze nie zazdrości, bo może królewskiej korony dostąpić. Rodzice znać majątek znaczny stracili. Staszek się został sierotką, a że niegdyś wielkie fundacye Jezuitom uczynili, więc ci teraz panicza wzięli na opiekę. Staszek też miał stryja bogatego i ciotkę... Więc to się po pańsku chowało... wypieszczone, wycacane, delikatne, ładne, grzeczne, rozumne i miłe... puścili go potym w świat szukać sobie szczęścia, *scilicet* żony bogatej. Chłopiątko popadło do Żmurek, pannie się podobało, zakochało, matce nie, a stryjowi ani było mówić o tym... Ale choć bodaj odprawiony z kwitkiem, Staszek się nie zraził wcale... wracał, obchodził, zajeżdżał im w drogę, z panną bodaj czy nie pisywali do siebie... kiedyś wreszcie się zjawił. Po za plecyma twemi szło dalej, choć matka i stryj byli przeciwni... potym Domcia matkę na swą stronę przeciągnęła, a znaszże dobrze stryja! Mówią po świecie że to chytra też sztuka...

Teraz bodaj on ciebie opuści, a przejdzie do przeciwnego obozu, — tyś go pokwitował z kilkoletniej dzierżawy części żoninego majątku, on teraz potargował się bodaj z Domcią i wymógł na niej, że owo pokwitowanie ona utrzyma, jeśli waści popierać nie będzie. Bożeński chytra sztuka, w oczy tobie nie przyzna się do zdrady, ale woli synowicy pomódz, niż gołemu jak ty...

— Ale ja jestem mąż! mąż! stokroć powtarzam, krzyknął Zbisław — i ja prawa moje utrzymać potrafię.

— A, no — to ci szczęścia życzę — skonkludował Dygowski — nie mam co mówić dalej.

— Owszem, mów — a naprzód gdzie się baby schować mogły? nie doszedłeś? Czy pojechały do Lublina? czy na wsi są? gdzie? jak je dostać...

— W tym sęk — odparł Dygowski — szukałem, szpiegowałem, dowiadywałem się — napróżno. — Niema sposobu... jak w wodę wpadły... Stryj klnie się, że nie wie, a kłamie, ludzie przysięgają że nie domyślają się nawet, a wiedzą... Nie ręczę, żeby tu koło nich i Staszek nie był, bo jego wszędzie tropy widziałem.. ale na oko wziąć — ani sposób...

Gospodarz począł chodzić mocno zamy-

ślony, czoło tarł, nogi mu i usta drżały. ale nawykły do impetycznego działania, nie miał wyobrażenia co robić... od czego zacząć.

— To prawda, dodał po chwili, żem ja głupi jak tylko nie o wybitą chodzi. — Ale dajże mi ty tego ptaszka, tego Staszka, a zobaczysz jak ja ci go oporządzę... tylko mi go daj!

— Zkądże ja ci go wezmę! odpowiedział Dygowski zapijając wódką sprawę... Gotówem ci służyć... ale tu ani wiem porównie z tobą... od czego zaczynać.

Gospodarz pomyślał jeszcze.

— E — odezwał się — nie ma nic gorszego, jak gdy głupi człowiek jak ja na rozum chce brać — miałem szczęście i będę je miał jeszcze, potrzeba się na nie trochę spuścić...

Odpasiemy się w Wierzchówce... a potym rozjedziemy wszyscy po okolicy, wrzekomo niby nic, każdy będzie na swoję rękę polował... Zobaczysz... Wiesz to błoto pod szarudziną? hę? Raześmy tak wystrzelali na nim kaczki, że tylko jedna została... ani sposobu było jej dostać... kręciła się po małych wyżawach, między kępinami... ani weź! Wiesz, cośmy zrobili — poszło nas dziesięciu każdy swoim szczęściem w błoto po pas za tą je-

dynaczką... Nawinęła się i w łeb palnęliśmy. Otóż idźmy no tak obławą luźną za Staszkiem i moją kochaną żonką, toć ich wytropiemy... I jednemu w łeb palnę, a drugą wezmę jak swoję...

Słuchaj Dygowski, pięć wsi i miasteczko, samej suchej arędy kilkanaście tysięcy... ej! to byśmy u mnie w Żmurkach zahulali... a że jabym ciebie wyswatał... no! to ci daję słowo.

Dygowskiemu aż oczy zabłyszczały.

— Ale mów co robić, ja twój! zawołał.

— Czekaj — wszystko się znajdzie..... rzekł Zbisław... namyślę się.

Tymczasem już pan Zygmunt Tomaszewski, Barański, Żubr powstawali i używając świeżego powietrza w jednych koszulach przechadzali się około dworu... Ranek zszedł na przekąsywaniu, o zwykłej godzinie dano do stołu... po obiedzie wzięła się, jak zwykle pijatyka, strzelanie. Na dziedziniec powyprowadzano konie, więc próbować czyja szkapa lepsza i kto lepiej dosiędzie, a potym po studencku i po kawalersku mienianie z dodatkami, sprzedaże... od żłobu do żłobu... kto kogo okpi, to chwała Bogu. A śmiech i zapijanie przy tym. Ani się spotrzeżono jak przyszedł wieczór. W pośród tych zabaw pan Zbisław zamyślony choć się od nich nie odrywał, pił, półgębą śmiał się, a na wąs motał.

Potym przyszła wieczerza suta... którą sprzątnięto przy pomocy wina i wódki... i dopieroż do kart na całą noc siedli. Król Faraon już był naówczas w wielkiej w Polsce modzie, uczyć się go nie trzeba, na lewo, na prawo, rzecz prosta, a satysfakcya wielka... Grało się z wesołością huczną aż do dnia, przy punczu zwłaszcza, który panna Karolina *arte* preparować umiała.

Nazajutrz zaspano na dzień, ale znać w nocy namyślił się gospodarz, bo przy śniadaniu odprawiwszy sługi precz... prosił o głos i tak się odezwał:

— Przeżyliśmy z sobą wiele złego i dobrego, zjedliśmy jeśli nie beczkę soli, to sporo chleba i pieprzu... i winaśmy wypili nie mało, znamy się na wylot... dla tego ja o was, moi mili panowie a bracia, najmniej nie wątpię. Dajcież mi dziś dowód żeście mi wierną bracią...

— A cóż to ty do nas kazanie będziesz prawił? odparł Barański — prosto z mosta mów czego chcesz...

— Toć wiecie moi mili, zakpiono ze mnie i z was, dodał Zbisław — a krwawo! Że nas od ołtarza rozerwano — jak sobie chce..... ale to okradzenie w gospodzie, to krwawy żart... Ludzie się śmieją! Jak tu się nie chcieć

odwdzięczyć? Hę? musiemy. Ino, porozumiejmy się... kupą gonić niewiedzieć za czym i kogo, nie idzie. — Ja sobie myślę żebyśmy się rozsypali, każdy na swoję rękę pracując... tak się prędzej czego dojdzie... Kto łaskaw jeden ze mną zostać... proszę... reszta się rozjedzie cicho... Jeszczem w życiu nie złamał słowa, a klnę się szlacheckim, że kto mi wynajdzie albo Staszka albo żonę, a ukaże, dam co zechce... a kto mi pomoże do odzyskania jejmości, folwark w dzierżawę trzyletnią...

— Co ty nas masz za płatnych zbirów? zawołał śmiejąc się Barański — goli jesteśmy, to prawda, ale więcej się zrobi dla waszecinej przyjaźni, niżeli dla głupiej kalety.

Podał mu rękę. — Nie pleć stary... porozumiejmy się i jedźmy na to polowanie, ja takie polowańka na ludzi lubię...

Więc, słuchajcie no...

— No, tak, alboś to ty sam rozumny? zawołał Tomaszewski — rozbierzemy między siebie okolicę, ażeby się w jednych miejscach nie plątać i w drogę...

— Dokądże wy — Zbisiu?

— Ja? pojadę z Żubrem do księżnej — księżna mnie zaprosiła i będę jak pająk w środku sieci czatował, a ztamtąd robił wycieczki. Jeśli który zwierza zoczy, niech mi daje znać

nie spuszczając go z oka — będę w mig na zawołanie.

— Ja będę się kręcił około Żmurek, rzekł Dygowski, okolicę znam, a starostę Bożeńskiego mieć muszę na oku...

— Ja pojadę do Lublina — odezwał się Tomaszewski...

— Ja? ja? dodał Barański, myślę że około Horwatowego stryjaszka nie zawadzi aby kto był, pojadę w tę okolicę.

— No, a Zabrzeskiemu pozostaje do Warszawy wprost ruszyć i tam śledzić.

— Tak! odparł z westchnieniem powołany. — Bardzo was lubię kiedy rozebrawszy między siebie co łatwiejsze i co tańsze, mnie z łaski swej dajecie Warszawę.

To mówiąc wydobył dwie białe płócienne kieszenie kontusza i pokazał je zgromadzonym.

— Z takim zapasem do Warszawy? hę? rozśmiał się i siadł.

— To prawda, rzekł Barański... ale ja ci powiem Zabrzeski, ty nie masz głowy... Ja raz pół roku jak obszył, nie widziałem złamanego szeląga w sakiewce, podróżowałem parą koni z ludzi dwojgiem, miałem się dobrze, nawetem się podpasł i jeszcze mi się kłaniano.

— A to jak? zapytał Zabrzeski.

— Mój Boże — odparł pierwszy, ja do

ciebie nie mam pretensyi żebyś bez grosza do Warszawy jechał i tam fortunę zrobił, na to trzeba większej głowy niż twoja, ale w domu, tu, na wsi, mam za cztery litery, kto — będąc szlachcicem potrzebuje pieniędzy na drogę.

Poczęli się wszyscy śmiać, a Barański mówił dalej.

— Toć żadna sztuka... ruszył ramionami. Patrzę gdzie się kurzy z komina i jadę po naszemu mówiąc, jak w dym... Zajeżdżam... pytam, anim go kiedy w żywe oczy widział, ale to nic. Szlachcic szlachcicowi krewny przez kogoś zawsze, byle kolligacye znał. Bez tego ani rusz... Sakiewki ja nie potrzebuję, ale znać muszę kto kogo rodzi... Tom jak w domu... Barańska była za tym, ów rodził się z Barańskiej... tamten był z babką. ów z prababką w powinowactwie i jestem jak w domu.

— Tak — a gdy pana w domu nie ma, to co? spytał Tomaszewski.

— Na pana poczekam bom chory... a jużci gościowi co czeka najskąpszy włodarz da dla koni po garncu owsa i krupniku zgotować każe... Dalej po dworach idą plebanie. Ksiądz samotny nudzi się... zawsze rad... Po miasteczkach są klasztory... Słowem z głową i z kredką przejedzie się Polska z końca

w koniec, a jeźli się jeszcze gra dobrze, można poryzykować coś na szczęście i wygrać.

— Toć choć ludziom po gościnie odjezdne dać musisz — rzekł Tomaszewski.

— Tabaki! rozśmiał się Barański...

— No — ale do Warszawy ja się nie ofiaruję tą metodą jechać — rzekł z kolei Zabrzeski — jak wola wasza.

— Ale któżby tego po waszmości wymagał, ozwał się gospodarz — a co myślicie na drogę potrzeba — dam...

— My się tam porozumiemy ..

Stanęło tedy, że się nazajutrz wszyscy rozjadą, ale nie mówiąc nic nikomu, cicho, sza, niby zdesperowawszy o powodzeniu...

Zbisław brał się też na sztukę...

Wieczorem dla rozjezdnego, nie można było na sucho skończyć... pito niemiłosiernie. A że dzień był duszny, a noc jasna, beczułkę zaniesiono pod lipy, w chłodek i tam się już rozpasawszy dokazywano... W słowach jednak było pomiarkowanie wielkie, bo Zbisław już ludziom nie wierzył, więc pletli co ślina do ust przyniosła... ale o ożenku, o żonie, o Staszku ani słóweczka...

Zabrzeski dostawszy zapomogę nazajutrz do świtu puścił samowtór do Warszawy, inni też każdy w swą stronę. Gospodarz najpó-

źniej z panem Janem Żubrem, wybrał się do syć pokaźno i pięknie na dwór swej protektorki, a panna Karolina została z ojcem na gospodarstwie w Wierzchówce.

Przy tak misternie rozstawionych na wsze strony sieciach trudno było Pani Bożeńskiej z córką, i ich tajemnemu (jak mówiono) pomocnikowi panu Staszkowi Horwatowi nie wpaść w nie prędzej czy później... Miała to do siebie Polska zawsze, że w niej się uchować człowiekowi i słowu było bardzo trudno; odbrzmiewało ze swobodą, często zbyteczną lada wyrzeczenie nieostrożne, powiększane echami... a plotki rodziły się łatwo nawet z niczego.

Można też sobie wystawić, co z owego małżeństwa przerwanego tak zawcześnie uczyniono. Rozeszło się to, rozbiło i rozbębniło po sąsiedztwie z najrozmaitszemi komentarzami. O awanturze przed kościołem, o nocy spędzonej w Żmurkach, o znalezieniu się pani młodej, Strukczaszego, Zbisława, rozpowiadano, a cieszono się tym bardzo. Jedni brali stronę Strukczaszego i panny Anieli, drudzy Zbisława, rolę stryja sądzono surowo i z waryantami ją rozmaitemi pojmowano. Słowem

narobiło to wrzawy więcej niż kiedykolwiek jaki wypadek w okolicy. — Ale pomimo że uwaga wszystkich zwrócona była na wszelkie obroty osób działających, — w najosobliwszy sposób od chwili odjazdu pani Bożeńskiej z córką i biesiady w Żmurkach, co się dalej stało z nowo zaślubioną p. Domicellą — żywa nie wiedziała dusza. Przybywszy do domu z kościoła panie te kazały tylko przeprządz konie; zabrały trochę rzeczy i zapewne pieniędzy, poczym odjechały i wpadły jak w wodę. Najpowszechniej utrzymywano, że pojechać musiały do Brygitek do Lublina — ale śladu nie było. Pani Bożeńska z domu Skulska miała krewną przełożoną, ale nie zbywało jej także na powinowatych i krewnych w Warszawie, dokąd również udać się mogła...

Co się tyczy Starosty stryja, ten po milczącym w Żmurkach pobycie w owę noc pamiętną, odjechał do domu, gdzie siedział najspokojniej w świecie jakby go już ta sprawa wcale nie obchodziła.

Znany charakter jego ten spokój i zobojętnienie czyniły podejrzanemi... Był to człek żywy, ognisty, na pozór niezmiernie otwarty, mówiący o tej szczerości do zbytku, bijący się w piersi i zaprzysięgający głośno, ale... nadzwyczaj — tak fama niosła — przewrot-

ny i chytry. Prawda którą wypowiadał rzadko kiedy zgadzała się z prawdziwą.

Znano go też ze skępstwa równie zręcznie pokrywanego pozorami wielkiej wspaniałomyślności. Wszystko u niego było na okaz ale siedzący w środku tego komedyanta człowieczek, gdy go kto, puściwszy wędkę w głąb wydobył — czarno i brudno wyglądał. Obawiali go się ludzie, przyjaciół nie miał — żył odosobniony, ale gdy interesa wymagały umiał wystąpić i postawić się. We dworze był dostatek wszystkiego ale pod własnym jegomości kluczem i kontrolą. Wdowiec bezdzietny, nawet od apteczki klucz nosił w kieszeni... Ludziom u niego było skąpo... w dworze smutno... we wsiach ubogo, ale domisko z dala świeciło frontem i kolumnami i gdy dostojny gość przyjechał, po pańsku przyjąć się silono. Naówczas bosonogie pastuszki od gęsi wdziewały barwę, dwór się zaludniał... a starosta grał tak rolę szczodrobliwego gospodarza, iż niejednego oszukał.

Za to we dni powszednie wszystko było pochowane, pookrywane, pozamykane i dopóki się nie nagotowano na przyjęcie gościa, pod pozorem niebytności Starosty czekać musiał w ganku, aż wszystko stanęło w pogotowiu.

Właśnie jednego dnia Starosta chodził prywatissime w płóciennym kitlu po gumnach, a dworscy byli przy robotach różnych i jedna stara gospodyni w bokówce u okna z pończochą na straży postawiona... dosiadywała w pustym dworze... gdy na gościńcu ukazała się kawalkata... oznajmująca gości... Natychmiast bosą dziewczynę z pod pieca od kądziołki wyprawioną sztafetą do jegomości... a panna Jachniewiczówna zdjąwszy okulary, które jej do dalszego patrzenia zawadzały wpatrywała się w przybywających, gdy brama się otworzyła — i dwóch dzielnych jeźdźców na koniach, a za niemi wózek węgierski się wtłoczył z tłumokami i chłopakiem. W cwał podjechali pod ganek, osadzili konie i nuż wołać aby je kto wziął... Ale we dworze jakby wymarło... musieli oddać swojemu chłopcu... Potym zastukali do drzwi, (panna Jachniewiczówna skryła się za parawanik)... poczęli nawoływać, a wreszcie ze śmiechem do koła dwór obchodzić,.. Wszędzie zastali drzwi pozamykane, nigdzie żywego ducha. — W ogrodzie co żyło pochowało się w krzaki, gdyż taka była instrukcya Starosty, że póki on sam się gościom nie objawi, nikomu nie wolno wyrywać się naprzód, ani narazić na indagacyą. — Obszedłszy dwór jak z loretańskim

dzwonkiem czasu burzy, panowie ci dwaj, wrócili pod ganek, siedli na ławie i poczęli się śmiać.

Chwila za chwilą upływała — nikt nie przybywał... jeden z ichmościów kazał z wózka dobyć flaszkę i kubek, drugi z kieszeni dostał karty i napiwszy się gdańskiej, poczęli najspokojniej w świecie grać w drużbarta dla śmiechu, konie stały pospuszczawszy głowy, ludzie posiadali przy wózku, czekano...

— Gdybym nie znał Starosty — rzekł pan Zbisław, on to bowiem z panem Żubrem przybył od księżnej na zwiady do stryja żony, mógłbym myśleć, że wyjechał gdzie w daleką podróż i dom zapieczętował... ale nie, stary gdzieś koło gnoju... chyłkiem tylnemi drzwiami się wsunie, ubierze, przyrządzi i dopiero nam ukaże oblicze...

— Ale niechby go — zawołał Żubr... on tu nas tak i do wieczora może potrzymać.

— Może...

— Przecież ktoś, gdzieś musi być żeby mu choć o nas znać dali.

— O to się nie bój — dodał pan młody — ja ci ręczę, że nimeśmy dojechali, już nas zobaczono, już wysłano i Starosta o przybyciu wie... Niema nikogo — prawda? a ja

ci ręczę znowu, że na nas tu ze wszech stron skryte patrzą oczy.

— Więc to jakiś dwór zaklęty? zapytał Żubr.

— Co ty chcesz w naszej Polsce, co dwór to obyczaj, każdy sobie wolny. — Wolnoć Tomku w twoim domku i każdy swobody tej używa do syta... nie patrząc co innym do smaku. Trzeba mieć cierpliwość...

Grali tedy jeszcze z pół godziny, poczym w zamku w drzwiach głównych usłyszeli kręcenie kluczem, otworzyły się one. Starosta niby o niczym nie wiedzący, z rękami w kieszeniach, kontusz tabaczkowy, żupan niebieski, buty czarne... ukazał się w progu, stanął zdumiony i zakrzyknął.

— Na miłość Bożą! a to niespodzianka! dawno tu jesteście...

— Szanowny stryjaszku — śmiejąc się zawołał Zbisław... może z godzinę... Stukaliśmy, szukaliśmy jak w lesie, żywa się dusza nie odezwała.

— Jakto może być! otóż to te nasze służby! rzekł rozpaczliwie ręce do góry podnosząc stryj — ja — pacierze mówiąc wyszedłem się przejść troszynę, a te tałałajstwo, mociupanie, porozłaziło się... proszę ja panów... Darujcie, przebaczcie! chodźcie łaskawcy, czym

służyć mogę, zaraz się służba zbierze... miodku? wina?... byle klucze od piwnicy przynieśli... Hej! hej!

Począł wołać, zjawił się chłopak...

— Gdzie piwniczy!

— Pojechał do miasteczka...

— Starosta ręce załamał. — Otóż masz! dajże Boże by choć wieczorem powrócił... to skaranie z temi ludźmi... Leć po kowala niech zamek oderwie.

Chłopiec wyuczony już dobrze, rzekł rezolutnie.

— Kowal pojechał na łąki!

— Na łąki! a to mila drogi! jakby na umyślnie... Co ja tu pocznę! co pocznę.

— Ale niech się pan Starosta nami i przyjęciem nie frasuje, odezwał się trochę szydersko Zbisław, ja bez gąsiorka nigdy nie jeżdżę, bez twardych jaj i wędzonej kiełbasy... myśmy całe nie głodni i nie na czczo... a jedynym powodem który mnie tu sprowadza, nieliczące przyjemności złożenia uszanowania Staroście — była chęć rozmówienia się z nim... w mojej sprawie...

Poczęli tak rozprawiając wchodzić do dworu, a Starosta już się uspokoiwszy co do przyjęcia, wwiódł gości do głównego pokoju..... który był w istocie wspaniały. Połowę sprzę-

tu okrywały różne obwarowujące je nadziewadła płócienne, ale lustra weneckie, kobierce, kolbuszowskie sprzęty, gdańskie szafy, porcelana saska, wszystko to z czasów nieboszczki, ubierały izbę pokaźnie! Naprzeciw siebie na dwóch ścianach wisiały nawet dwa zblakłe pastele. Starosta w stroju ślubnym, uśmiechnięty, wyświeżony i nieboszczka z różą w ręku w rogówce i wysoko napiętrzonych kokach... Siedli wszyscy — Starosta chrząkał tylko i ręce zacierał. Rozmowa zapowiedziana nie na rękę mu była... ale się Zbisia bał... Żubra też i gotował się z zimną krwią przetrwać burzę.. którą przewidywać się zdawał.

Zbisław siadł wygodnie i milczał chwilę.

— No, panie Starosto, rzekł wreszcie — co to z nami dalej będzie?

— Jakto — z nami? spytał gospodarz.

— No, tak, z nami wszystkiemi, ze mną, z moją żoną, z obu rodzinami i —

— Ale cóż to już dziś do mnie należy? odrzekł wolno Starosta, jam waćpanu jako opiekun synowicę oddał, obowiązek mój spełniłem, rachunki złożyłem... a co między małżeństwem z nieprzewidzianych przyczyn zaszło, cóż to do mnie należy?

— Przecież jako stryj, troskliwy o los

synowicy, o uniknienie skandalu, jako życzliwy mi... o czym niejednokrotne miałem upewnienie... może byś pan Starosta chciał mi dopomódz, oświecić!

— W czym? jak? ja o niczym nie wiem — rzekł gospodarz, ruszając ramionami... klnę się asindziejowi — nie wiem o niczym..... W czymże ja pomocnym mu być mogę?? Jestem sam jak tabaka w rogu... ciemny...

Zbisław patrzał nań długo milcząc jakoś groźno. — Starosta się zająknął, splunął, odkaszlnął i począł dalej.

— Któż tu co winien — pozwól sobie otwarcie powiedzieć — jeśli nie sam asindziej? Kto tego piwa nawarzył, jeśli nie jego dawne sztuczki.. Masz za nie pokutę... i słuszną... zwodzić kobiet się nie godzi... ani ja ani familia nasza nie winna... wszakże dotrzymaliśmy danego słowa, a kto mógł przewidzieć że Strukczaszy wyjedzie z protestem... Teraz wasza rzecz to rozwikłać...

Zbisław powoli czerwieniał coraz bardziej, warga mu dygotała, ale się miarkował...

— Cóż dalej? spytał chłodno.

— Ale cóż ma być dalej? ja się do niczego mięszać nie chcę, ja o niczym nie wiem, dajcie mi święty pokój... Com przyrzekł, dotrzymałem...

— Ja także, zawołał Zbisław — święcie — ale między nami ta różnica, iż ja za towar zapłaciłem a towaru nie mam... waćpan zaś, panie Starosto, sprzedałeś go i nie oddałeś?

P. Bożeński wstał jakby go sprężyną kto do góry wysadził i siadł...

— Cóż to ja synowicę sprzedawałem? tego to? zawołał... co waćpan mówisz? miarkuj się!

— Wymiarkowałem naprzód wszystko, zawołał Zbisław — inaczej tego nazwać nie mogę co pomiędzy nami zaszło — mamy z sobą spółkę, idę więc jak w dym do pana Starosty, pomagaj mi odzyskać żonę... lub...

Starosta zawołał popędliwie opędzając się rękami:

— Ale ja o niej nie wiem nic! nic! nic!

— Mój panie Starosto — rozśmiał się Zbisław, mów to komu chcesz ale nie mnie; bo — to daremna rzecz — ja mu nie uwierzę — tak jest — nie uwierzę... Znamy się nadto dobrze...

— Wierz sobie lub nie wierz, co ja na to poczne... dodał gospodarz.

— Za pozwoleniem — ręką usuwając przyjaciela począł Żubr — niech też i ja przemówię słowo... Pan Starosta nie możesz być

w nieświadomości losów synowicy i konszachtów z panem Horwatem...

Na to imię Starosta pobladł ale się prędko opamiętał.

— Jakim Horwatem! co za Horwat! co mnie do Horwata — ja o niczym nie wiem... dajcie mi święty pokój.

— Kontynuuję — mówił Żubr któremu ze słowem nie szło łatwo. — Trudno uwierzyć ażeby sprawa pana Horwata była panu zupełnie obcą... dalej żebyś się nie troszczył o losy synowicy i o niej posłuchu nie miał. Pozwól że mi pan uczynić uwagę w imieniu mojego przyjaciela że to się tak na sucho i gładko skończyć nie może. Gdybym ja był na jego miejscu to bym sprocessował o zwrot kosztów i grzywny... on nie spuści was z tego, by żony nie miał...

Znasz pan Starosta bandę naszę, która nie chwaląc się, coś waży... nie damy się przecież tak odprawić... *per non sunt...*

— Ale cóż to do mnie należy! na rany Pańskie — zawołał Starosta znowu rozkrzyżowując ręce — róbcie co chcecie, układajcie się... szukajcie... processujcie, tylko nie ze mną. Ja człowiek jestem spokojny... Bogu ducha winien... Macie żonę... macie władzę

nad żoną, dawajcież sobie radę sami... czy wam niańki potrzeba?...

— Panie Starosto, czy to ostatnie słowo? spytał Zbisław patrząc nań ostro.

Starosta zmiarkował, że ze słowem ostatnim należało wyczekać, i że niebezpiecznym było je nieodwołalnie wyrzec; począł kaszleć, kichać, spluwać, niecierpliwić się, rękami machać i udawać obrażonego.

— Ale cóż bo to jest! na miłość Bożą — na rany pańskie! najeżdżacie mnie o żonę, jakbym ja mógł coś więcej nad was! Sławicie się ze swą bandą, z potęgą, a mnie człeka spokojnego, hreczkosieja chcecie użyć tam, gdzie sami nic nie potrafiliście? Gdzież tu logika! Ja jestem prosty człek i spokojny... ja gospodarzę, pracuję, Pana Boga chwalę i koniec... To prawdziwa napaść...

Chciał się z tym słowem powstrzymać Starosta, ale mu się wyśliznęło...

Zbisław wciąż patrzał groźno.

— Napaść! hm! powtórzył cicho... ostry wyraz — ale... może się na co przyda...

— Nie gniewajże się — zaczął Starosta, człek w takim położeniu traci cierpliwość.

— Ja także bym ją mógł stracić, a widzicie że ją zachowuję, rzekł Zbisław... po-

czął się patrząc na Żubra przechadzać po izbie wzdłuż.

Starosta postrzegł, że sobie jakieś znaki dawali — i pobladł, ręka mu konwulsyjnie drżeć poczęła.

— Ja Zbisia bardzo kocham, mruknął Żubr półgłosem — ale nie mogę inaczej powiedzieć tylko że... niedarmo go Szaławiłą nazwali... i nie życzyłbym go do ostateczności doprowadzać...

— Kochany stryjaszku, rzekł jakby naumyślnie tym tytułem go częstując Zbiś — od tego się nie wykręcisz, żebyś mi do odzyskania mojej żony nie pomógł. Przysięgaj sobie jak chcesz, wiem że schronienie jej teraźniejsze nie jest ci obcym...

— Co? co?

— Ale tak jest — mówił pan młody... tym coście wytargowali na mnie, u Staszka może więcej wyrobić sobie chcecie... ale ja się nie dam...

Staroście zrobiło się mdło, wszakże udał oburzenie.

— W moim własnym domu! a! to już nie do zniesienia — zawołał — nie pozostaje mi jak mości panów pożegnać, nie mamy co dalej mówić z sobą...

Zbiś mrugnął na Żubra, który wstał jakby chciał wyjściu przeszkodzić...

— To nie racya że Starosta mówić dalej co nie masz czy nie chcesz, bo mnie wiele jeszcze pozostało do mówienia — odparł Zbisław chłodno choć płomienie po jego twarzy przelatywały. — Nie uwierzę zapewnieniom — i proszę się namyśleć, gdyż, uchowaj Boże bym się uniósł...

— W moim domu...?

— Ja się wszędzie unoszę... niech Żubr poświadczy. Raz szlachcicowi dałem policzek w kościele...

Zamilkli na chwilę, Starosta zdawał się namyślać... rękami machał...

— Róbcie sobie co chcecie! krzyknął w ostatku... jestem ofiarą mojej dobroci i powolności dla asindzieja. Niech się dzieje wola Boża...

— Ja bo od Starosty niewielkiej rzeczy wymagam, mówił pan młody — rzeczy która go nic kosztować nie będzie, a daję słowo szlacheckie że nikomu nie wydam... Oto mi tylko pan Starosta powiesz, gdzie się moja żona obraca... nic więcej.

— Ja nie wiem! dalipan, nie wiem! prędko rzucił stary — nie wiem.

— Daję panu Staroście do namysłu... wiele?

spojrzał na Żubra, Żubr na niego — no wiele mam dać!

Na podwórzu dobrze zmierzchało... za godzinę bezksiężycowa noc nadejść miała.

— Daję panu Staroście godzinę czasu — dokończył Zbisław i siadł na krześle. Ale że wyszedłszy z pokoju mógłbyś nam drapnąć i skryć się, a dla wykurzenia go z kryjówki jabym mógł być zmuszony ogień podłożyć i spalić budynki ze szczętem, których szkoda, więc lepiej będzie, gdy pan Starosta zostaniesz tu z nami... Żubrze, drzwi na klucz pospuszczaj... Proszę nie krzyczeć — dorzucił widząc, iż Starosta usta otwiera — to sprawę pogorszy... Niech pan Starosta się namyśli...

Żubr drzwi spuszczał na zamki i klucze chował z krwią zimną...

— Teraz, rzekł Zbiś, idź przynieś z ganku flaszkę, albo i gąsiorek z bryczki niech przyniosą, bo Starosta nam nic da nic... weź karty, trzebaż czymś tę godzinę zabić...

Gospodarz stał jak oniemiały... blady, drżący, myśli jeszcze zebrać nie mógł, gdy Żubr ostatniemi głównemi drzwiami wyszedł — zostali sam na sam ze Zbisławem, który około nich chodził jak na warcie. Głuche panowało milczenie... Starosta przybrał minę dumną

obrażonego i zrezygnowanego człowieka. Siadł w krześle i nie mówiąc słowa, podparłszy się na łokciu... odwrócił twarz od napastnika — milczał i sapał. — W chwilkę powrócił Żubr z gąsiorkiem pod pachą, kubkami podróżnemi dwoma, które się spajały z sobą w kształcie beczułki, i kartami. Jak gdyby Starosty wcale nie było, siedli do stołu postawiwszy butel między sobą.

— O co będziemy grali? spytał Żubr...

— Wiesz co, odparł Zbisław, przychodzi mi myśl dziwaczna — przykro mi patrzeć na to, że się szanowny gospodarz nudzi — kto przegra zaśpiewa swojej roboty krakowiaka.

— Zgoda! rzekł Żubr — tylko słuchaj Zbisiu, nie bądź zbyt trudnym, bo ja nawet lichego krakowiaka upleść nie potrafię. Łatwiejbym parę koni dobrał niż wierszy...

— Ale jam też nie wierszopis... rozśmiał się Zbisław... za warunek daję, by się do okoliczności stósowały. Dawaj karty!

Starosta ani się zwróciwszy, zasłonięty chustą siedział nieporuszony, ci się obchodzili jakby go nie było. Nalali wina z gąsiorka.

— Wino dobre — rzekł Żubr, trochę się zagrzało w drodze, jakby go nie wypić na razie, toby skwaśniało...

— A juścić wypijemy... godzinę czasu mamy...

Poczęli grać, Starosta pomyślał — ale cóż oni mi po tej godzinie zrobią? co? ciekawym? w moim domu!!

Ruszył nieznacznie ramionami.

— Powiedziałeś ludziom żeby koni nie wyprzągali? spytał Zbisław.

— A jakże... tylko je napoją u studni, i obrok zadadzą w workach — za pół godziny będą gotowi...

Chwilę grali w milczeniu, w tym Żubr krzyknął — przegrałeś!

— Otóż tobie masz! stukając o stół szklanką, rzekł Zbisław... trzeba rad nie rad, krakowiaka śpiewać.

Wstał z krzesła, podszedł naprzeciw Starosty, wziął się w boki i zanucił okrutnym basem...

Siedzi kura na grzędzie,
Co to z tego będzie...
Siedzi Starosta za stołem...
Panu Staroście czołem!
Panu Staroście czołem!

powtórzyli oba chórem. Starosta był czerwony jak pąs, chrząkał ale milczał. Popatrzywszy nań Zbisław powoli zwrócił na miejsce i siadł.

— Dawaj karty!

Grali znowu w cichości, tylko kiedy niekiedy kubek brzęknął...

Po chwili, śmiech.

— Przegrałeś! ryknął Żubr — po raz drugi.

— A niechże cię nie znam! chyba karty przezroczyste... muszę się na drugiego krakowiaka zbierać, a dalipan to mi nie łatwo.

Poszedł na dawne miejsce, znowu podparł się w boki i zaśpiewał.

Starosteńku nasz..
Wielki rozum masz.
Ale rozum nie pomoże
Gdy skaranie przyjdzie Boże
Starosteńku nasz!

Powtórzyli — Starosteńku nasz! razy ze trzy. Starosta ani się ruszył, ino pluł przed siebie, a w duchu mówił.

— Zobaczemy! głupi ludzie! w moim domu — co oni mi zrobić mogą?

— Patrz już dalipan noc! zawołał Zbisław...

Świece się paliły woskowe od mroku...

— Pójdź, zobacz czy gotowe konie! szepnął Zbisław do Żubra, a sam znów stróżował przy drzwiach...

Żubr jak posłuszne dziecko na dany znak

wyszedł, nie było go minut kilka. wóz zaturkotał zachodząc przed ganek.

— No — chwała Bogu, rzekł sobie Starosta — już sobie pojadą i raz od nich wolny będę...

Zjawił się Żubr w progu z ogromną chustą w ręku i czapką pod pachą, mrugnęli na siebie.

— Panie Starosto dobrodzieju — rzekł kłaniając się Zbisław — godzina wybiła.... prosimy o stanowcze słowo.

Jestli jego wola lub nie dopomódz mi do odzyskania żony?

Starosta popatrzał nań i ramionami ruszył. Zbiś powtórzył pytanie.

— Ostatecznie, panie Starosto? Nie! powtóre? nie — potrzecie — nie!

A! no! to dziejże się wola Boża, ja ręce umywam...

Skinął na Żubra który zwolna podszedł z przygotowaną chustą w ręku...

Postrzegłszy to gospodarz, zerwał się szybko i rękami rzucając cofał się zburzony a przelękły ku bocznym drzwiom, Zbisław pochwycił go za ręce i żelaznym uściskiem strzymał.

— Ani pisnąć! zawołał — ani głosu puścić — bo — bo będzie źle! będzie źle!

— Cóż chcecie ze mną zrobić! na miłość

Boga! krzyknął stłumionym od strachu głosem Starosta.

— Nic tak wielkiego, za życie ręczę, rzekł Zbisław ponuro, ale na upartego jeszcze upartszy...

Ostatni raz wzywam — chcesz mi pan wskazać gdzie żona moja?

— No — niewiem! niewiem! Oburzony zawołał Starosta...

— Wiąż mu gębę — rzekł Zbisław, a nos puść aby się nie udusił...

Na te słowa Żubr przystąpił i w mgnieniu oka usta zawiązał staremu, który próżno się chciał opierać. Wpakowano mu czapkę na głowę, wzięli go pod ręce i zdmuchnąwszy światło, pociągnęli z sobą ku gankowi. W sieniach nikogo z ludzi nie było, wóz stał w ganku, nimbyś zdrowaśkę zmówił. Starosta już siedział na nim wzięty w środek między dwóch towarzyszów i konie zacięte raźnym kłusem ruszyły...

Gdy nie rychło potym panna Jachniewiczówna napróżno oczekując znaku życia od pana poszła do ogrodu przez okno zobaczyć co się dzieje w bawialni, a nie znalazła w niej światła i o panu ani gościach ani słychu... popłoch rzuciła między ludzi. Zbiegło się co żyło... Starosty ni znaku... gości ani śladu...

gąsiorek tylko z winem na dnie i talia kart, którą wziąć z sobą Żubr zapomniał. — Zdumienie było wielkie, ale któż się mógł domyślać żeby przyjezdni gospodarza porwali? Myślano że na krótki czas dla pilnego interesu z niemi dobrowolnie pojechał. Panna Jachniewiczówna zabrała gąsiorek, chłopak karty do kieszeni schował, pokoje pozamykano — i dwór usnął zupełnie spokojny...

Ale Starosta ani jutro ani pojutrze nie powrócił.

Widzieliśmy już raz Żmurki w czasie krótkiego pobytu w nich pana młodego, wieczorem po weselu, ale możemy powiedzieć, że ich jeszcze nie znamy wcale.

Stara to rezydencya i cale inaczej wyglądająca niż Starościański dwór... Niegdyś była może zamczyskiem obronnym, teraz sadyba wcale przyjemna i utrzymana porządnie a nie bez wykwintu, który kobiety lubią. Ośmnaście też lat Żmurki już były pod zarządem pani ze Skulskich Bożeńskiej, matki panny Domicelli. Na odmalowanie tego dworu, charakteru... tych rządów i co się tu działo, trzeba by śmiałego a delikatnego pędzla jednego z tych angielskich malarzy co podobne

obrazy z niezrównaną trafnością i bogactwem szczegółów kreślić umieją.

Mówiono w polskim kraju w ogóle i dziś się to powtarza często że w nim *hic mulier* panowała, że w nim rządziły niewiasty i że mężczyzni mniej mieli wpływów w powszednim życiu, ba w politycznym, od swoich miłych małżonek.

Jest to po części prawdą, i pewna że piękne a dobre panie nasze, w czasach saskich, gdy ichmość zbytnie zalewali głowy, przeważnie cugle chwyciły, ale inaczej poszło by wszystko samopas do prędszej jeszcze ruiny. Kobiece rządy nie zawsze szczęśliwe były ale poczciwe i dobrej woli. Cóż wreszcie kobieta osamotniona począć miała widząc, że wszystko runie bezrządem, musiała uchwycić dyktaturę, aby nie dopuścić anarchii.

Jedną z takich pań samowładnych była pani Bożeńska, energicznego charakteru niewiasta, ale mimo to nie zawsze sobie szczęśliwie mogąca dać rady.

Owdowiawszy zawcześnie z córką tylko jedynaczką, choć się o nię wielu starało, ba i sam brat nieboszczyka, pan Starosta owdowiawszy ku niej wzdychał, nie chciała wcale iść za mąż aby panią w domu pozostać. A że brat męża był opiekunem i zrażać go sobie

nie chciała, kręciła biedaczka jak mogła aby go ani przyjąć ani odrzucić a okiełznać. Dokonała tego używając różnych środków wielce trafnych i rzucając mu na pastwę po odrobinie majątku. Była zresztą kobieta oszczędna, rządna, lubiąca ład, umiejąca do siebie ludzi przywiązać, dla biednych miłosierna, nieco surowa dla złych, panująca nad sobą i wielkiego taktu w życiu. Na pozór wydawała się zimną choć serce miała dobre; z obawy tylko, aby ją o słabość nie pomówiono, o lekkomyślność i rozrzutność, zbyt dbała o grosz, zbyt zapobiegliwą była w majątkowych sprawach. Niewielki mając wniosek na znacznym majątku córki, którym pod okiem Starosty zarządzała sama, nie życzyła sobie tak prędko Domci wydać za mąż. Wiedziała dobrze co to jest żyć na łasce, choćby najlepszego dziecięcia, pragnęła więc sobie uzbierać tyle, ażeby się stać niezależną, gdy Domcię na reszcie wydać przyjdzie.

Oprócz Staszka Horwata, którego mimo przywiązania córki odprawiła pod pozorem ubóstwa i — niestósowności partyi; na różny sposób usunięto tak wielu ichmościów napastliwie szturmujących o rękę dziedziczki pięciu wiosek, miasteczka i nadziei po skąpym bezdzietnym stryjaszku. Ale gdy się Zbisław

Wierzchowski uczepił, przypił, najechał i stał tak niesłychanie natrętnym a stryja sobie potrafił ująć *per fas et nefas* — nie było środka obronić się od najezdzcy. Pani Bożeńska naówczas popróbowała w sekrecie i za zgodą córki użyć Staszka Horwata dla opędzenia się Zbisiowi. Tymczasem najlepiej ułożony plan zawiódł, ślubowi nie przeszkodzono i dopiero przy wyjściu z kościoła zaszły protesty i znany nam dramat. — Nie straciła wcale przytomności matka, skorzystano z tego... panie obie ujechały... skryły się. Szło teraz o rozwiązanie rąk źle związanych stułą księdza proboszcza. Córka była godną matki... Śliczna ta mała, drobna, zręczna, śmiała, wygadana, dowcipna istotka wychowała się naprzód na kolanach mamy, u jej boku, potym miała bonę Francuskę, niemłodą już pannę która ją dopieściła do reszty, potym pół roku spędziła na pensyi klasztornej we Lwowie zkąd się jej ledwie pozbyto. Nie dziw że w Domci Staszek się zakochał, kochali się w niej bez wyjątku wszyscy młodzi co ją widzieli, wzdychali do niej starsi, a starzy i beznadziejni patrząc na nię z desperacyi płakali, że im się Pan Bóg nie dał później urodzić. Gdyby to nie był wcielony szatanik z różowemi pazurkami, mógłby być najśliczniejszy

aniołek w świecie... Dobrego i złego hojnie wsypała — natura, mając upiec ten cukierek żywy... miód, pieprz, imbier... czego tam nie było...

Żywa, fantastyczna, ciekawa, zalotną była z urodzenia i chcącą się przypodobać nawet drzewom gdy latała po ogrodzie. Egoizm jej posunięty do najwyższego stopnia był z tego rodzaju naiwnych, którym przebaczyć trzeba tak się siebie nie wstydzą, — chciała zresztą przez egoizm czułego serduszka wszystkich do koła siebie widzieć szczęśliwymi, bo ją jęczenie i płacze nudziły i śpiewać jej przeszkadzały. A śpiewała jak skowronek, skakała jak sarenka, a bystrą była i wiedziała wiele, wiele czego jej nikt nie powiedział!!

Domcia z wiekiem i doświadczeniem z faworytki mamy, stała się jej panią... Mama się jej obawiała... może dla tego, że ją kochała bardzo.

Mamyż wydać te panie z tajemnicy i powiedzieć dokąd uszły od pogoni ze Żmurek?

Dobra były, jakeśmy mówili, rozległe bardzo, pięć wsi i miasteczko w owych czasach, z lasami do nich należącemi zalegały ogromną przestrzeń kraju. Wnętrze tych majętności przez które, wyjąwszy same *fundum* Żmurki, nie przechodziły główniejsze gościńce, osło-

nięte było ciszą i urokiem. Była to *terra incognita*, w której oprócz żydów arędarzy i ekonomów a pospolitego ludu, rzadko się kto zabłąkał. Takich kątów kraj podówczas miał wiele, patryarchalne w nich panowały obyczaje...

O dobrych mil cztery od *fundum* Żmurek, w ciszy lasów nad rzeką Wieprzem, prawie na skraju dóbr Bożeńskich, znajdowała się starożytna siedziba, niegdyś do Firlejów należąca, zwana z prastarych czasów *Złotym Opolem*. Był to murowany zameczek na sypanej górce, obwiedzionej fossami, przerobiony w XVII wieku przez późniejszych dziedziców na pałacyk, z dawna nie zamieszkiwany, ale z polecenia stałego Bożeńskiej utrzymywany w dobrym stanie. Miała bowiem myśl matka, gdyby córka za mąż wyszła, kiedyś się tam osiedlić. Z jednej strony Opole otaczały lasy rozległe, z drugiej płynął pod nim Wieprz, szerokie, zielone ługi i odkryty, żyzny, cudny kraj zasiany wsiami widać było. Miejsce samotne a uśmiechnięte, ciche a wesołe przystało by było kobiecie chcącej w zadumie rzewnej dokończyć dni swoich. Pani Bożeńska choć widywała rzadko ten kątek, lubiła go bardzo... Mało o nim mówiono, znano go nie wiele, z tej strony Wieprza nie był pałacyk wi-

doczny, a mieszkańcy z drugiego brzegu mało mieli stosunków z tutejszemi. Ledwie kto kiedy wspomniał o Złotym Opolu. Pamiętała o nim tylko pani Bożeńska powoli zaopatrując je we wszystko, czego później potrzebować mogła. Osadziła tam starą poczciwą klucznicę swą panią Osowiecką... i z cicha przygotowywała pustelnią tę na stanowczą godzinę, gdy córkę opuścić by musiała.

Nadto bowiem nawykła była do swobody ażeby z nią razem mieszkać mogła przy zięciu.

Przybywszy do Żmurek... jak błyskawicą uderzona została myślą ucieczki przed nieochybną pogonią do Opola. Zdrady ze strony swych ludzi spodziewać się nie mogła, zresztą nie powierzyła myśli swej nikomu oprócz Domci która w ręce plasnęła i na szyję jej się rzuciła z radości. — Zabrano trochę rzeczy... ostrożna pani Bożeńska rozkazała jechać drogą ku Lublinowi, a dopiero o dobrą milę zawrócono nagle z gościńca małemi drogami do Opola. Ludzie znali okolicę doskonale, więc choć noc była i drogi nie szczególne, obeszło się bez przypadku i wywrotu... Dopiero zjechawszy dobrze z gościńca kazano konie popaść i wypocząć, a przodem posłano do Opola, aby się tam Osowiecka trochę przy-

gotowała na przyjęcie. Niepotrzebuję mówić, że ludzie do milczenia przysięgą zobowiązani zostali...

Domcia choć przerażona ślubem swym, potym rozradowana rozerwaniem nienawistnego jej związku, choć pod silnemi wrażeniami dnia tego ulegająca, cieszyła się z awantury. — Nic do jej usposobień przyjemniej przypadać nie mogło... lubiła przygody... podróże, niespodzianki... a przytym? obiecywała sobie po cichu że Staszek Horwat dowie się, wyszpera gdzie jej szukać i odwiedzać ją tu będzie... Słowem roiła — a jestże szczęście nad marzenie takie młodzieńcze? Gdy matka chodziła zamyślona i po krótkim spoczynku na rozpostartej słomie pokrytej kobiercami zrywała się uciskając rękami dłonie i dumając co pocznie, Domcia drzemała na posłaniu z uśmiechniętemi do przyszłości ustami.

Nad rankiem gdy rozwidniało dobrze puszczono się nareszcie w dalszą drogę po leśnych wąskich drożynach ku Opolu. Potrzebowało to kilku godzin czasu, gdyż wśród lasu, wąwozów, grobelek, ciasnych przesmyków pośpieszyć nie było sposobu. Naostatek dębowy las przerzedzać się zaczął, pani Bożeńska głowę przez okno wystawiwszy zawołała:

— Otóż Opole...

W blasku złocistego poranku pokazał się zameczek na górze, a Domcia która go od lat kilkunastu nie widziała, to jest od dzieciństwa, uderzyła w dłonie z radości... Ślicznie bo też wyglądało to miejsce na tle zielonych łąk, szerokiej wstęgi wody i niebios rannych omglonych, osnutych pół przezroczystemi chmurkami.

Pani Bożeńskiej przy uśmiechu i łza zakręciła się w oku — kochała Opole, ale z jego imieniem wiązała się dla niej myśl o starości.

U stóp wzgórza rozciągała się wioska wesoła, zabudowana porządnie, umajona sadami. Mieszkańcy oprócz rolnictwa które się dobrze opłacało, mieli pomocnicze przemysły leśne, i rybołówstwo dodatku. Znać to było na weselszych ludu twarzach, na bielszych koszulach, na świeżo wyglądających chatach. Od wsi ku zamkowi zwanemu w starych aktach Ogrodzieńcem, prowadziła krótka droga drzewami wysadzana, potym przejeżdżało się fossę jeszcze wodą zalaną po moście, ale już teraz ze zwodzonego przerobionym na stały i bramą w wałach wjeżdżało się na czysty, mały dziedzińczyk. Ze starych fortyfikacyi, baszt, kurtyn porobiono w XVII wieku galerye, przybudówki, kaplice, skarbiec...

Sam korpus pałacyku wysokiego wznosił

się w pośrodku przyozdobiony kamiennemi drzwiami i rzeźbami, wśród których jeszcze Firlejowskie herby widniały. — W ganku z balustrady na której stały dwa kamienne wazony rokoko, czekała już stara Osowiecka cała biało ubrana, w czepku białym z żółtemi wstęgami, z pękiem kluczów w ręku i ekonom w żupaniku letnim i długich butach kozłowych. Był to stary konfederat, żołnierz wyga, ale dobre człeczysko...

Ledwie panie wysiadły przybiegła też wiejska służba zamkowa powitać tych niespodzianych gości. Pani Bożeńska że to była kobieta z głową a przytomna i wiedziała z kim miała do czynienia, czuła iż chwili tracić nie powinna. Przywitała panią Osowiecką uściskiem i zostawując jej szczebiocącą a szczęśliwą Domcię, sama zwróciła się ku panu Chrapskiemu, ekonomowi i rządzcy Opola. Odprowadziwszy go na bok trochę, zawołała żywo:

— Mój Chrapski, mój dobrodzieju — nie myślcie żebym ja tu dla siebie i dla was na gody przybyła. Wiecie pewnie że Domcię prawie mi gwałtem za mąż wzięto...

Tu westchnęła...

— Nie chciałam nigdy tego małżeństwa... ale cóż? jestem słaba kobieta. Tymczasem w chwili ślubu prawie zaszły takie okolicz-

ności, iż ślub stał się nieważnym... Uciekłyśmy przed panem młodym, musimy tu czekać rozwodu. Alc toby wszystko było nic, najgorsza rzecz że narzeczony utrapieniec, paliwoda, człowiek impetyczny... na wszystko się rzucić gotów... Jeśli się dowie gdzie jesteśmy, może na nas napaść siłą, aby odebrać żonę.

— A! pani dobrodziejko! przerwał Chrapski podnosząc ręce, alboż ma wojsko?

— O! szczęściem nie, ale znajdzie dziesięciu lub piętnastu zbrojnych awanturników jak sam... a cóż my poradziemy?

— Jakto? proszę jaśnie pani — oburzył się Chrapski, jeśli nie ma więcej nad kilkunastu ludzi, czyżby on nam rady dał?

— O toż mi właśnie idzie, kochany Chrapski, o to aby się mieć na ostrożności i nie dać wziąć bezbronnie.

Chrapski wąsa pokręcił uśmiechając się.

— Czy jaśnie pani mi daje plenipotencyą do obrony? mogę się zawinąć? ja do wieczora tak Ogrodzieniec wystrychnę, że się trzystu ludzi nie obawiam. Para szmigownic do bramy znajdzie się, pale u mostu podpiłować każę, ludzi kilkunastu zbiorę najlepszych, strzelców, bartników... pobereżników... Prochu trochę jest, strzelby się pozbierają...

Machnął czapką.

— No — ja za zamek do wieczora odpowiadam... A! niechby przyszli... niechby przyszli, tak bym ich tu oporządził, żeby starego Chrapskiego popamiętali...

— No, więc mianuję waści dowódzcą zamkowej załogi, smutnie uśmiechając się rzekła pani dając rękę do pocałowania ekonomowi — ale, mój Chrapciu, cicho... nie robiąc z tego niepotrzebnych plotek... rozumiesz...

Chrapski jak stał zawrócił ku narożnej baszcie dla obmyślania i przygotowywania do obrony, a panie weszły do zameczku. Naprzód sień była flisami szaremi wyłożona przestronna, z której wschody po obu stronach pięknie zatoczone wiodły na pierwsze piętro... Na dole były tylko składy, mieszkania dla służby i poczęści puste sale... Na górze wszystko utrzymano w porządku i choć się to postarzało miłym było dla oka. W całym pałacyku drzwi wszystkie białe ze złoceniami jeszcze dość świeżo wyglądały, ściany poopasywane były drzewem, pociągane materyami, ozdobne w lustra, obrazy, naddrzwi malowane, szklanne pająki i meble staroświeckie dobrze zachowane.

Można się tu było sądzić o sto lat cofniętym w czasy Kazimierza, Michała, Sobieskiego... Domcia skakała z radości szląc buziaki sta-

rym zapylonym portretom... Z głównego saloniku przedzielonego na dwoje słupami, z jednej strony widok był na Wieprz i łąki, z drugiej na lasy i wioskę... Przy oknie otwartym stał stoliczek nakryty do kawy, sucharki, śmietanka i wiejskie masełko i różne przysmaki, na które Osowiecka zebrać się mogła.

Ale z ciekawości oglądania zamku Domcia wyrzekła się chwilowo śniadania i kazała się prowadzić wszędzie...

Nie mogła się nasycić tym cackiem ze starych czasów, które w istocie z niepospolitym staraniem było wykończone. Niezapomniano nawet na dachu cysterny obszernej, której wody służyły do utrzymywania dwóch misternych wodotrysków. Jeden z nich bił w marmurowej wannie w salonie, drugi w kamiennej sadzawce w podwórcu, przyozdobionej figurami... Co chwila jakaś niespodzianka wykrzyk wyrywała z ust Domci... która każdy kącik obejrzeć chciała... Naostatek i kaplicę. Ta połączona była z zamkiem galeryą oszkloną, a że kapełan był przy niej utrzymywany świeżą jeszcze wydawała się przy swej starości. Pozostała bowiem nietknięta z dawnego zamku i sama jedna zachowała znamiona gotyckie... Oryginalność jej stanowiło, iż cała spierała się na jednym potężnym słupie, który

rozpromieniał się w sklepienie... Wąskie okna ją oświecały... Z obu stron jakby snem ujęte, na sarkofagach marmurowych spały zbrojne figury mężów i w mniszych osłonach z różańcami kobiety. — Najstarszy z przodków z nogami na lwie spartemi z płyty piaskowca wyrzeźbiony, stał u drzwi na straży...

Tu Domcia uczuła powagę i świętość miejsca spływającą na serce... Umilkło jej szczebiotanie, klękła przed ołtarzem pomodlić się.

Ze starego obrazu patrzała na nią Matka Boska w białym kwefie, z dzieciątkiem Jezus na ręku... czule jakoś a smutno i zdało się Domci że jej mówiła. . — Zacznie się życie obowiązków, skończy się żywot pusty... Domci łza w oczach zakręciła się, ale otarła ją żywo i wstała wracając do matki...

— A moja ty najdroższa mateczko, zawołała rzucając się jej na szyję — co to za cudowne gniazdko kamienne... niech mnie mama je daruje... a ja tu całe życie gospodarować sobie będę... To coś tak pięknego jak tylko w książce lub na obrazku być może.

— Moja Domciu, westchnęła matka, darować ci nie mogę Opola, bo nie jest mój — jest twoim, ale właśnie chciałam prosić ja ciebie, abyś mi go do mego życia — pożyczyła... To miejsce dla mnie stósowniejsze niż

dla ciebie... cisza i spokój. Ty, po kilku dniach wielkiej uciechy, umarłabyś tu z tęsknoty...

— No — no — moja mateczko — jakoś się pogodzimy... i o to pieścidełko nie pokłócim...

Matka pocałowała ją w czoło...

Przez okna na podwórze wychodzące widać było, iż pan Chrapski do serca wziął swe posłannictwo... Znalazł on pomocnika już i ze skarbca dobywał oręż, który dawno świata nie widział. Już za Sasów powoli szmigownice zardzewiały lub służyły do wiwatów na rezurekcyą, a za Stanisława Augusta od Barskiej stara broń nietkniętą leżała. Prawdą a Bogiem owe muszkiety, flinty, arkabuzy odwieczne nie na wiele przydać się mogły. — Najczynniejszy ze starych wojennych był moździerz, bo hukał przy bankietach. Co do zbroi te powoli z użycia były wyszły, tak samo jak łuki, które w początku ośmnastego wieku dla parady jeszcze noszono.

Chrapski zobowiązawszy się słowem, że zamku ustrzeże, wziął, jak mówił, na pazury aby przed nocą wszystko było gotowe. Leśników zwołano, strzelców zebrano i sam dowódzca miał do nich przemowę stósowną... malując im niebezpieczeństwo pani i panienki które od napastnika jakiegoś uciekać mu-

siały. U ludu taka przemoc obudza zawsze oburzenie, a że panią Bożeńską lubiono bardzo, zaklęli się wszyscy że jej bronić będą — bądź co bądź. Strzelcy sami najzdatniejszą młodzież wybrali ze wsi, i ku wieczorowi w bramie formalną urządzono kurdygardę... Most był strzeżony, szmigownice wytoczone, broń ponabijana, a mądry człek konnych ludzi rozstawił po gościńcu wiodącym do Opola tak, że gdyby nieprzyjaciel się zbliżał, mogli zaraz dać znać do zamku. — Teraz już wzdychał tylko stary żołnierz do Matki najświętszej żeby przyszli, tak był pewien swego. Zrobił ślub że funtową świecę postawi u Dominikanów, byle tylko nieprzyjaciel nadciągnął. Najwięcej się obawiał tego, że gotowi byli stchórzyć i nieprzybyć. — Dla tego przygotowania taił... i starał się jak najmniej je rozgłaszać, nakazując tajemnicę.

Tak dzień spłynął, a nawet noc na czuwaniu, przy pokrzepiającym piwie i wódce których pani Bożeńska nie żałowała. Domcia biegała po zamku, matka wzięła się do zagospodarowywania... Następny dzień zszedł podobnie, a za nim drugi i trzeci...

Im dłużej to trwało tym w początku groźne niebezpieczeństwo zaczynało coraz mniej prawdopodobnym się okazywać. Domcia sobie

mówiła... Nie będzie śmiał... matka także, a nieszczęśliwy Chrapski powiększał coraz wagę świecy ślubowanej do Dominikanów żeby się to, uchowaj Boże, tak na niczym nie skończyło... Chciało mu się i prochu powąchać i swych wojennego rzemiosła wiadomości dowieść w praktyce.

Ta głucha cisza i nieświadomość tego co się tam działo w Żmurkach, co ze stryjem Starostą, z panem młodym, zmęczyła w końcu do tyla wdowę, iż postanowiła wysłać kogo na zwiady. Domcia to aprobowała bardzo, bo by się rada była także dowiedzieć co o Horwacie, albo go nawet i ściągnąć dla narady. Powołano tedy Chrapskiego, żeby obmyślił kogo słać, takiego coby, nie już przez złą wolą, ale przez dobroduszność nie zdradził. Padł los na Joachimka siostrzeńca pana Chrapskiego, młodego bardzo roztropnego chłopaka, który po całych dniach z kurdygardy na biegającą po zamku Domcię oczy wytrzeszczając, gotów był jej sprawom choćby życie poświęcić. Ofiarował się czy w ogień czy w wodę. Więc p. Bożeńska napisała przez niego list do Starosty, nie mówiąc gdzie była, ale oznajmując mu tylko że się znajdowała w miejscu bezpiecznym a prosząc o zawiadomienie i dobrą radę co czynić miała, ażeby się od

p. Zbisława uwolnić. Posłańcowi dla ostróżności zalecono, aby w razie silnego natarcia skłamał iż panie schroniły się do Lublina.

Wyjechał tedy na szpiegi poseł opatrzony dobrą instrukcyą od wuja, a wijatykiem brzęczącym od obu pań, które go w tę drogę pobłogosławiły.

Gdy tu tak oczekują wieści ze świata, tymczasem p. Zbisław rozpuszcza swe gońce szukając także wiadomości o zgubionej żonie, a miły Staszek Horwat kręci się na swoję rękę.

Niepostrzeżony, niepozorny ten chłopczyna, znajdował się ze swemi przyjaciołmi w miasteczku w czasie ślubu i protestu p. Strukczaszego, śledził ruchy swojego przeciwnika i udało mu się urządzić tak że w gospodzie odjął mu środki dalszego ścigania obu pań, o których i on też nie wiedział gdzie się znajdują, ale się obawiał Zbisława, aby na nich gwałtu się jakiego nie dopuścił...

Dopiero ułatwiwszy się ze Zbisławem, któremu konie i rzeczy zabrane odesłał do domu, pomyślał Staszek o dochodzeniu, gdzie się p. Bożeńska z córką znajduje...

W Żmurkach nie umiano mu nic o nich powiedzieć, trzeba było brać na rozum, śledzić samemu i unikać spotkania z p. Zbisła-

wem i jego bandą, wiedział bowiem, że w razie zetknięcia się z niemi na sucho by mu to nie uszło.

W tym celu odłączywszy się od swoich, porzuciwszy nawet sługę, zmieniwszy konia, starał się i twarz tak zamaskować, aby go nie łatwo poznano. Chłopak był ładny, delikatny, blondynek jasny, wyszwarcował się więc i wysmarował na cygana, wąsiki oczernił i podprawił dłuższe, z tą nową postawą przebrany w suknie prostsze puszczając się na zwiady. — Miał on swych przyjaciół w Żmurkach, którzy wiedzieli że u Domci był w łaskach, ci nie mogąc dać mu wskazówki, dokąd panie pojechały, zaręczyli wszakże iż się udały drogą ku Lublinowi. Staszek natychmiast dotarł aż do Lublina, schodził miasto, spenetrował klasztory i utwierdził się w przekonaniu, że tam ich nie było.

W czasie dawniejszych swych bytności w Żmurkach, zasłyszał był nieraz o zameczku w Opolu — tknęło go to, że bardzo mogły się tam schronić. — Ludzie zakochani miewają przeczucia szczęśliwe i instynkt jakiś mówił, że tam ich szukać było potrzeba. Wyruszywszy więc z Lublina, nie wiele się namyślając rozpytał o drogę do Złotego Opola i wprost nią pojechał. Sam jeden był, konno,

ale na wszelki wypadek miał i szablę którą zręcznie władał; i pistoletów parę w olstrach i na sznurze przez plecy jeden jeszcze pod ręką... Nie wyglądał wszakże ani na wielkiego wojaka, ani na niebezpiecznego człowieka, bo był mały, drobny, a choć umalowany na ciemno, twarzy nie nadał marsowego wyrazu. — Za to bardzo się w nim było łatwo szpiega domyślać, który wietrzył pole. — Droga do Ogrodzieńca stała pustką... rzadko kto nią się zapuszczał w lasy.

W pierwszej karczemce, w której popasał, zastał Horwat chłopka śniadającego chlebem i słoniną. Przy nim stał konik bez siodła, ale workiem ze strzemionami i sznurowemi okryty. — Traf chciał żeby się u niego zaczął rozpytywać o drogę. Dobrze padł, był to bowiem człowiek przez Chrapskiego postawiony tam na straży, który jak tylko posłyszał obcego dopytującego o Opole i Ogrodzieniec... ni to ni owo odpowiedziawszy i zbywszy go mruczeniem, chleb i słoninę za pazuchę schował, dopadł szkapki i pokłusował w las, do drugiej stacyi dając znać iż — przednie straże nieprzyjacielskie nadciągają. Ludzie znużeni długim a próżnym oczekiwaniem, w mgnieniu oka, jeden drugiemu podając wieść, pobiegli aż do Opola...

Staszek nie domyślając się niczego, wybrał się z popasu zwolna, a już na zamku wiedziano o nim.

Chrapski słowa nie mówiąc kobietom, aby je nie przestraszać. załogę swą zebrał, mowę do niej palnął gęstą, wódki dystrybucyą uczynił, (bo bez tego nic) — broń kazał opatrzyć, Panu Bogu podziękował, ofiarę świecy do ołtarza uroczyście ponowił i oczekiwał z bijącym sercem godziny stanowczej, w której by się mógł, jak należy popisać. — Nie wątpił bynajmniej że za tą przednią strażą, nadciągną wkrótce ufce nieprzyjacielskie, lano więc ołów i rznięto siekańce do garłaczów.

Wśród tych żwawych przygotowań, przyszło mu na myśl, bardzo szczęśliwie, (bo to był człowiek gorącego serca, mimo nie pierwszej młodości), że takiego człowieka wysłanego pojedyńczo nazwiady wyśmienicie było można pochwycić i z niego wyciągnąć potrzebne wiadomości o sile nieprzyjacielskiej. Uderzony tym szczęśliwym pomysłem, Chrapski nic nikomu nie mówiąc, samoczwart wyruszył zbrojno z zameczku i zdążył na kraj lasu, nim się tam dostał Horwat.

Ten najspokojniej w świecie małym truchcikiem sobie drogą leśną posuwał się ku Opolu, gdy jak piorunem rzuciło się nań czterech

ludzi. Chciał się w początku bronić, pewien będąc że to Zbisia zasadzka. ale — siła złego, czterech na jednego, i to jeszcze wcale się niespodziewającego. Nim za pistolety mógł chwycić, Chrapski go już trzymał w żelaznych rękach, wołając: — A tuś! a tuś jegomość... Milczeć bo w łeb strzelę...

— Coś za jeden?

— Na miłego Boga — czego chcecie odemnie...

— Coś za jeden i co tu robisz?...

— Dla czego się mam tłumaczyć?

— Mów, bo my wiemy co cię tu prowadzi — ptaszeczku!

Napadnięty tak, gdy mu i mówić nie dawano i sam nie wiedział co odpowiadać, nie rozpoznając w czyje się ręce dostał — obudził jąkaniem się jeszcze większe podejrzenie pan Horwat... Działo się to nie daleko od wsi i zamku, do którego ciągnąć go zaczęto, obstąpiwszy do koła...

Poznał 'edy dopiero że to chyba ludzie z Opola być musieli i począł się tłumaczyć że do pani Bożeńskiej jedzie.

— E! he! mnie ty nie oszukasz! rzekł Chrapski... daremne kłamstwo! ja z waszeci prawdy dobędę! My wiemy o waszych zamia-

rach... Nie podszywaj się asindziej w cudzą skórę, to darmo...

Staszek się klął na matkę Najświętszą, Chrapski ani chciał słuchać, szło mu o własną cześć, nie przypuszczał omyłki.

— No — dość — zawołał groźno — wszystko się wyjaśni... teraz milczeć, ani pisnąć i — z nami.

Wzięli go tedy między konie, dowódzca polecił milczenie wszystkim i przebiegłszy z Horwatem. który jeszcze się z przygody uśmiechał, kawałek drogi do zamku wiodący, doprowadził go do kurdygardy. — Tu w bramie pochwycili go na ręce ludzie i wparli do ciemnej izby. Wjazdowa brama z obronnej niegdyś przerobiona, miała takich komnat wiele pustych, a z jednej z nich wnijście do lochu na prochy znać lub dla więźniów dawniej przeznaczonego. Chrapski nic nie chcąc mówić o tym paniom, natychmiast loch otworzył i więźnia, mimo jego protestacyi i powoływań się do pani Bożeńskiej, na klucz w ciemnicy zamknął...

Dopełniwszy tego znakomitego czynu dopiero pot z czoła otarł, piwa się napił i siadłszy na ławie, począł myśleć co począć dalej. — Nie miał najmniejszej wątpliwości że szpiega złapał. — Czujność w bramie została po-

dwojona, ludzie szeptali między sobą, wrota zaparto... Chrapski rozmyślał ciągle jakby tu prawdy dobyć z niegodziwego szpiega... Wahał się między morzeniem głodem a chłostą.

Tymczasem Staszek Horwat rzucony do zatęchłego, ciemnego lochu, w niemożności tłumaczenia się, gdyż go słuchać nie chciano wypierającego się wspólnictwa ze Zbisławem, jak osłupiały siedział pod kraciastym okienkiem, z którego widok smutny, przedstawiał mu fossę zamkową, pełną wody spleśniałej... okrytą zielonym kożuchem porostów i cuchnącą... Pobyt w pustym loszku, gdyby się miał przeciągnąć, wcale pocieszającym nie był... powietrze przesiąkłe wilgocią, smród, zimno, kamienie mokre i przelatujące szczury — noc czyniły straszną. A tu ani głosu ludzkiego słychać nie było, tylko głuchy stukot w kurdygardzie krzątającej się załogi. Sam nie wiedział co ma począć... Chrapski nareszcie namyśliwszy się dobrze, zszedł powoli do więzienia, i zabierając się do indagacyi usiadł na przymurku...

— Słuchaj pan, rzekł nieco uspokojony zebrawszy myśli Horwat, z gorliwości wielkiej popełniłeś jegomość omyłkę, której później żałować możesz... Powiadam wam, że jestem Stanisław Horwat, przyjaciel pani Bo-

żeńskiej i dawny pretendent do ręki p. Domicelli... właśnie chcąc je bronić od tego napastnika Zbisława Wierzchowskiego, jechałem do Opola. Zlitujże się waćpan...

— Ta! ta! ta! — odrzekł Chrapski zawsze trwając w swej myśli uparcie — co mi tam asindziej będziesz plótł takie androny... Lepiej prawdę śpiewaj... kto cię wysłał? ilu was jest? kiedy na zamek uderzą!!

— Ale — słuchajże waćpan — zawołał oburzony Horwat — prowadź mnie do swej pani, ta mnie zna... ja ci odpowiadać nie myślę...

— Na mnie zdano załogę zamkową i pieczę... ja nie potrzebuję straszyć kobiet i do nich się odwoływać, ja co wiem to wiem... odparł Chrapski.

— Waćpan tego żałować będziesz...

— A ja wam powiadam że wy też pożałować możecie uporu. U mnie skruchą i pokorą wszystko zrobić można, ja nie jestem żaden okrutnik, ale sprawę wojenną i wybiegi nieprzyjacielskie znam...

Horwat był do najwyższego stopnia zniecierpliwiony i po troszę wylękły.

— Słuchaj waćpan — dodał — daj mi krucyfiks to ci nań przysięgnę że nie kłamię.

— Ale tak! zapewne... albo ja nie znam

przysiąg jezuickich! potym cię rozgrzeszą żeś życie salwował!! Jam na świecie bywał.

— Daj mi waćpan napisać trzy słowa do panny Domicelli — rzekł w gniewie Horwat — przekonasz się... Nie bądźże szalonym!

— Szalonym! tak! jeszcze mnie będziesz...

Chrapski spojrzał, chciał dalej rozmowę ciągnąć... ale w tejże chwili, na wale naprzeciw okna fossy ukazała się Domcia z bukietem kwiatów i więzień w mgnieniu oka uchwycił się za kratę i zawołał:

— Panno Domicello! niech mnie pani ratuje... Horwat! Horwat! Ja tu...

Szczęściem dla utrapionego więźnia, głos jego usłyszanym został. Domcia zrazu nie mogła pojąć zkąd wychodził, zatrzymała się... Chrapski dopiero pomiarkował, słysząc go odwołującego się do pani, że straszliwego bąka ustrzelił. Palnął się po łysinie.

— A któż tam was już pozna i zrozumie! zawołał — no, nie krzycz pan, czas wojenny, prawo wojskowe.. to darmo... człowiek... *homo*, omylić się może!!

Horwat już nic nie odpowiedział, milczący rzucił sę ku drzwiom otwartym i wschodkami do kurdygardy, drugiemi własnie wbiegła w tej chwili przestraszona Domcia... i załamała ręce, zobaczywszy ulubionego, czar-

nego, osmolonego... w ladajakiej opończy wyłażącego z lochu... Chrapski stał mrucząc że temu wszystkiemu wojenne prawa były winne...

Skończyło się śmiechem... nie można wszakże zaprzeczyć iż dowódzca zamkowy straszliwie zawiedziony, wiele od tego wypadku stracił energii, co na dalszy tok naszej historyi wpływ wywarło niemały.

Nim się pan Horwat przebrał i odmył, Domcia z wielką radością pobiegła o nim oznajmić matce. Chociaż przejednana ze Staszkiem p. Bożeńska nigdy go bardzo nie lubiła, można to było poznać i teraz po twarzy, po której przebiegł wyraz jakby nieukontentowania.

— A! wolałabym była żeby nie przyjeżdżał — zawołała żywo — sama możesz to zmiarkować, że nam tu go przyjmować nie wypada... Dopóki rozwodu nie będzie, jesteś zamężna... wszyscy wiedzą, że on się starał o ciebie... ludzie będą pleść...

— Niech sobie plotą — odparła Doncia — niech sobie plotą...

— Przepraszam cię, ja nie chcę żeby na moję Domcię pletli... ja mu tu ani godziny być nie dam...

— Ale moja mamo...

— To nic nie pomoże... nie pozwolę...

— Mameczko! kochanie! poczęła się wdzięczyć córka... jeszcze go Chrapski do lochu wsadził. — Czyż to może być, żeby go tak bez litości odprawić? Mama wie, że ja go bardzo, bardzo... lubię.

— O tym na nieszczęście wiem, odpowiedziała matka — ale nie przeszkadzając wcale, sprzeciwiam się stanowczo pobytowi jego tutaj.

— On się zasmuci! on się pogniewa...

— Jeśli ma rozum to nie, a jeśli go niema...

Domcia z niecierpliwością ruszyła ramionami.

— Mamciu... jesteś niedobra!

Matka ją pocałowała w czoło.

— Dziecko, ty jesteś głupiuchna...

— Ale Mamo...

— Ale Domciu... niepozwolę...

Domcia wybiegła zapłakana ale odważna... W pierwszym pokoju stał nieszczęśliwy Staszek pokorny, pocieszający się nadzieją, że mu tu wolno będzie pozostać.

— Panie Stanisławie — zawołała przybiegając Domcia — uzbrój się w męztwo, Mama nie pozwala abyś tu bawił dłużej, każe ci jechać... Mówi że tak wypada... że trzeba. Prosiłam jej... błagałam, nic nie pomogło..... Jedź pan, jedź wprost do stryja, naradź się

z nim... niech nam rozwód dadzą... a ja — podała mu rękę, jestem twoją...

Staszek pocałował rękę, oczy podniósł.

— Ale choć dziś...

— To — schowaj się pan sobie gdzie, szepnęła Domcia... ja oficyalnie pozwolić na to nie mogę... ale...

Schyliła mu się do ucha i poszeptała coś żywo... Staszek drugi raz w rękę pocałował, westchnął, położył na sercu dłoń i powoli wyszedł.

W dziedzińcu spotkał się z Chrapskim, który bardzo miał na sercu żeby się z nim przejednać... Staszek nie był od tego... poszli więc razem po cichu z sobą gadając i znikli... Domcia zdala na nich oknem patrzała...

Tymczasem wysłany przez Chrapskiego siostrzan dotarł do majątku Starosty i zastał w nim pustkę, niewiadomość o losach pana, o którego się wielce niepokojono. — Nie było tu co robić, ani czekać na co, zwolna więc pociągnął nazad z kwaśną miną.

Chłopak był roztropny, jakeśmy mówili, bardzo dobrej woli, żwawy i wujaszek mógł spokojnie zdać się na niego że nie zdradzi. Nadto był wielkim wielbicielem pani młodej,

jak ją zwano, aby na jej szkodę, śmiał co uczynić. Dla tego też, próżno się na kulbace przetrząsłszy — wracał bardzo skwaszony, i jechał powoli zawsze w tej nadziei że mu się coś po drodze nadarzy dla powzięcia języka...

Wyjechawszy od Starosty poczciwe chłopię na spokojnym stępaku jadąc zdrzemnęło trochę. Koń sobie obierał ścieżki kędy by mu gałęzie mogły muchy opędzać... i zabrnął w gąszcze, a Joachimek nie obudził się aż mu też jedna grubsza gałąź posmarowała po gębie. Oczy otworzywszy znalazł się w lesie i na ścieżynce widocznie tylko po drwa uczęszczanej. Trzeba było zawrócić, i szukać gościńca, ale zacząwszy się doń dobijać Joachimek, który był niecierpliwy, tak koniem kręcił w prawo i lewo że w końcu zupełnie się zabłąkał. — Klątwy i zżymania nic nie pomogły, ścieżka szersza nie prędko się znalazła... i kilka godzin czasu nadaremnie zmarnowało... Naostatek, znalazł się chłopak na kraju lasu, w okolicy zupełnie sobie nieznanej... Przed nim u szerokiego gościńca stała bardzo piękna a pożądana dłań gospoda... Odetchnął, boć przecie raz na jakiejś będąc drodze, mógł się już wszędzie dopytać. Od pierwszego zaraz wieśniaka dowiedział się, że to był szlak wielki

z Rusi do stolicy... i że gospoda zwała się Postójna, a arędował ją przechrzta niejaki Czwartkiewicz... Dla samego konia wypadało zajechać do przechrzty...

W stajni ludzi było niewielu, u żłobu tylko dwa stały konie, ale tęgie, jeden z prostą kulbaką, drugi w wygodnym siodle i pokryciu, z rzędzikiem chędogim... chłopak przy nich ser z chlebem zajadał. Że gościnnych izb nie było wszedł do wspólnej Joachimek, w której za stołem przed misą świeżo usmażonej kiełbasy z jajecznicą, siedział piękny młody mężczyzna z ogromną kresą przez łeb.

Taka kresa dawniejszych czasów za order starczyła, skłonił się tedy Joachimek bardzo pięknie, na co mężczyzna ruchem głowy i uśmiechem odpowiedział. I, czy mu się nudziło, czy tak był w dobrym humorze, wkrótce sam zaczepił przybyłego...

— A co? przypieka dziś dobrze? zapytał.

— Niezgorzej, tylko że ja lasami jechałem, to mi się czuć tak nie dało...

— A zkądże Pan Bóg prowadzi?

— Zabłąkałem się — rzekł Joachim — licho go nadało...

Tu, przyznać musimy, jakkolwiek bardzo poczciwy chłopiec popełnił pan Joachim wielką

nieoględność. której zaraz potym pożałował, ale już wówczas gdy się słowo rzekło...

— Licho go nadało... jechałem od Starosty do... Złotego Opola...

Młody człowiek aż podskoczył na ławie, posłyszawszy to, ale w mgnieniu oka umiarkował się, zamilkł, kiełbasę zaczął zajadać i już więcej nie dopytywał. Oczy mu tylko zabłysły, twarz rozpromieniała i znać było że mu na świecie jakoś wesoło się zrobiło.

— Ponieważ was tu losy przygnały, rzekł, a ja już wprzódy zajechawszy rozgospodarzyłem się — napijcie się wódki i chodźcie ze mną przekąsić, kiełbasy i jajecznicy starczy na dwóch, starczyło by na trzech takich jak Starosta... ale my młodzi... podołamy.

Joachimek rad już iż go nie pytano więcej, napił się wódki i nie dał się prosić do jajecznicy, smakowała mu jak nigdy jeszcze w życiu. Towarzysz jadł i śmiał się.

— O! ten poczciwy Starosta, rzekł... ja go bardzo dobrze znam, to mój dobry przyjaciel... zacny, przezacny człowiek...

— Umhu! odparł Joachimek nie chcąc się przyznać iż nie zna go wcale — umhu!

— A znasz asindziej i jego bratową panią Bożeńskę — dodał z kresą — zacna pani!

i córkę ma śliczną... Słyszeliście pewnie co miała za awanturę.

— Umhu! rzekł Joachimek spuszczając głowę do misy i mówiąc sobie w duchu — oho! nie wyciągniesz mnie na paplaninę! wiem co nakazał wujaszek! nie! nie!

— Aż musiała uciekać nieboraczka z córką od tego szaławiły Zbisława Wierzchowskiego...

— Umhu! powtórzył Joachimek...

— To bo niecny urwisz ten Zbisio — począł dalej kresowaty...

— Ale pewnie, ośmielił się wtrącić Joachimek — jakże to, proszę pana, kiedy słyszę z jedną się zaręczył, a z drugą ożenił.

— To jeszcze mało wiesz — mówił dalej kresowaty — to mało — ale co pobałamucił, ile nazwodził...

— A toć by go powiesić bez sądu! zawołał Joachim... bo kobiece łzy o pomstę do Boga wołają.

— To znany przecie na całe Lubelskie, Hrubieszowskie i Podlasie urwipołeć, opowiadał dalej nieznajomy... we dworach, gdzie postał to po sobie pamiątkę zostawił, a znów bali go się nieprzyjąć, bo kto mu się naraził to go nic nie kosztowało na gościńcu napadłszy baty dać, albo mu dwór puścić z dymem.

— Ah! ah! biorąc się za głowę, rzekł Joachimek, niechże go... wezmą!

— O! o! taki to on, taki – mówił podróżny. To też dzięki Opatrzności iż się z jego rąk te jejmoście wyrwały i w tak bezpieczne miejsce schroniły...

Joachimek drgnął, pokraśniał, ale pomyślał sobie. — Oho — ho — zjesz licha, tego ja ci nie powiem...

I jadł.

— W Złotym Opolu — dodał kresowaty, jak u Boga za piecem...

Joachim cofnął się i popatrzał zdumiony.

— No! no! nie będę mówił głośno — rzekł zniżając głos podróżny, wypij no kieliszek jeszcze — po kiełbasie, napijma się — co?

Młodzieniec nie był od tego...

— Głośno o tym mówić nie trzeba, szepnął kresowaty schylając mu się do ucha, złych ludzi pełno wszędzie, a o tym mało kto wie. Ja — to co innego, widzicie, mnie Starosta używa do różnych posług jako przyjaciela... i wiem to od niego.

— Jakkolwiek naiwny Joachimek, który stanowczo wiedział, iż Starosta o schronieniu pani Bożeńskiej nie był zawiadomiony, powziął podejrzenie, czy nie wpadł w nie-

przyjacielskie ręce. Milczał tedy ale głową potrząsał i postanowił łgnąć na próbę.

— Ej! to chyba pan Starosta sam się tak na wiatr domyśla... boć ja to wiem, że Bożeńskich w Opolu nie ma.

— Nie ma! a to gdzieżby były? gdzie? Ciekawość malująca się w twarzy kresowatego, jego natręctwo jeszcze bardziej onieśmieliły Joachimka, który postanowił dokłamywać do ostatka.

— Gdzie? rzekł — przecież pojechały do Warszawy.

Spojrzeli sobie w oczy i zamilkli. Kresowaty miał minę drwiącą, Joachimcio się zmięszał — rozmowa urwała.

— A wy to po co jeździliście z Opola do Starosty? spytał z niechcenia podróżny.

— Mnie, proszę jegomości, wujcio posyłał, bo niewiedzieć co robić — kto rządzi, kto arędę puszcza... czy opieka trwa? czy pani młoda ma odbierać pieniądze, czy stara... czy kto tam.

Ten obrót nadany rozmowie wcale zły nie był, kresowaty się zamyślił i jakby trochę posmutniał; ale po chwili kazał przechrzcie przynieść starego miodu i zaprosił Joachimka, któremu mówiąc po prostu — szpary odeszły.

— Pij bratku — rzekł — tyle naszego,

ty widzę jak ja, jesteś ubogim szlachcicem... Ci możni to się tam waśnią, godzą, całują i jedzą, procesują i jednają a nam zawsze guzy i robota. Jeźdź, tłucz się na kulbace... wysługuj... Oj! temu Zbisiowi Szaławile to bym dał ze sto...

— O! temu by dać! powtórzył Joachim — to szubienicy wart, bez Boga.

— A ta jego... żonka co to niby za niego poszła... taka pieszczotka, milutka, weselutka, i gdzie jemu takie cacko brać, albo się o nie kusić.

Joachimek który był wielbicielem Domci nie mógł się wstrzymać.

— E! panie, zawołał zapominając się — jakem ją oto pozawczoraj zobaczył chodzącą po wałach, to powiadam... Spojrzawszy na kresowatego za język się ukąsił. ale — było dobrze za późno — miód stary obałamucił go.

— A tyżeś ją gdzie pozawczoraj mógł widzieć na wałach, kiedy ona w Warszawie! zawołał śmiejąc się do rozpuku.

Biedny chłopiec spuścił głowę, dopiero teraz postrzegł sam że był do niczego, łzy mu się w oczach zakręciły, odsunął szklankę zwolna i pokłoniwszy się począł z za stołu wydobywać... Chciał już uciec tak mu siebie samego wstyd było.

— Słuchaj chłopcze, odezwał się nieco zmienionym głosem kresowaty, już siedź i miodu dopij... więcej się nie wygadasz nad to.

Poklepał go po ramieniu.

— Bóg zapłać!

Joachim na dobre by był płakał — ale co to pomódz mogło. Szło teraz o to żeby popełniwszy tak srogą niebaczność, prawie zdradę, co najprędzej zbiedz do Opola — bo któż mógł wiedzieć co to był za człowiek, który tak zręcznie umiał za język ciągnąć.

— Nie przeszkadzał też wcale kresowaty panu Joachimowi do odwrotu, a sam miód popijał, jakby już nie interesowany wcale w tej sprawie... ale znać było że się mocno namyślał, ważył coś i rachował, bo na zegarek patrzał co raz.

Potym klasnął w ręce, a chłopak od koni przybiegł.

— Gotowo? — Gotowo panie — Jadły obrok. — Już do ziarna. — Piły... nie bardzo... — Kiełznaj i wywodź.

Zwrócił się potym do Joachimka stojącego w kącie jak na pokucie.

— Jakże aści zwą? zapytał.

— Joachim Sierociński.

— Do zobaczenia Joachimku.

Gwizdnął i wyszedł.

Dopiero zobaczywszy go idącego, chłopak zmiarkował że nie z lada szlachcicem miał do czynienia... ruszył ramionami, nałożył czapkę, postójne zapłacił i rozpytawszy o drogę poleciał do Opola.

W Opolu po odprawieniu Staszka Horwata, który znikł z horyzontu, Domcia trochę się na matkę dąsała, miewała oczki czerwone, nie mówiła czasem przez pół dnia, siedziała w kątku, ale matka nie zważała na to wcale, czule się z nią obchodząc unikała rozmowy o Horwacie... a przypominała tylko niebezpieczeństwo ze strony Zbisława. Jednego poranku powrócił Joachimek, który się dobrze wprawdzie sprawił, nie przywiózł jednak nic, prócz wiadomości że Starosty w domu nie było i nikt nie wiedział gdzie się obracał.

O swej przygodzie w karczmie na gościńcu nie wspominał nikomu, nie zasługiwała bowiem na to żeby się z nią popisywać, a koniec końcem była nie wielkiej wagi. Tak mu się zdawało.

Chrapski był zupełnie uspokojony... Od ostatniej swej wycieczki w której udało mu się złupić kota za zająca, stał się niedowierzającym niebezpieczeństwu. Znudzona siedze-

niem w kordygardzie załoga rozchodziła się powoli po chatach, Chrapski zaglądał na pole... Miał to mocne przekonanie iż nieprzyjaciel wiedząc pewnie o przygotowaniach niepokusi się nawet targnąć na Ogrodzieniec... Pani Bożeńska i Domcia także się znacznie uspokoiły, biednej tylko młodszej pani ciążyła samotność i niepewność jej losu. — A tu od stryja nie było ani wieści ani słychu.

Nie ośmielały się wszakże kobiety wychodzić za obręb zamkowy, tak ich straszył Zbisław... jeszcze. — Powoli wszakże i ta obawa przechodzić zaczynała.

Chrapski znudzony mówił sobie że ludzi tak darmo trzymać długo, wielką jest stratą, że Bóg wie wiele piwa wypiją i kwaśnych ogórków zjedzą; czemu pani Osowiecka potakiwała.

— Bo to pani nie uwierzy, mówiła — co to to zjada gdy próżnuje. U siebie w domu lada czym się obejdą, ale we dworze dawaj a dawaj — bez przestanku, nigdy nastarczyć, sera, ogórków, kapusty, co najedli — to strach.

Pani Bożeńska nie odpowiadała na to nic, a dnie za dniami płynęły. Domci zaczynało być bardzo smutno, karmiła z desperacyi wróble, które się tłumami zlatywały pod jej okna, ale z wróbli mała pociecha.

Jednego dnia, było jakoś z południa na zamku się przygotowywano do obiadu, stół był nakryty, gdy Joachimek czerwony cały nadbiegł od lasu... wprost do kordygardy.

W izbie spał jeden tylko z leśników, nie było nikogo, arkabuzy i muszkiety wisiały na kołkach, wuj Chrapski oddalił się na folwark.

— Na rany Chrystusowe — zakrzyknął Joachim, do broni! Wrota zamykać... gdzie ludzie! Nieprzyjaciel ciągnie, sam go widziałem... Szczęściem on mnie nie dostrzegł... i pośpieszyłem.

Zbudzony leśniczy wyleciał rozespany i ledwie z pomocą Joachima i stajennych ludzi zwołanych na prędce zdołali ciężkie wrota zatrzasnąć. Ale jak tu było ludzi resztę i wujaszka zwołać!!

Joachimowi na ten raz szczęśliwa myśl przyszła, pobiegł do kaplicy, dorwał się dzwonka i począł na gwałt bić. — Pierwszym skutkiem tego dzwonienia było, że wszyscy mieszkańcy zamku powybiegali w dziedziniec, stara Osowiecka w czepku z rozpuszczonemi końcami, czerwona od ognia, z patelnią na której skwarzył się naleśnik, służba jak kto stał, pani stara, pani młoda, dziewczęta. Wszyscy wołali: — Co się dzieje! ogień!!

Joachimek dzwonił. Pobiegli do niego... Co to jest?

— Wojsko ciągnie na zamek, a tu żywej duszy niema!!

Wojska wszakże wcale nie było widać jeszcze, ale ze wsi słysząc dzwon biegło co żyło ku zamkowi. Chrapski bez czapki, ocierając wąsy, na czele...

W tej samej chwili z lasu w istocie ukazał się wytykający właśnie konny oddział z kilkudziesięciu ludzi złożony... ale jechał sobie wolno... Znać było zbieraną szlachecką drużynę... ludzi i koni wszelkiego kalibru... ale wesołych bo i szkapy skakały i panowie czapkami w górę podrzucali.

Kilkudziesięciu ludzi dopadło zamku, Chrapski furtą się dostał i aż mu w oczach pojaśniało z radości, że się nareszcie nieprzyjaciela doczekał...

Wrota zatarasowano, furty pozaciągano drągami, broń poczęto nabijać... P. Bożeńska z córką stanęły w oknie pierwszego piętra i z bijącym sercem patrzyły. Orszak zbliżał się powoli ku zamczyskowi z taką fantazyą jakby miał tylko huknąć aby mu bramy otwarto... Chrapski stał w bocznej baszcie przy bramie w strzelnicy i przyglądał się co to będzie...

Coraz lepiej widać ich było i rozpoznać było można: Joachimek, który jak niegdyś gęsi Rzym ocalił Ogrodzieniec, poznawał już na czele ufca owego z czerwoną kresą przez łeb z którym jadł jajecznicę, ale do tej znajomości wcale się nie myślał przyznawać..... Zdawał się im dowodzić wszystkim a minę miał wesołą jakby na gody jechał. Za nim czereda brzuchatych, chudych różnego wieku ichmościów i ze trzydziestu ludzi nadwornych księżnej Podkanclerzynej, których po barwie jednostajnej poznać było łatwo. Lud był zbrojny we flinty i pałasze...

Podjechali tak pod bramę, a znalazłszy ją zamkniętą... pan Zbisław podniósł głowę, rękę do ust przyłożył i huknął.

— Sam tu! bywaj!

Powtórzył to raz i drugi, naostatek kazał pachołkowi w furtę uderzyć raz i drugi. Chrapski się właśnie namyślał jeszcze co począć miał...

— Ha, no, juściż mu wyjdę, nie zlęknę go się, nie strzelą przecież nie zapowiedziawszy czego chcą.

Jeszcze w furtę stukano gdy dowódzca załogi powoli wydobył się z ciasnych drzwi górnego piętra wieży i zawołał stając na gzemsie, bo już dawnego wyskoku muru nie było.

— A czego panowie chcecie? co to jest?

— Cóż to to u was pozamykano jak czasu wojny? ozwał się Zbisław — czy to się Turka boicie czy co?

— Znać nie darmośmy się bali, kiedy oto najazd...

— Jaki najazd! co się asanu śni! Pan młody przyjeżdża w orszaku poczestnym przyjaciół po żonę, otwierajcie wrota...

Chrapski dyplomata ostróżny nie odpowiedział nic, żeby się nie kompromitować... i znikł. Że zameczek był nie wielki podniesiony głos Zbisława wśród ciszy doszedł pani Bożeńskiej.

— Co ja mu tu mam odpowiedzieć? spytał nadbiegając cały w potach Chrapski...

— Powiedz mu... a! miły Boże, zawołała płacząc matka, mów mu co chcesz... ja niewiem...

— Powiedz mu — przerwała gwałtownie Domcia cała czerwona z gniewu, że tu żony jego niema... że ja o nim wiedzieć niechcę... i że jeśli na zamek następować się waży... no, to bronić się będziemy...

Chrapski usłyszawszy dyspozycyą powrócił nazad i ukazał się oknem z nad wrót.

— No — czy jeszcze dłużej każecie nam czekać na odpowiedź? zapytał Zbisław...

— Mamy odpowiedź tę tylko — zawołał Chrapski, że — że... zamku nie otworzym, a w razie gwałtu... będziemy się bronili...

Na te słowa cały orszak jak stał homerycznym śmiechem wybuchnął, a było w tym śmiechu coś tak straszliwego, że ci których doszedł uszów pobledli i zadrżeli.

— Dobrze — rzekł Zbisław — ale pamiętajcież, jeśli zamek szturmem czy kunsztem weźmiemy... zachowamy się jak w zdobytej twierdzy... dowódzcę powiesim, piwnicę wypijem, a żadnej niewieście przepuszczono nie będzie!

Na te słowa znowu śmiech...

— Ponieważ wojna wypowiedziana, dodał dowódzca — za tym nim się kroki nieprzyjacielskie rozpoczną... daję wam frysztu godzin sześć do namysłu... byście się poddali... a potym... zobaczymy... Tymczasem kontrybucyą szwedzką na wieś i arędę nałożę...

Chrapski zamilkł — nie było co odpowiadać. Szlachta pozsiadała z koni, jedni się poprowadzili do karczmy, inni położyli u wrót obozem... Cisza nastąpiła na zamku...

Domci twarz się z gniewu paliła...

— Chcą mnie gwałtem wziąć! mnie! zobaczymy! Jeśli się nie oprzemy... no! to mnie żywą nie zabiorą...

Matka łamiąc ręce płakała, a poczciwy Chrapski z adjutantem swym Joachimem naradzali się nad zamku obroną. Prawdę rzekłszy prochu był jeden worek nie wielki... i na długo starczyć nie mógł... W inne zapasy zamek był zaopatrzony tak że nie jedząc szczurów, można się w nim było z biedy tydzień utrzymać, rezygnując ostatnich dni na żywienie powidłami...

Chrapski obliczył swoje siły i nieprzyjacielskie, ostatnie były przeważającemi, ale któż nie wie że w dziesięciu można się w fortecy stu obronić. Gorszym to uważał iż tamto byli szlachta do wojskowego rzemiosła sposobni a pod jego komendą leśnicy i chłopi... nie bardzo umiejący się obchodzić z bronią... Ale ufał geniuszowi swemu i gnieździe.

Już nad wieczór stara Osowiecka przywlekła się po cichu do płaczącej pani Bożeńskiej.

W podobnym położeniu ludzie się najprędzej poufale ku sobie zbliżają... Stara klucznica nachyliła się ku pani.

— Niechaj no moja dobrodziejka nie płacze — rzekła cicho — a i panienka także... Chrapski tam się odgraża, ale ja jemu nie ufam, zależał pole...

— A więc cóż my poczniemy? zawołała Bożeńska...

— My sobie może po babsku radę damy, poczęła szeptać Osowiecka...

— Jak? w jaki sposób...

— Możem ja głupia ale niechno pani mnie posłucha — odezwała się staruszka. Ja tu już tyle czasu na zamku mieszkam że chociażem się tu nie rodziła, ale go znam na palcach... Tu z loszku od rzeki jest stara wycieczka.... która wprost na sam brzeg prowadzi. Ci ichmoście ani pomyślą od rzeki się dobywać i pilnować. Otóż ja sobie myślę, gdyby jednego poczciwego człowieka nocą tędy puścić do rybaków żeby pod zamek cicho związawszy czołen parę podpłynęli... panie by się wymknęły cichuteńko na rzekę i popłynęły by do Lublina... a ich by tu Chrapski jeszcze potrzymał jakiś czas... to by im po tym choć i otworzyć... co oni nam zrobią... Jeść już nic nie będzie... bo ta hałastra wszystko spożyje... a zresztą!!

Machnęła ręką...

Jeśli komu to Domci ta myśl tak się podobała iż skoczyła na szyję pani Osowieckiej i mało jej nie udusiła... Wykradać się lochem z zamku po nocy... potym puszczać na fale... awanturować... potym znienawidzonego

napastnika tak przedziwnie puścić z kwitkiem... a! coby to była za rozkosz!

— Ale sza! cicho! szepnęła klucznica która z Chrapskim była od dawna w emulacyi, ani słowa nikomu... ani Chrapskiemu, ani temu żółtodziobowi Joachimkowi, oni wszystko popsują, ja sama ludzi dobiorę i przygotuję i zrobię — i będzie dobrze...

Do wieczora nie było nowej na zamek napaści, ale snuło się mnóstwo ludzi oglądając do koła i szukając, ktorędy by się najłatwiej wcisnąć mogli. — Chrapski podwajając pilności, szczęśliwy, zajęty, wydawał rozkazy, latał, łajał, komenderował i w myśli już zwyciężał nieprzyjaciela; który bardzo zwolna i bezpiecznie sobie poczynał jak gdyby mu nic w świecie nie groziło.

Słońce już zachodziło, gdy według rachuby p. Zbisława czas zostawiony do namysłu oblężonym upłynął, i pan młody podszedł pod bramę...

Zastukano do furty.

— Niech tam kto wyjdzie! zawołał.

Chrapski twarz wąsatą wysadził z za okna, którego zasuwę warowną z wielką trudnością odryglowano. Pokłonili się sobie.

— Czołem! — Czołem.

— A cóż! czyście się też namyślili? za-

pytał Zbisław wąsa kręcąc, bo to tu żartów niema, ja się odprawić z niczem nie dam i żonę dostać muszę, bo do niej prawo mam... Zdajecie się na łaskę...

— Za pozwoleniem, odparł Chrapski — my tę sprawę rozumiemy coś inaczej. Kto żonę ma oporną, idzie do konsystorza o nią, do prawa nie do szabli, a kto napastuje czasu powszechnego pokoju ludzi chrześciańskich, tego napaść odpiera jak kto może. Co my też z pomocą Bożą uczyniemy.

— Namyślcie się...

— Myśmy się namyślili... niema co gadać... szmigownice ponabijane...

Zbisław się rozśmiał...

— To mi gracz!... Za tym wojna?

— My jej pierwsi nie rozpoczniemy... rzekł Chrapski zabierając się okno zasuwać.

— Czekaj asindziej, odezwał się Zbisław, poproś na słowo żony mojej, juściż się jej nic nie stanie, ani ją oczyma urzekę gdy przyjdzie pomówić tu ze mną...

— Hm... poczekajcie... rzekł Chrapski i zamyślony powlókł się do zamku.

Dwie nasze panie siedziały czyniąc jakby jakieś przygotowania do podróży w głębi pokojów. Sama pani Bożeńska popłakiwała. Wszedł Chrapski i pokłonił się.

— No — cóż, co ci napastnicy myślą? zawołała matka.

— Zwyczajnie jak napastnicy... zabierają się do szturmu, ale ten co dowodzi chce koniecznie wprzódy pomówić z młodą panią przez okno u furty. Czy mu to dopuścić?

Domcia się zerwała...

— Niech nie myśli że ja się go boję... moja mamciu, pozwól, jućciż mi się nic nie stanie...

— Ale nic, furta mocna, rzekł Chrapski... tylko po co z niemi gadać... ja bym dał ognia... i...

— Moja mameczko pozwól! ja pójdę! zobaczysz, ja go zawstydzę... on nie będzie śmiał...

— Rób co chcesz — ja głowę tracę, odparła w krzesło się rzucając pani Bożeńska. Domcia tylko umiała matkę w rękę pocałować i wybiegła. Chrapski ledwie mógł za nią podążyć do wrót... Ale trzeba było stołka przystawić aby mała dzieweczka mogła do okna dostać.

Gdy jej główka zarumieniona i gniewna pokazała się w okienku, Zbisław rozpromieniony cały poskoczył ku niemu, czapkę zdjął i na twarzy jego taki zapał się odmalował, takie szczęście iż nawet gniewna Domcia do-

znała od niego wrażenia, którego sama zrozumieć nie mogła. Żal się jej zrobiło tego szaleńca...

— Czego pan chcesz odemnie? zapytała po chwili przychodząc do siebie — co pan czynisz?

— A! moja Domciu najdroższa, zawołał ręce składając na piersi Zbisław — bo mam już prawo nazywać cię tym imieniem, ja to mógłbym was spytać co czynicie ze mną? i czy się godzi tak postępować? Jeśli my mężem i żoną, połączonemi w obliczu Boga — nic nas rozerwać nie może... I że się podobało szalonemu starcowi pleść baje przed kościołem...

— Słuchaj waćpan — przerwała Domcia, ja nigdy was nie chciałam, poszłam do ołtarza dla dogodzenia woli stryja i w tej nadziei że to co się stało po ślubie, ten protest przyjdzie przed ślubem. Ja waćpana nie kocham... niechcę i nie będę jego żoną. — Czy tego mu nie dość?

— Byłoby aż nadto, rzekł Zbisław, gdybym ja tej niewdzięcznej Domci na zabój nie kochał i nie był przekonanym że moją miłością jej wstręt przezwyciężę...

— Nigdy w świecie — rzekła Domcia —

a to piękna miłość co gotowa zabijać aby się jej zadość stało? —

— Tak, moja pani a dobrodziejko — będziemy zabijali, szturmowali, krew się lać będzie... a ja was zdobędę...

Domcia popatrzała nań, zaczynało zmierzchać... zadumała się... uśmiechnęła figlarnie...

— A gdybym ja pana o co prosiła?

— O wszystko, prócz żebym się zrzekł mych praw do niej...

— Wszak waćpan masz już zamek w swej mocy i otoczyłeś go cały?

Zbisław uśmiechnął się.

— Zdaje mi się.

— No, to kroki nieprzyjacielskie odłożyć możesz... do jutra.

— Gdybym nie chciał to muszę... rzekł Zbisław, po nocy niema co tu robić... ale uprzedzam panie, że straże pilnie czuwać będą, i nikomu ani nawet kobiecie, ani starcowi... wymknąć się nie dadzą...

— Więc do jutra! zawołała Domcia z uśmieszkiem...

— Do jutra! ale o szóstej rano przypuszczamy szturm...

Główka Domci znikła z okienka. Zbisław został sam zamyślony. Żubr przystąpił do niego.

— Co to ma znaczyć, to do jutra? zapytał.

— Namyślą się i — poddadzą — roześmiał się Zbiś.

— Oj! nie — kobiecina uparta! w tym coś jest — odparł Żubr, one zamek znają, noc nadejdzie, wyślizną się nam — zobaczysz.

— Którędy? juściż skrzydeł nie mają, a chyba by ulecieć musiały. Zamek osaczony do koluteńka... od tyłu rzeka, mury, i częstokoły, ludzie będą chodzić całą noc — to nie może być.

— Zapewne że to trudna, rzekł Żubr, ale Zbisiu... ty bab nie znasz — jeśli ona ciebie nie chce, to jeszcze nic, ale jeśli na swoim myśli postawić, znajdzie sobie myszą dziurę jaką i ucieczc...

Zbisław głową potrząsł.

— Panie Zygmuncie Tomaszewski — zawołał — waćpan masz kierować oblężeniem, boś się tego podjął... każże całą noc stosy ognia porozpalać i utrzymywać na wałach, aby było widno jak we dnie... a straże się mieniać mają bez ustanku i czuwać jak najpilniej.

— Jak pana Boga kocham — trzymając się za żołądek krzyknął Barański — trzeba pęknąć ze śmiechu patrząc na to i słuchając

tego... toż to komedya najprzedziwniejsza i to oblężenie i ta obrona i nasze wojsko i ich załoga... Człowiek na starość gdy o tym zechce opowiadać, to mu wnuki wierzyć nie będą. — A no — bawcie się kiedy wam ochota przyszła... bawcie się.

Zbisław rozśmiał się też ramionami ruszając.

— Cicho byś był — rzekł — trzeba na seryo brać te rzeczy, bo inaczej wyjdziemy z konfuzyą.

Gdy się tu śmieją i gadają przed bramą, w kapliczce zamkowej zaczęto dzwonić na anioł pański... rycerze pozdejmowali czapki, poprzyklękali i w cichości odmówili modlitwę... Jak często w życiu obok prawie komicznej sceny wypadł epizod rzewny i poważny, który na chwilę w sercach zrodził uczucia odwodzące od miejsca tego i wypadku. — Zbisław także z mówił anioł pański i westchnął za umarłych, ale nakrywszy głowę już komenderował, aby ognie nanicano.

Tak samo Chrapski też gotował się wewnątrz do największej czujności biorąc sprawę bardzo seryo...

— O! rzekł zacierając czuprynę, jeżeli myślą że mnie tak wezmą gołą ręką na gnie-

biła że zyskała przewłokę, jest czas się opatrzyć, nagotować i rozmyśleć...

Ludzie od załogi przez wszystkie szczeliny i okna przypatrywali się szlachcie uwijającej około zamku i zabierającej ognie rozkładać.

— A broń Boże wiatru cokolwiek — rzekł ktoś, dachy suche, deszczu nie było dawno, my tu od tych ogni wszyscy z dymem pójdziemy...

Szczęściem stosy ponakładano zdala. Chrapski który chciał się jeszcze widzieć ze starszą panią dla zasięgnięcia jej rady, bo myślał nocą bodaj uczynić wycieczkę, uważając zawarty rozejm za nieważny — nie mógł u niej otrzymać posłuchania. Osowiecka tylko przyszła mu oznajmić że panie przelękłe i chore potrzebują spoczynku, żeby sobie robił co chciał a im nie dokuczał. Nie śmiał wziąć na siebie dowódzca wystąpienia tak śmiałego i dał pokój wycieczce.

Tymczasem za drzwiami które dlań były zamknięte, gotowała się pilno i spiesznie ucieczka którą w największym sekrecie przysposabiała stara Klucznica. Miała ona między służbą swoich zwolenników wielkich... jeden z nich wymknąć się potrafił przelazłszy przez mur gdzie był obrosły krzakami i poszedł

rybakom nakazać aby jak mrok z czołnami przybywali pod sam zamek... Na znak że wszystko się stanie wedle rozkazu we wsi mieli wywiesić na tyczce płachtę białą pod znaną gruszą Maciejową. Już zmierzchało gdy owę bieliznę dopatrzyła pierwsza Domcia i klasnęła w ręce. Ale zaledwie zmierzchać zaczęło ze wszech stron dokoła zamku pozapalano ognie i zrobiło się tak jasno że nie tylko łódź podpływającą, ale by pluskające się ryby dojrzeć było można na rzece... Nie zmięszało to wszakże Osowieckiej, która zażywając tabakę zawyrokowała że oni tych ogni tak długo nie utrzymają, że się pośpią i uciec będzie można... Czekano tedy...

Z wierzchołka narożnej baszty widzieć było jak dwa czołna pana Piotra odbiły od brzegu i puściły się wprost ku zamkowi... Sam pan Piotr był przy rudlu i niby dla połowu krążyć począł na tyłach zamkowych ciągle się zwolna ku brzegowi zbliżając. Straży z tej strony nie było blisko, skupiły się wszystkie przy ogniach, z przodu zamku i po bokach nie pilnując się od Wieprza. Ognia nawet nie było zanieconego tutaj i mrok okrywał szczęściem całą połać od rzeki.

Jak przepowiedziała pani Osowiecka tak się stało, przed północą już powoli stosy się

dopalać zaczęły i ciemniało do koła. Tu i owdzie ktoś gałąź dorzucił, błysło i znowu gruby mrok następował

Nadchodziła chwila stanowcza... Pokoje pozamykano na klucz, pani Osowiecka ze stoczkiem, starsza pani i Domcia puściły się w największym milczeniu schodkami na dół i kurytarzem ku piwnicom. Oprócz trzech kobiet nie było nikogo... Ale klucznica była odważna i znała doskonale lochy... Z nich drzwi żelazem kute otworzywszy weszły po cichuteńku do szyi długiej, zimnej i wilgotnej, którą kawałek jeszcze przeciskać się było trzeba do schodków kamiennych wiodących ku drzwiom wycieczki. — Te stare były, od bardzo dawna nie otwierane i choć klucz zamkowi podołał, dwom drągom kutym wsuniętym dla bezpieczeństwa w mur nie mogły podołać kobiety. Ledwie z największą w świecie trudnością zdołały jeden wysunąć który z łoskotem padł na ziemię, gdy na odgłos ten za furtą poczęto wołać.

— Czujność! baczność! do broni! panowie... Tu się coś dzieje... Hej...

Wrzawa się wszczęła okrutna... Chociaż drzwi były grube i mocne, i o wyłamanie ich obawy mieć nie mogły... co prędzej pośpieszyły na powrót drąg założyć... P. Bożeńska

struchlała, Domcia przeciwnie rozognioną była i gniewną. Umilkły przysłuchując się. Z drugiej strony wrzawa się wszczęła... nawoływano się.

— Co to tam! — Hej! do mnie...

Słychać było szelest kroków, narady...

— Ale powiadam ci... słyszałem stukot podziemny, brzęk jakby co okutego padało...

— Zdało ci się! — gdzież?

— Tu musi być jakieś wyjście... Asindziej wiesz że po zamkach zawsze na rzekę bywały tajne furty do wycieczek...

— Ale co ci się śni? no gdzież?

— Ba! krzaczysko zarosłe...

— Mur i mur, nie ma nic!

— Juści mi się tędy nie wymkną...

— Ale — ale! rzekł inny głos — patrzajno asindziej, tam czołna krążą na rzece, po nocy? to nie bez kozery..

Co? z ogniem i ością na ryby wyjechały? A czemuż ognia nie mają? Ja coś podejrzywam...

— No — to postawić straż i zapalić tu ognia... rzekł drugi wyżej znać stojący...

— Strzeżonego pan Bóg strzeże...

Wszystkie te głosy słyszały kobiety i Osowieckiej łzy się potoczyły z oczów. Projekt

był tak ślicznie osnuty, a tu o wykonaniu go ani pomyśleć już można...

Jeszcze stały u drzwi drżące, gdy zaszeleściało w pobliżu, potym jakby co zsunęło się lub padło tuż u furty i ktoś całą siłą uderzył w nię aż jękła i zatrzęsła się — kobiety mimowolnie odskoczyły, a szczęściem jakimś wstrzymały się od krzyku... Po raz drugi i trzeci uderzono jeszcze w drewniane drzwi.

— Chodźcie no tu! hej! hej! ot wycieczka... tu coś stuknęło... może myśleli uchodzić...

— Patrzcie go! dowąchał się...

— Dobrze o tym wiedzieć na jutro, niepotrzeba i szturmu przypuszczać, tylko do dnia drzwi wywalić i wkraść się do zamku...

Spłoszone kobiety poczęły uchodzić po cichu... Osowiecka zanosiła się od płaczu — wszystek jej plan przepadł. Należało co najprędzej uwiadomić Chrapskiego aby kamieniami i ziemią w czas wycieczkę i furtę zasypać kazał...

Smutny był powrót pani Bożeńskiej a Domcia gniewna z suchemi oczyma, milcząca wbiegła na górę... Zasnąć nie mogły, dopiero nadedniem, ale zmęczone wreście, jak stały pokładły się i ciężki sen powieki przymknął.

Chrapski tymczasem loszek z ludźmi zawalał i zupełnie do rana ubezpieczył się z tej strony...

Nazajutrz jak dzień chciał chłopak zadzwonić wedle obyczaju na ranną modlitwę, ale żeby licha nie budzić dano pokój. W istocie oblegający którzy całą noc pili i grali przy ogniach nad brzaskiem pospali się, gdzie kto był, pokładszy na ziemi. Dopiero pierwsze blaski słoneczne zbudziły rycerzy i gwar w obozie powstał wielki około śniadania.

W zamku było cicho...

Już słońce dobrze podeszło gdy pan Zbisław znów przed bramą się zjawił z pytaniem. Chrapski mu przyniósł odpowiedź od młodej pani że się poddać nie myślą i żeby. jeśli chce być cały — ruszał z Bogiem...

Zbisław w chwili gdy mu tu podano przez okno z za zasuwy, stał otoczony swoim dworem; Żubr, Barański i Tomaszewski z Dygowskim towarzyszyli mu.

— No — co tu począć! rzekł ruszając ramionami.

— Ja podam radę wyczytaną w starych książkach — zawołał Barański, najprostsza rzecz w świecie, stoimy pod bramą, ognia podłożyć pod nią... Gdy padnie, wejdziemy łatwo, uprzątnąwszy hałastrę.

Rada się podobała bardzo, ale Chrapski ukryty za zasuwą dosłyszał ją i poszedł po rozum do głowy.

— Dzieci! krzyknął, beczki z wodą na górę... Kamieni jest tam dość, bo posadzka z płyt i cegły.

Gdy z jednej strony śmiejąc się poczęto nosić gałęzie, skałki, siano, słomę i wszelkie drzewo pod wrota, Chrapski drapał się na górę ku ich obronie. Nie było co czekać długo, pierwszy transport palnego materyału powitano gradem kamieni. Ludzie pierzchnęli zrazu dużo połapawszy guzów. Tomaszewski jął się flinty, ale nie było do kogo strzelać, ludzie się kryli za murem. Mimo niepociesznego położenia pan Zbisław począł się śmiać zobaczywszy łapiących się za karki i krwawe nosy. Jednego nawet niebezpiecznie przytłukło. Co się który podwinął do bramy, ciskano nań gradem gruzu i cegieł.

Barański szepnął — niech nie przestają to będzie dywersya.

I odprowadził na bok Zbisława.

— Dobrze jest — rzekł — tu swoją drogą robota niech idzie, my co innego poczniemy. Na wieś po drabiny posłać i od tyłu mury których nikt nie broni przeleźć łatwo... ale cicho. U wrót się wszystko skupi bo im się

zda że tu cała nasza mądrość, a my cichaczem bez wystrzału się dostaniemy do środka.

Wybieg ten Barańskiego bardzo dobrze obmyślony, tym łatwiej mógł się powieść że w istocie Chrapski miał już za mało ludzi do obsadzenia całego murów obwodu...

Gdy więc tu uwaga wszystkich zwróconą była na wrota i wysilona ku ich obronie... tymczasem już niesiono drabiny i sam pan Zbisław z Żubrem i Dygoskim obrosłą krzakami częścią kurtyny poczynali się dobywać niepostrzeżeni na zamek...

Chrapski w poczuciu swojego tryumfu śmiało się stawił i na wzór bohatyrów Iliady rzucał drwinkami i połajaniami na wrogów. Żołnierze jego śmieli się z oblegających biorąc za boki, a o kilkaset kroków dalej z między bzów i leszczyny Zbisław, Barański, Żubr, Tomaszewski, Dygowski, zostawiwszy tylko Zabrzeskiego u wrót, najspokojniej w świecie, bez żadnej przeszkody wsunęli się w podwórzec. Mur z tej strony wcale nie był wysoki, dostawszy się na wierzch przeskakiwali równemi nogami, każdy z nich poprawił żupana, z pyłu się otrząsł i stanęli rozpatrywać się. W tej części dziedzińca było puściuteńko. Barański instynktem wiedziony podjął się prowadzić i bramką ciemną wywiódł ku główne-

mu gankowi. Ztąd mieli zabawny widok ludzi mrowiących się około bramy i wysilających się na obronę. Zbisław uśmiechnął się, i oni za boki trzymali. Tak bez przeszkody dostali się do sieni, na wschody i na piętro. W pierwszych pokojach nie było nikogo. Zbisław postępował dalej, na ostatek za jednemi drzwiami usłyszał szczebiotanie Domci i otworzył je.

Razem dwa głębokie krzyki rozległy się po pustych komnatach...

Nie zmięszany niemi Zbisław kłaniając się grzecznie wszedł, a za nim ciekawa drużyna... P. Bożeńska porwawszy się z krzesła stała blada i drząca, na twarzy Domci widać było zdziwienie, gniew, oburzenie i łzy bezsilnego już buntu.

— Otóż widzi pani, ozwał się Zbiś kłaniając się matce, że pan Bóg ludziom do odzyskania ich praw pomaga. Aniście się panie nas tu spodziewały... U bramy jeszcze się ucierają a my już tu...

To mówiąc z wyciągnioną ręką chciał się przybliżyć do żony, ale ta cofnęła się prędko i zawołała pokazując mu staroświecki nóż w srebrnej pochwie, który zatknęła sobie za pas...

— Ani kroku dalej... na najmniejszą próbę gwałtu... odpowiem tym...

Mężczyzni zaczęli się uśmiechać.

— Niech panowie nie myślą żebym na nich porywać się miała — wiem że rękę mam słabą, ale sobie piersi przebić potrafię...

Zbisław cofnął się na krok.

— Niech Domcia będzie spokojną, odpowiedział poufale i żartobliwie — ja o żadnym kroku któryby aż do naśladowania Lukrecyi mógł być powodem, nie myślę. Szanuję nadto wolą kobiety bym się jej przeciwił... Ale bądź co bądź jesteś pani moją żoną i pojedziesz ze mną albo do Żmurek lub do Wierzchówki... pozwalam wybierać.

Czy pani zemną zechcesz żyć jak żona czy jak nieprzyjaciel... a! to od jej woli i postanowienia zależy... ale jechać trzeba... boś pani żoną a ja mężem, i ja w oczach świata śmiesznością się okryć nie mogę... odwrócił się do matki.

— Niechże pani raczy Domci wytłumaczyć że tu opór się na nic nie zdał... Jeśli potym rozwodu zażąda ze mną... wola jej — ja się sprzeciwić nie myślę, tylko na to nie pozwolę aby ludzie drwili żem się ożenił i żony mi nie dano... Nie — nie! z tego nic nie będzie! Jeśli się pani nie podoba siąść samej do powozu... my ją leciuteńko do niego zaniesiemy, siądzie z nami służąca... Dokąd pa-

ni sobie życzy jechać do Żmurek czy do Wierzchówki? widzi pani żem grzeczny i powolny, choć uchodzę za gwałtownika i gbura?

Po tej rozmowie głuche zapanowało milczenie, matka stała z rękami załamanemi, nie wiedząc co mówić, co począć — córka oczyma zdawała się wyzywać Zbisława do walki, który nie zlęknione stawił czoło temu wzrokowi strasznemu groźbami.

— Panie Zbisławie — zaczęła wreście matka drżącym głosem — czyż się to tak godzi? czyż tym sposobem dobija się miłości kobiety...

— Pani dobrodziejko — rzekł Zbisław, tu nie idzie o miłość ale o honor mój. Jeśli Domcia mnie kochać nie chce czy nie może, a woli białokurego amanta który jej obronić nie umiał — wolna wola! nie tamuję drogi, nie dobijam się serca... ale żonę której u ołtarza przysiągłem i która mi przysięgła mieć muszę. Czy my się potym złączymy czy rozejdziemy... a! to już panu Bogu wiadomo... Tym czasem niech mnie Tatar sądzi, czy ja prawa nie mam??

I było milczenie bez odpowiedzi długo. Domcia zdawała się namyślać.

— Moje dziecko — szepnęła błagająca matka do niej.

— Panie Zbisławie, zawołała nagle Domcia — dajesz mi pan słowo... że... że mnie i moję wolą poszanujesz??

— Najdroższa Domciu, odparł uderzając się w piersi Zbisław — na to nie trzeba słowa, każdy uczciwy człowiek poczciwą kobietę szanuje, inaczej byłby barbarzyńcą. Uczynisz pani z sobą co sama postanowisz, ale jechać ze mną trzeba...

— Dobrze! do Żmurek! zawołała Domcia.

— Do Żmurek! zgoda...

— Słowo szlacheckie...

— Najuroczystsze przy świadkach! Ale po obiedzie pojedziemy do Żmurek we troje z panną służącą... i moi przyjaciele za mną. boć przecie wesele odłożone odbyć się musi, a my się z trzewiczka napijemy!

Towarzysze zaczęli klaskać w dłonie z wielkiej radości, Domcia rzuciła się w objęcia matki...

— Zatym mam słowo, daj rękę Domciu, rzekł Zbisław... poproś mamy o przekąskę dla nas. a my pójdziemy tej śmiesznej wojnie koniec położyć...

Domcia zawahała się chwilę... odwróciła oczy i końce palców podała, Zbisław pocałował je w chwili gdy mu wyrywała, zakręcili się i wyszli.

Ledwie byli za progiem. dziewczę z twarzą zaognioną wyrwało się z objęć matki.

— Mamo, zawołała — przysięgam — nie!

— Nie przysięgaj moje dziecko.

— Nie będę żoną tego człowieka... Ale pojechać muszę... użył siły... szanuję twój spokój... pojadę aby rozpocząć rozwód... Stryj mi dopomódz musi. użyję wszelkich środków.

To mówiąc rozpłakała się biedna... Zbisław z przyjaciołmi tryumfująco przeszedł pokoje, wschody, a że wszyscy ludzie zajęci byli około bramy, mógł niepostrzeżony dostać się z tyłu do wrót. Tu taki panował zamęt, że wśród ciżby niepostrzeżono obcych nawet, nie spodziewając się ich z tej strony, przeciskając się przez ludzi w ciemnych wschodach, dostali się na górę... Chrapski wyglądał strzelnicą czerwony ale tryumfujący, gdy Zbiś klapnął go po ramieniu. Dowódzca odwrócił się, wpatrzył, postrzegł obce twarze niedawno widziane pod murem i osłupiał. Usta otwarte nie wydały dźwięku.

— Dość że już tej komedyi, panie dowódzco — rzekł Zbiś śmiejąc się, myśmy się już porozumieli z moją żoną i po śniadaniu czy obiedzie razem jedziemy do Żmurek, nie zawalajcie nam drogi.. bo przejechać potym nie będzie można.

Śmiech towarzyszów Zbisława i te wyrazy jego, odjęły Chrapskiemu przytomność prawie... patrzał i milczał. Zbisław oknem się wychylił ku swoim zwijającym się pod bramą.

— Wiara! dosyć tego! zamek zdobyty bez wystrzału! Wiwat!!

— Wiwat!! wiwat! rozległo się wśród oblegających...

— Otwierać wrota i zgoda!

Tak się skończył ten epizod zakrawający na daleko krwawsze rozwiązanie... dobrowolnym odryglowaniem wrót zwycięzcom i szturmem przypuszczonym do zamkowych beczek piwa, ogórków, kapusty... P. Osowiecka spłakana wraz z kredencerzem nakrywała do stołu, u którego honoratiores zasięść mieli.

Obiad ten odbył się wśród uroczystego kobiet milczenia... w którym zaprawdę było coś tak groźnego i strasznego, że w końcu i mężczyzni wpływowi tego smutku ulegli.

Gdy przyszło do pożegnania Domcia rzuciła się matce na szyję łkając konwulsyjnie... biedna p. Bożeńska omdlała na pół...

Zbisław wyczekawszy podał grzecznie rękę żonie i nic nie mówiąc poprowadził ją do powozu. Siedli do niego z panną służącą... a kawalkata z szlachty złożona najmniej z

dwudziestu koni otoczyła landarę. mając jej towarzyszyć do Żmurek.

Chrapski i cała załoga z nosami pozwieszanemi, smutni, zawstydzeni przeprowadzili oczyma oddalający się powóz. Osowiecka w ganku płakała rzewnie. Joachimek z załamanemi rękami kiwał tylko głową. To djabli nie ludzie, rzekł w końcu do wuja — tak, to djabli.

— Cicho... cicho... i dość — odparł Chrapski — jutro trzeba do siana kto żyw... i o tym nie myśleć...

Pan młody milczał przez całą drogę, pani młoda odsunąwszy się w kątek drugi powozu i zagarnąwszy sukienkę aby się o niego nie otarła. patrzała w okno przeciwne i panna służąca z kolei spoglądała to oknem, to na panią, to na tego straszliwego Zbisia z kresą przez łeb czerwoną, która z pod czapki niedbale na ucho zarzuconej wyglądała. Kiedy niekiedy z okrążających powóz przyjaciół mignął który u drzwiczek pasując się z koniem lub chcąc do Zbisława przemówić. Ten wychylał się, uśmiechał, zagadał i znowu następowała uroczysta cisza.

W drodze potrzeba było konie popaść już

pod wieczór, ale Domcia z powozu wysiąść nie chciała. Panna służąca została z nią, Zbisław poszedł do towarzyszów trochę się pośmiać, wypić i pogwarzyć. Był, mimo przykrego położenia w wyśmienitym humorze, a Żmurki uważał już za swoję własność prawie. Dla tego z popasu zaraz pchnął chłopaka konno z dyspozycyą aby wieczerza była na osób dwadzieścia gotową.

Służąca która z Domcią jechała, panna Filipina Jeziorańska, wychowana z nią razem i kochająca ją serdecznie łzy miała ciągle na oczach a oburzenie w sercu na tego utrapieńca, jak zwała p. Zbisława. Jego wesołość, obojętność, pewność siebie, nie mogły się jej w głowie pomieścić. Ruszała ramionami i zżymała się, patrzała na Domcię i podziwiała jej męztwo, a gdy Zbisław wysiadł poczęła ją całować po rękach dodając odwagi.

— Niech pani się nie lęka, niech pani nie desperuje... bo sie rozchoruje...

— Nie mam czasu chorować, odparła Domcia odważnie, nie bój się o mnie. Teraz gra między nami, zobaczemy czy to tak łatwo przyjdzie jak wkraść się na zamek...

— A! szepnęła Filipina, jak się dowie ten nieszczęśliwy Horwat, gotów to życiem przypłacić.

— Ja zaraz napiszę do niego — odparła cicho Domcia, ty mi w Żmurkach ułatwisz przesłanie listu — jego tam wszyscy nienawidzą... Horwat powinien środki obmyśleć aby mnie ratować... ja nie chcę z nim żyć — a jeśli będę zmuszona do studni się rzucę...

— Ale moja dobrodziejko, moja pani, najsłodsza! najdroższa — ani myśl o tym... wyratujemy się...

— I pamiętaj Filipinko, na rany Chrystusa cię zaklinam, żebyś odemnie krokiem nigdy nie odstąpiła i nigdy mnie z nim samą nie zostawiała...

— A jeśli mi każe wyjść?

— Ty mu powiesz że jesteś moją nie jego sługą a masz rozkaz odemnie byś została.

— A! pani! co to będzie! co to będzie!

— To nie może potrwać długo — bo Horwat mnie uwolni, albo ja sama do niego ucieknę... Ja żyć z nim nie mogę, ja żyć z nim nie będę...

— Cicho! cicho! oto idzie!

Filipina rzuciła się w głąb powozu, Domcia w drugą i zamilkły, Zbiś wszedł, siadł, spojrzał i wychylił głowę do przyjaciół... Pojechali.

Wkrótce noc zapadła, ale po staroświecku zapalono kagańce, aby drogę oświecić choćby

wioski i stogi popalić... podróż odbywała się z tą samą szybkością bo koni nie oszczędzano... Już było późno dosyć gdy powóz wtoczył się przez bramę murowaną na dziedziniec w Żmurkach.

Było dawnym obyczajem iż państwa młodych przybywających po raz pierwszy do domu witano nie tylko oracyami — bo te były niezbędne we wszystkich życia wypadkach, ale chlebem, solą i cukrem na tacy podaną, życząc im temi symbolicznemi znakami dostatku i słodyczy, w przyszłym pożyciu. — Szło znać o to panu Zbisławowi, ażeby ceremoniał ten został zachowany gdyż przykazał aby w ganku nie zapomniano przynieść na tacy powitania... A że ze Zbisiem żartować było niebezpiecznie, gdy wysiadali wyszła stara klucznica niosąc owę sól na srebrnej misy, chleb i cukier... Mruczała wszakże tak coś pod nosem iż dosłyszeć było trudno co mówiła, a trzęsła się cała.

Domcia popatrzywszy na nię nie tknąwszy soli ni chleba — odeszła na bok, ale Zbisław przyjął powitanie i dał parę dukatów.

Nim się z tym ułatwił, Domcia skorzystawszy z chwili wolnej, wbiegła sama do znanego dobrze domu Filipinę prowadząc za

sobą, dopadła swego panieńskiego pokoju i na klucz się w nim zamknęła.

Całe towarzystwo tymczasem wpadło do oświetlonych rzęsiście pokojów, dosyć hałaśliwie i poczęło składać powinszowania tryumfatorowi.

— Tak! tak! wszystko to dobrze, rzekł w ostatku Barański — ale summa summarum czego żeś dopiął? żona bryznęła i zamknęła się na klucz... i ani paluszka nie da pocałować!

Zbiś na którego oczy szyderskie wszystkich były zwrócone, odrzekł powolniej niż zwykle.

— Widzicie moi drodzy, zestarzałem się, spoważniałem i myślę szaławilski moj system całkiem odmienić. Nic by łatwiejszego nie było nad wydobycie Domci z jej pokoju i przyniesienie jej tu na rękach, ale krzyczałaby na gwałt, na gbura... tego ja nie chcę. Trzeba się jej dać wysapać — nie życzy sobie mojego towarzystwa? — no to ja się bez niego obejdę — pójdę, zapukam, spytam, odmówi — będziemy się zabawiali sami.

— A potym? spytał Barański.

Zbiś wąsa pokręcił.

— Słuchaj Barański, pamiętasz ty mojego kasztanka białogrzywego!

— Pamiętam.

— Aleś ty go widział ujeżdżonym?

— Jak dziecko.

— A wiesz ty jakem ja sobie z nim rady dał?

— Naprzykład?

— Koń był do pięciu lat nie brany nawet na uzdę, bujał... bo to taka rasa, że się późno składają, i zawczasu ich nie biorą, aby nie zeszkapiały. — Kasztan gdym go wziął był rozbujały jak szatan... Ani przystąpić, ludzi bił, kąsał, wiszczał, kładł się — nie było sposobu... Trochem go zmorzył głodem i bezsnem... ale zawsze jeszcze był dziki... Ledwie nieledwie mu na łeb zarzucili tręzlę... potym jakoś niejakoś przyszło do tego, że się dał osiodłać, ale gdy podpinano popręgi, dwóch ludzi do lazaretu. poszło Myślę sobie już go nie dam nikomu tylko sam dosiędę... Tak się stało... Co ze mną robił — niech ludzie powiedzą, kości mi pogruchotał, kładł się, przewracał, dęba stawał... a ja go batem a batem a batem i — nic nie pomogło... Jak dziś pamiętam był stary kawalerzysta Ściborski na tej hecy, patrzał, pluł i wąsa kręcił. Aż mnie znudziło patrzeć na jego pogardliwą minę. — Czego ty kpisz? spytałem. — Boś waćpan do konia kiep — rzekł lakonicznie. —

A jakże sobie mam poczynić? spytałem. — Jak — odparł Ściborski — naprzód bizun rzuć, lejce puść, głupstwa mu robić nie daj, ale nie bij, wiesz czym się konie najsroższe ujeżdżają? cierpliwością... Nie chce iść? daj mu stać! Niech stoi godzinę... Chce się położyć? niech leży, ale ty nad nim na siodle... chce dęba... pozwól... Jak się wyszali, a zobaczy że nie przelewki, pójdzie ci jak baranek.

Otóż mój Barański jak ja kasztanka ujeżdżałem i był mi potym najulubieńszym z koni, chodził za mną jak pies, jadł cukier z rąk, po twarzy mnie lizał, głos mój znał...

To mówiąc i niedokończywszy pan Zbisław urwał, ukłonił się słuchającemu go kołu i zniknął. W istocie poszedł on do pokoju żony która z panną Filipiną była hermetycznie zamknięta. Zapukał.

— Kto tam?

— Ja.

— Kto taki! spytała służąca.

— Waćpanna powinnabyś znać mój głos — gospodarz przecie...

Milczenie.

— Proszę mi otworzyć.

— Panią głowa boli — pani śpi... pani nie pozwoliła wpuszczać nikogo.

— Ani mnie? spytał Zbisław.

— Nikogo.

— Gdy się pani obudzi proszę jej powiedzieć, że przeszkadzać nie będę i zasyłam — Dobranoc...

Pan Zbisław nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi, odszedł.

Bawiono się tedy siarczyście jak gdyby nic, a choć z pana młodego *słomianego* śmiali się trochę, on to wesołą twarzą przyjmował — i nic.

Gdy wszakże po kielichach wesołości trochę miarę przebierać zaczęto, a hałas się wziął kawalerski, uczynił następną uwagę.

— Panowie a bracia! nie raczcie zapominać że to nie w Wierzchówce u kawalera, ale w Żmurkach u poważnego, żonatego obywatela jesteście, któremu jejmość słaba, więc trochę ciszej a skromniej nie zawadzi...

Tomaszewski który był trochę podpiły, uraził się pierwszy.

— No, no, patrzcie go jak mi spoważniał *raptim*; i będzie nas teraz *decorum* uczył... nas! nas! cośmy mu żonkę wyrwać z rąk macierzyńskich dopomogli.

— Słuchaj Tomaszewski, pij spokojnie a zwady nie poczynaj — odparł Zbiś.

— Ale bo i tyś dobry — zaczął Żubr,

ja ci jestem *corde et anima* oddany a i mnie to kole... Co to my studenci czy co?

— Obrażasz się...

— Nie tylko ja? ale spojrz? Barański, Dygowski, Zabrzeski wszyscy nosami kręcą, nie licząc innych. Piękny z ciebie gospodarz! co masz do ochoty zagrzewać, to nami i tu komenderować myślisz.

— A co to ma być! stoby djabłów zjadł! krzyknął jeden wywracając ławę... Czy to my na jego chleb, wino i dach głodni — panowie, komu honor miły... za mną.

— Mości panowie! zagrzmiał Zbiś — bez urazy... nic złegom nie rzekł, a com powiedział, trzymam...

— I my cośmy odpowiedzieli trzymamy... Za mną! bywaj zdrów!! Bywaj zdrów...

Zbisław patrzał na to milczący, ale się nie zmięszał, podparł się na łokciu i poglądał szydersko.

— Jeśli myślicie panowie a bracia, że was będę przepraszał albo li prosił, to się mylicie. Nie obraziłem nikogo, żądając spokoju dla żony chorej — a kto się niesłusznie uraził — Bóg z nim...

Już była większa część powstawała od stołu, a tu właśnie przynieśli świeże wino, radzi byli żeby się submitował i przepraszał,

ale ten uparty był — ani się podniósł — podzieliło się więc towarzystwo na dwa obozy, na tych ktorzy natychmiast Żmurki mieli opuścić i łagodniejszych, co już łapy szerokie podawali gospodarzowi.

Tomaszewski wstał, wąsy utarł, serwetę rzucił, pasa obciągnął i rzekł:

— A no, nie ma tu co popasać... dopóki nas potrzebował, wszystko mu było dobre... teraz już my mu ciężarem, więc się pozbyć trzeba... Ot co — mam tego za cztery litery kto zostanie.

Łagodniejsi powstali.

— Słuchaj no, Tomaszewski — zawołał Barański, jam wolny szlachcic, ja niczyjego despotyzmu nie cierpię. Jak mi ty mówisz że masz za cztery litery kto zostanie, ja ci mówię bez liter, że mam za kpa, kto z tobą pójdzie! Ot co!

Wielki wszczął się *certamen*.

— Tu się bez szabli nie obejdzie. dorzucił Tomaszewski — to darmo, sprawa gardłowa.

— Moi panowie, ozwał się gospodarz, bardzo was proszę mi mojego pierwszego dnia w Żmurkach nie zakrwawiać — byłby zły *omen* — Chcecie się posiekać — i owszem, służę, ale nie dziś i nie tu.

— Cóż to tu, kościół? spytał Tomaszew-

ski — ludzie i w kościele się przecie biją?

— A u mnie nie... to nie karczma! krzyknął Zbisław — kto łaskaw zostanie, kto krzyw niech z Bogiem rusza, kto ma obrazy niech poszukuje — i kwita.

— Ja odkładanego nie lubię — rzekł wstając Barański — chodź, Tomaszewski, poświecą nam, wybijemy się w bramie, albo na podwórzu.

— Chodź!

— Chodź...

Gdy się ruszyli i w gospodarzu krew zagrała przypasał szablę wziąwszy z kąta.

Stała się tedy rzecz ciekawa, bo już byli po dobrych kielichach i w głowach szumiało, a bez bzdurstwa się obyć nie mogło. — Któryś zaintonował że trzeba Tomaszewskiemu z Barańskim kondukt zrobić, wziął jeden na szablę serwetę białą nakształt chorągwi i skoczył przodem, drudzy się poustawiali w ordynek i od ganku śpiewając *Miserere*, prowadzili ich tak do bramy. Środkiem Żubr napiąwszy się opończą szedł niby celebrujący. Tomaszewski z Barańskim po osobno ale na jednej linii postępowali z dobytemi szablami, a na ochotnika młodzież pozapalawszy kagańce towarzyszyła pochodowi. — Było to i śmieszne i straszne i smutne... Gospodarz

protestował żeby w bramie się u niego, ani w dziedzińcu nie bili... wystąpili więc aż na gościniec. Tu zrobiono koło wielkie, oświecone kagańcami, a Tomaszewski z Barańskim podnieśli szable...

Cisza jak mak siał. Gospodarz z daleka się przypatrywał dosyć nierad, ale co miał począć.

— Nie przeprosisz, rzekł Barański.

— Ani myślę, odparł Tomaszewski, bij się...

— No, to bijmy się.

Ciekawa rzecz była patrzeć jak ku sobie skoczyli. Niełatwo dla obu nieprzyjaciela zmódz bo się znali na wylot, wiedział każdy z nich jak drugi chodził i co miał za obyczaj przy spotkaniu, więc na niespodzianego wziąć nie było podobna.

Zaczęli się składać, ale żaden drugiemu szkody nie zrobił... wyglądało to na zabawkę. Żubr niecierpliwy stojąc krzyknie:

— Czy żarty? czy komedye?

W tym Barański jak zamachnie nagle z całych sił i tnie Tomaszewskiego w łeb, przekroił mu skórę i nadwerężył kość... ten zachwiał się tylko — Jezus, Marya... i Józef nie domówiwszy padł na wznak.

Otóż tobie zabawka! rzucili się wszyscy

ku rannemu, a ten księdza wołał niezrozumiale i zdawało się że ducha wyzionie... Szczęściem ludzie doświadczeni podnieśli go, zaraz skórę zalepili włosy obciąwszy i na rękach do oficyn zanieśli. Tak się owa wieczerza zakończyła, a o włos że jeszcze nie krwawiej — o czym mało kto wiedział.

Ledwie się do Żmurek dobili a Domcia do swojego pokoiku wpadłszy zamknęła, wyszła za jakąś potrzebą czy na zwiady panna Filipina... Posznurkowała po domu, tu, owdzie i wróciła do pani z jakąś nowiną szeptaną cicho a ostrożnie, która zdała się obie przerażać. Domcia chodzila długo, namyślała się, szepnęła służącej, ta wyszła, i wróciła jeszcze raz i pobiegła znowu... Słowem że długo temu końca nie było...

Gdy pan Zbisław pod drzwi podchodził jeszcze się te jakieś konszachty odbywały... Szpiegowano potym kiedy do stołu usiędą... postawiono dziewczynkę na straży aby oznajmywała gdyby Zbisław szedł... i Filipina znowu wymknęła się, a gdy wróciła, Domcia zbliżyła się do okna od ogrodu... Po cichuteńku otworzyło się okno.... Z przeciwległej gęstwiny wyszedł ktoś ostrożnie i ku domowi się zbliżył.

Był to Staszek Horwat. Przypadek chciał

że go spoczywającego tu zachwycił przyjazd państwa młodych niespodzianie... Biedaczysko drżał ale kochał i Domcia dowiedziawszy się o nim przez Filipinę kazała mu koniecznie pod okno przyjść rozmówić się z sobą.

— To szczęście że waćpan tu jesteś! szepnęła — widzisz co się dzieje... Ten zbójca wdarł się na zamek, zmusił mnie jechać z sobą...

— A pani zgodziłaś się!

— Musiałam dla oszczędzenia matki, ale żyć z nim nie chcę i nie będę, żoną jego nie jestem... Rób co chcesz... ale potrzeba mnie z rąk jego uwolnić — pojadę do Lublina do Brygitek i rozwód rozpocznę... Daj znać stryjowi...

— Starosta wam nie pomoże...

— Dla czego? spytała Domcia.

— Bo już mu ten zbój dał naukę. Sądząc że on o waszym schronieniu wie i że naciśnięty wydać musi, pochwycił go z własnego domu i więził póty, póki się nie przekonał że mu nic powiedzieć nie mógł. Starosta ledwie się z rąk jego wyrwawszy, przysiągł mu że się do niczego mięszać nie będzie.

— No, to się obejdziemy bez stryja. Na was wszystko.

— Ale jakże tu począć?

— Jak? albo to moja rzecz! zawołała Domcia — to wasza! wy obmyśleć musicie i wykonać. Filipina poczciwa ułatwi porozumienie.

Jeszcze rozmowa ta przedłużała się cichemi szeptami, gdy powracającemu z pojedynku gospodarzowi nadbiegł jego chłopak postawiony na straży koło domu donieść, że u okna jejmości ktoś bodaj czy nię z panią po cichu rozmawia.

Zbisław nakazał milczenie, skinął na dwóch czy trzech swoich, dał rozkazy, i poczęli obchodzić dom tak, ażeby podejrzanego owego pochwycić. I byli by go wzięli na pewno, gdyby Filipina stojąca z tyłu za panią, przemykających się osób w krzakach nie postrzegła, uderzyła tedy na trwogę. Horwatowi nie trzeba było dwa razy tego mówić, rzucił się jak oparzony. A w tym rozległo się zewsząd

— Łapaj złodzieja! kto żyw! komu Bóg miły, łapaj!

Na ten odgłos z domu, z kuchni wybiegli ludzie i dawaj gonić. — Puścił się Horwat tak szczęśliwie że ich wyminął, a wielkim trafem miał konia okulbaczonego za płotem, którego mu chłopiec zapłacony ze wsi trzymał.

Rznął się więc przez krzaki do konia na prost, słysząc pogoń za sobą i wołanie. Ani

się oglądał. Dopadł płotu i przesadził jednym susem, ale, djabeł nadał, koń był nie w tym miejscu ale o dobre staje. Biegiem więc kryjąc się po pod płot że było ciemno co tchu do konia dążył. Za nim też zwinny kuchta tak że go prawie za poły deptał. Już tchu mu zaczynało braknąć, gdy koń zarżał, wyrwał się na kulbakę, a tu kuchta go za nogę. Żeby nie nahajka którą miał i ciął nią przez głowę, byłby na miejscu porwanym został.

Ale nim się z bólu opamiętał nieszczęśliwy, Horwat już cugle zebrawszy przez rów przesadził i puścił się na pole. Tu myślał że bezpiecznym będzie, i omylił się, bo kilku konnych ze dworu na wrzawę poleciało po za opłotki, na przełaj gonić owego złodzieja. Wzięli go mimo nocy na oko, bo na tej płaszczyźnie pod czyste niebo cieniem się im na ziemi majaczał. Tu jakby zająca poczęli go ujeżdżać.

Konia miał dobrego i gdyby nie jego rozum i nogi, niezawodnie by został przytrzymany. Wiedział on dobrze o tym że w niebezpiecznych razach lepiej się zdać na koński instynkt niż na ludzką rachubę, ścisnąwszy szkapę, cugle puścił i — co Bóg da!

Koń czując się gonionym wyciągnął się jak struna, tuż, tuż, słychać tentent i sapa-

nie dojeżdżających, to się szkapa znowu odsadzi i tylko wołanie z tyłu... a co zwolni biegu zmęczony karoszek, znowu na kark nalecą.. i znów weźmie się a odsadzi... Horwat wcale nie wiedział ani dokąd jechał, ani co się z nim stanie... koń z nim w gąszcze poszedł dróżyną. Z tyłu jeszcze słychać było pogoń długo, długo, aż nareszcie ucichło zupełnie i nieszczęśliwe konisko padło na drodze.

W tej pogoni pan Zbisław nie długo się nużył, oddawszy ją na ludzi wrócił do domu, a wróciwszy choć pora była bardzo późna, poszedł wprost do pokoju żony.

Na pozór był spokojniuteński, ale w nim wrzało. Zapukał raz — nic. Drugi — cicho, za trzecim panna Filipina — Kto tam?

— Ja — otwierać proszę.

— Pani chora, śpi.

— Otworzyć mi zaraz, zawołał Zbisław, muszę dwa słowa pomówić, i to zaraz. Dwa słowa, więcej nie chcę nic.

— Nie otwierać — odezwała się Domcia, tupiąc nużką, gdyż stała jeszcze nie rozebrana.

— Otworzyć!

— Pani nie każe.

Zbisław, który miał siłę niezmierną, a gdy był gniewny jeszcze się w nim podwa

jała. ujął klamkę, wstrząsnął drzwiami nie czyniąc hałasu, zamek oderwał i wszedł. Domcia z Filipiną krzycząc schroniły się pod okno.

— Proszę się nie obawiać, jam przyszedł tylko najspokojniej w świecie przemówić. Pod oknem waszym nie kto inny był jak Horwat. Możesz moja pani żono i mnie nie kochać i jego woleć nademnie, możesz szukać rozwodu, gdy zapragniesz, ale domu swojego i mojego podobnemi konszachtami ja walać nie pozwolę, to zapowiadam i dotrzymam. Horwatowi gdy go złapię w łep nie wypalę, to by było za wiele honoru dla niego a dyshonoru dla mnie, ale mu dam sto odlewanych batów, z których lizać się będzie pół roku.

Domcia z gniewu płacząc milczała... Cóż mu miała odpowiedzieć.

— Wolno pani mnie nie przyjmować, rzekł Zbisław, ale nie wolno — dopóki się zowiesz żoną moją przyjmować innych, choćby w oknie. Ponieważ mam wiadomość że panna Filipina ułatwiła porozumienie...

— To nie prawda! krzyknęła Domcia.

— Ja to wiem i prawda być musi — odparł Zbisław. — Przyślę pani inną sługę, abyś nie myślała że ją chcę pozbawić opieki

i świadka — ale panna Filipina zaraz w tej chwili wyjedzie do domu.

Domcia rzuciła się obejmując ramionami przyjaciołkę.

— Waćpan jesteś tyran... wie pan.

— Ale o tym potym... niech się panie pożegnają i rozkaz mój będzie spełniony. Około okien postawię wartę... Dobranoc...

To mówiąc, odszedł i na tym się owa tego dnia scena małżeńska skończyła.

Z nader smutnym obliczem złotowłosy Stanisław wszedł w kilka dni potym do tak zwanej kancelaryi pana Starosty, u której drzwi długą wprzód odbyć musiał kwarantannę. Nie zadowolniony otrzymaną już odmową jedną, przybywał nie w swoim imieniu, ale synowicy, prosić o ratunek i poparcie.

Starosta chodził po szerokiej izbie nader skromnie przybranej, a papierzysków pełnej, obie ręce zagłębiwszy w kieszenie boczne kapoty szaraczkowej, a miał ten zwyczaj że gdy był kwaśny, ręce zawsze chował w te dwa głębokie otwory i rozstawiał je tak że z obu stron tworzyły jakby dwa jakieś nietoperze skrzydła... Usta miał zaciśnięte, czoło sfał-

dowane, żółto wyglądał i poglądał z ukosa.

Skłonili się sobie z panem Horwatem, który westchnął w sposobie introdukcyi. Starosta mu krzesło ukazał a sam z rękami rozpiętemi w kieszeniach, chodził dalej, z głową w dół spuszczoną.

Staszek nie myślał siadać...

— Wiesz pan Starosta co się święci?

— A no? a no? co?

— Wszak ten napastnik porwał pannę Domicelę jak szatan dobrą duszę, i uprowadził do Żmurek.

Starosta ramionami ruszył, usta wykrzywił, nie rzekł słowa, nawinęło mu się coś koło nogi, więc szasnął tylko butem i dalej odbywał milczący przechadzkę.

— Powinieneś pan Starosta mieć litość nad krwią swoją, nad rodzoną bratanką... Żebyś pan widział jej rozpacz... jej łzy, jej prośby słyszał i to że całą nadzieję na panu pokłada...

— A waćpan gdzie ją widziałeś? kto ci to powiedział?

— Mnie ten wjazd w Żmurkach zastał, z niebezpieczeństwem życia podkradłem się pod okno... mówiłem sam z panną Domicelą, kazała mi jechać do pana...

— I dalejże co? zapytał chłodno nader Starosta...

— Ah! westchnął Staszek. — była tam historya straszna, która już niewiem jak się skończyła... ktoś ze sług mnie zobaczył i zdradził, chciano pochwycić, musiałem uchodzić... żem ocalił życie, to winienem tylko patronowi mojemu św. Antoniemu do którego westchnąłem... Zbójcy ścigali mnie długo... koń ostatnich sił dobył... a gdy pogoń ustała... padł...

Starosta słuchał z uwagą... potym znów, jeszcze szerzej poły żupana rozsadziwszy począł chodzić i prychać... ale milczał.

— Panna Domicela zakląć kazała pana abyś ją ratował...

Starosta stanął.

— Jaka panna Domicela? kukuryku? panna Domicela? ślub wzięli, mąż ją zabrał, mieszkają pod jednym dachem, a między uszak i drzwi palce wkładać... nie życzę sobie, nie życzę...

— Przysięga że z nim żyć nie będzie...

— Tak... a wprzódy przysięgała że będzie... rzekł Starosta. Terefere kuku... strzela baba z łuku... Bałamuctwa! androny, i chcecie żebym ja się mięszał w to!

— Nigdy w świecie! rzekł po chwili — a mnie tam po co nos kłaść!!

— I opuścisz pan nieszczęśliwą?

— Jak, nieszczęśliwą? co za nieszczęśliwą?... P. Zbisław, mnie się widzi — uczyni ją owszem szczęśliwą, bo to chłopiec energiczny, nie taki, z pozwoleniem ciamajda... jak drudzy...

Staszek Horwat popatrzał nań.

— Czy to się ma stósować do mnie? zapytał.

— Gdzie? co? po co? kukuryku? zawołał Starosta coraz się więcej niecierpliwiąc, dajcie mi święty pokój... ręce umywam... Synowica za mąż poszła... sprawy między małżeństwem należą do konsystorza... a ja w nim nie zasiadam...

Horwat podniósł rękę i cisnął czapeczką o podłogę ze złości...

Starosta popatrzał na nią, podniósł, kurz otrzepnął i oddał mu z krwią zimną.

— Miej asindziej pomiarkowanie — rzekł z powolnością do której się zmuszał. — My tu obaj pono ani ja, ani wy, ani jejmość matka nie zrobimy nic. Dopóki jej on w ręku nie miał... ha! no! coś! tego... jeszcze było można mówić... niewiadomo jak kość padnie — ale teraz... czy go nie znasz? to szatan nie człowiek... z nim zadzierać się nie można,

kto jego pazurków nie zna. My, jegomościuniu, we dwóch jemu na śniadanie i jeszcze by był głodny.

Machnął ręką Starosta, włożył ją znowu do kieszeni, w tył wysunął i chodził miotając niewidzialnemi dłoniami.

— Więc nic, panie Starosto?...

— Ale ja waćpanu nie bronię, rzekł stryj, zebrać armią, zrobić wyprawę na Żmurki, pochwycić jej mość i sukcedować po panu Zbisławie. Róbcie sobie co chcecie! chodźcie na głowach! bijcie się! gódźcie, prawujcie! całujcie, mordujcie... ale mnie dajcie święty pokój! *Dixi.*

Pan Stanisław stał skonfundowany.

— Co ja mam począć, rzekł po chwili, to już tylko mnie wiadomo... pewną jest rzeczą, że tej nieszczęśliwej panny Domiceli nie rzucę w szponach tego jastrzębia...

— Dobrze! dobrze! ale ja o tym wiedzieć nie potrzebuję — ja jestem, będę i pozostanę neutralnym — neutralnym. — Moja opieka skończona, synowicę oddałem... kwita.

— Tak! zawołał gorzko, unosząc się nieco pan Horwat — synowicę oddałem — a majątki zatrzymałem... to i dobrze! Ale pamiętaj panie Starosto, że co dziś synowicy, jutro wam...

— Patrzaj go? patrzaj? już i ten mi będzie palcem kiwał pod nosem?...

Odwróciwszy się nagle zawołał Starosta... Jest tu komu świat gubić?

Staszek się nadął.

— W moim własnym domu. będzie mi takie rzeczy mówił?? Słyszeliście co podobnego...

Horwat się gorżko uśmiechnął

— Żegnam pana — rzekł.

— Do nóg upadam! odparł stryj z rękami w kieszeniach. — Skłonił się nisko. — Do nóg upadam, pod stopki się ścielę... Uniżony!

Horwat wziął za klamkę, odwrócił się jeszcze.

— A jeśli losy mi poszczęszczą, dodał, zobaczemy się, panie Starosto, zobaczemy, inaczej, w trybunale... w trybunale!

— Patrzajcie go! trybunałami mnie straszy! o! miły chłoptaczek!... To wiedzże Staszku, ptaszku... że Zbisław cię pożył męstwem i zabiegliwością, a ja ci się też nie dam zjeść w kaszy... bom twardy... bom twardy...

— Byłeś waćpan jednak miękki w rękach pana Zbisława... rzucił Horwat z proga.

— Ale twoje zęby mnie nie ugryzą! ku-

kuryku! rzekł Starosta w gniewie już i poskoczywszy do drzwi sam je za nim zatrzasnął.

Odprawiony tak z niczym nieszczęśliwy młodzieniec siadł na koń i zadumany pojechał. Był w istocie w położeniu, które głębokich rozmysłów i nie małej przebiegłości wymagało... Jechał nie wiedząc prawie dokąd, ale myśl po głowie wirowała niespokojna... Wśród tego utrapienia przypomniał sobie księżnę Podkanclerzynę. Nie znał jej osobiście, wiedział że sprzyjała p. Zbisławowi, ale stosunki familijne łączyły go z nią, a z powieści ludzkich wnosił że była dosyć zmiennej fantazyi i że ją grzecznemi słowy, pokorą, obejściem się dworskim zyskać sobie było można. — Nie mam nic do stracenia, rzekł w duchu — pojadę choć popróbować, korona mi z głowy nie spadnie.

Zawrócił konia i pokłusował do rezydencyi księżnej, o której wiedział że była w domu. Dopiero nad wieczorem jakoś dostał się do miasteczka, a w gospodzie przebrawszy (bo miał w jukach cały strój potrzebny) udał się do pałacu.

Był ci to pałac nazwiskiem, a w istocie bardzo rozległy dwór z oficynami, domkami dla oficyalistów, ogrodami i upiększeniami nowemi. Roiło się luda wiele nad potrzebę pró-

żniaczego, a ceremoniał na dworze odpowiedni imieniowi i dostojności ściśle był przestrzegany. Pomimo to — oprócz wierzycieli, których było mnogo, żadnemu nigdy szlachcicowi wstępu na dwór nie odmówiono. Obyczajem było że marszałek dworu naprzód się o gościa, imię, nazwisko i powód przybycia dowiadywał. A że pod rozmaitemi pozorami wciskali się do księżnej lub tacy co u niej mieli summy, lub ich spadkobiercy albo wreście — przekazy mający ludzie, a księżna odmówić im nie umiała, wstydziła się i zawsze takie najście opłacała, raz tedy na wieki nakazane było pilnie śledzić przybywających czyliby w kieszeni jakiego obligu nie mieli. Z tego powodu marszałek wstrzymywał ich, bawił, rozpytywał, zwłóczył przyjęcie, szedł do jeneralnego plenipotenta kancellaryi, przeprowadzał tam małe śledztwo, a dopiero o niewinności się przekonawszy, gościa wpuszczał na pokoje.

Jak tylko pieniężnego interesu nie miał, każdy mógł być pewny najmilszego przyjęcia. W towarzystwie księżna była nad wiek swój młodą, wesołą, lubiącą nieco swobodną rozmowę i rada młodzieży.

Pan Stanisław Horwat uległ na wstępie ogólnym przepisom, marszałek naprzód wziął

go na examen, potym znikł, wrócił weselszy... i poddawszy jeszcze gościa krótkiej próbie, naostatek wpuścił do księżnej Pani.

Horwat przeszedł długi szereg pięknie umeblowanych pokojów, aż w ostatnim dopiero znajdując księżnę z robótką w ręku przy stoliku na którym leżała rozłożona kabała, w towarzystwie dwóch pań niemłodych i poczwarnie brzydkich. Księżna trzymała się tego systemu chcąc się wydawać piękną i niestarą, że zawsze miała przy sobie jakiegoś koczkodana.

Staszek zarekomendował się jako daleki kolligent, pragnący złożyć uszanowanie, ale był tak niezręczny iż w dodatku wspomniał o małym także interesiku.

Księżna uprzejma bardzo, usłyszawszy ten wyraz, który nieraz ją już wiele kosztował, nabrała bardzo złego humoru. W duchu przeklinała marszałka dworu iż się tak dał podejść. Nawet ładna twarzyczka młodzieńca rozbroić ją nie mogła. Nie czekając więc by sam rozpoczął, niecierpliwa rozesłała swe towarzyszki i z pewnym rodzajem nerwowego rozdraźnienia, spytała naprzód o ów interesik.

— A, Mościa księżno dobrodziejko, ozwał się Horwat, proszę mi darować, jest to sprawa tak delikatna...

— Delikatna! pomyślała w duchu gospodyni — no! to niema wątpliwości że o pieniądze idzie. — Co za głupi ten marszałek!

— Przyznaję się, dodał Horwat. że nie spełna wiem jak nawet zagaić sprawę... jak moję wytłumaczyć śmiałość.

— Chce mnie naprzód udobruchać! nieznośny ciemięga! myślała księżna. — Mów pan śmiało! odezwała się głośno.

· Jest to sprawa tak delikatnej natury...

Księżna ramionami ruszyła, nie mogąc znieść niepewności.

— Ale o cóż idzie?

— Czy WksMość, dozwolisz mi naprzód opowiedzieć sobie co ją spowodowało...

— Kogo!

— Sprawę! westchnął Staszek...

— Jaką sprawę... masz waćpan sprawę?

— Żądam protekcyi WksMości dla nieszczęśliwej, najnieszczęśliwszej w świecie kobiety i — dla mnie.

Gospodyni westchnęła — twarz się jej rozjaśniła, przysunęła się ku mówiącemu, tak mu za to już wdzięczną była iż nie chciał pieniędzy, że gotową się czuła wszelkim prośbom jego zadosyć uczynić.

— No, cóż to tam takiego, rzekła uśmiechnięta...

— Nieszczęśliwa, tragiczna historya kobiety, której los... wszystkie czułe serca obchodzić powinien...

Oczy księżnej nieco szydersko wlepiły się w młodzieńca...

— A! mówże pan... proszę...

Staszek począł, ale od pierwszych wyrazów księżna mu przerwała...

— Ja tę historyą znam, ale ją znam wcale z innej strony... Zbisław Wierzchowski był u nas... (poprawiła się) na moim dworze, chłopak śmiały... odważny, przedsiębiorczy... no! i przecież już ślub wzięli...

— Ale, księżno dobrodziejko, zawołał Horwat, to był ślub... przypadkowy... nieważny — Zbisław był z inną zaręczony, to kanoniczna przeszkoda... Tę kobietę uczynił najnieszczęśliwszą... a panna Domicela przysięgła że z nim żyć nie będzie.

— Ale on ją już odebrał! zawołała księżna i poczęła się śmiać mocno, tak że pan Horwat aż się zmięszał

— Mksiężno! zawołał, ja rachowałem na jej protekcyą, na pomoc, na pośrednictwo...

— Cóż ja mogę dla niej i dla waćpana uczynić, odezwała się zalotnie księżna kładąc powoli pulchną swą rączkę na ręku Staszka...

Rozważ waćpan! jakże to rozrywać małżeństwo! co począć!

— Ja wprawdzie niewiem, ja szukam rady, pociechy, opieki! Jeszcze mi w uszach brzmią błagające wyrazy tej nieszczęśliwej, która się zaklina że z nim żyć nie będzie...

Księżna patrzała mu wciąż w oczy i śmiała się i kiwała główką i po troszę się wdzięczyła.

— Uspokój się pan, proszę, rzekła, to sprawa nader zawiła... Nie obiecuję nic, ale potrzeba się namyśleć, zostań tu przez dni kilka, będziemy o tym mogli pomówić, rozważyć... Szczerze mi żal tej biednej kobieciny i waćpana sentyment budzi we mnie sympatyą... ale cóż tu zrobić?

Stach głowę spuścił.

Księżna sobie powiedziała w duchu:

— Śmieszny jest... ale ładny chłopak... możnaby coś zrobić z niego, gdyby się wykrzesał.

Horwat nie domyślał się wcale grożącego niebezpieczeństwa, wziął wyraz czułych oczów za miłosierdzie, był wdzięcznym...

Dano wieczerzę, księżna go zaprosiła, wydawszy rozkazy aby rzeczy i konie z miasteczka zabrano do dworu. Dano pokój gościnny p. Stanisławowi.

Po kolacyi przechadzała się jeszcze po saloniku wodząc z sobą młodzieńca piękna gosposia i po krótkiej rozmowie, położyła mu rękę na ramieniu protekcyonalnie.

— Wiesz waćpan co? oto mi dobra myśl przychodzi. — Nie będę przed nim taiła, że nie znając sprawy, sama dopomogłam temu Szaławile Zbisławowi do odzyskania żony, któż go tam wiedział że tak rzeczy stoją. Należy mi się od państwa młodych wizyta, poślę do nich zapraszając. Będę miała zręczność rozmówić się z nią sam na sam, wysonduję ją... Nie byłoby też może źle, ażeby...

Tu księżna przerwała.

— Ale w takim razie, cóż waćpan zrobisz z sobą? czy chcesz być świadkiem? czy...

— Ja... jabym się do czasu... mógł ukryć! z nietajoną radością zawołał Staszek, jak skoro WksMość raczysz sama dotknąć bliżej sprawy... będziemy ocaleni. Z ust jej własnych posłyszysz WksMość...

— Ale bardzo dobrze! bardzo dobrze! Nie wypada tylko ażebyś tu się waćpan nawijał... żeby tu o nim mowa była... Chciałam go dłużej zatrzymać... nie... Jutro jedź, przebądź dni kilka ukryty i powracaj...

— Kiedy? zapytał rozradowany chłopak.

— Czekaj waćpan! dziś sobota... mówiła

księżna rachując... wyślę jutro do Żmurek... zaproszę ich na...

— Środę... Czwartek! poddał Horwat.

— Dla czego tak późno? zapytała gospodyni.

Horwat który miał w tym swą rachubę, ale do niej przyznać się nie chciał — rzekł z nieśmiałością...

— Ja myślę że czwartek nie będzie za bliski... Państwo młodzi są w sporze i gniewie, nie będzie zanadto czasu by mógł nakłonić żonę na wspólne odwiedziny...

Księżna ile razy spojrzała na rozkochanego gościa, znać przypomnieniem Zbisława i porównaniem z nim nabierała ochoty do śmiechu.

— No, dobrze, zaproszę ich na czwartek, ale w takim razie nie masz pan potrzeby wyjeżdżać jutro...

— Owszem M. księżno — muszę...

— Ale mi dasz słowo, że żadnej zasadzki, podejścia i awantury nie przygotowujesz...

— Daję słowo...

— Mówię to w interesie waszym — dodała księżna, bo ten zbój Wierzchowski, pewnie by się niczego nie uląkł, a to by sprawę popsuło i mnie skompromitowało.

— Daję słowo — powtórzył Staszek...

Księżna dała mu rękę, on ją ucałował, uścisnęła z lekka dłoń jego, za co niezmiernie był wdzięczen i koniec końców pożegnawszy się, poszedł spać w najlepszej myśli.

Był to jednak z cicha pęk i zdrajca... Nazajutrz raniuteńko siedział już na koniu i pędził w Hrubieszowskie do Strukczaszego. Miał w tym myśl bardzo wyrafinowaną i zdradliwą, do której się księżnie nie przyznał. — Powiedział sobie, że namówi starego ojca, aby z córką tegoż dnia księżnę odwiedził.

Aż ręce zacierał z radości widząc już z góry jaka to będzie scena przedziwna między nieubłaganym Strukczaszym, panną Anielą a panem młodym i jego żoną. W jego przekonaniu miało to na księżnę też podziałać stanowczo, aby Domcię wzięła w swą opiekę i już jej ze swojego domu nie wypuściła.

Szło tylko o to, ażeby w jakikolwiek sposób uwiadomić Domcię o osnutym planie i namówić ją na to, aby wezwawszy opieki księżnej, z domu jej już wyjeżdżać nie chciała.

Sam osobiście i czasu już nie miał i nie bardzo się chciał narażać Staszek... ale list mógł napisać. — List! do tak pilno strzeżonego domu, kto mógł list zanieść i podjąć się go wręczyć we własne ręce samej pani. To było najtrudniejszym. — Wszakże zako-

chany i rozjątrzony młodzieniec nie wątpił, iż opatrzność się w to wda, nastręczy mu kogoś a dzieło, które za bardzo godne opieki uważał — dokonać dozwoli. Na popasie już list był gotowy, acz nie miał wcale wdzięcznej postaci miłosnego posła, ale szarą i niepozorną minę, bo go Staszek pisał u żyda na papierze rejestrowym, atramentem jak feniks zmartwychwstałym z popiołów.

Szło o to komu go dać.

Mówiliśmy, iż mocno wierzył w szczególną niebios opiekę. Miał na koń siadać, gdy — usłyszał mruczenie. Przed nim stał klassyczny starych czasów dziad z torbami, jakby żywcem wzięty z ryciny Callot'a, ogromny, pleczysty, zgarbiony, broda i włosy rozczochrane, pierś opalona, noga włosem pokryta, kule pod pachami... dwie torby przez plecy... i garnuszek u pasa...

Ręka którą wyciągał ku podróżnemu, pomarszczona, koścista, okryta skórą jakby wyprawną, świecącą, ciemną, silną była choć misternie drżącą... aby litość obudziła. — Staszek popatrzył na dziada...

— A zkądże to staruszku?

— Z całego świata! paneczku! z całego świata... Z odpustu na odpust do Matki Naj-

świętszej... Za duszyczki zmarłe... Za zdrowie Dobrodziejów i dusz miłosiernych...

— Czy z okolicy?

— Ja? paneczku... odparł dziad wpatrując się w młodego człowieka jakby coś przeczuwał... paneczku kochany — nie... Ja z daleka...

— Jak z daleka?

— Ze Żmurek.

Staszek który już na koń miał siadać, wstrzymał się i wpatrzył w dziada.

Starzec zamyślający się czegoś, podniósł głowę, twarz jego pomarszczona, obojętna, zastygła, ożywiła się. — Zaciekawione oczy wlepiły w Horwata...

— Ze Żmurek? ze Żmurek jesteście! powtórzył po razy kilka — jak to się plecie... A dawnoż byliście u swoich?

— O! dyć!... wracam z Leśnej... ale ciągnę powoli do domu, boć to tam syna mam.

— Na gospodarstwie?

— Nie — parobczakiem we dworze...

— A znacie panią i pannę pewnie?

— O! Jezu miły! a czemużby też nie! com ci też od nich miał dobrego...

— I wiecie że tam już nowego pana znajdziecie?

— Coś to tam zasłyszało się...

— Panna płacze nieszczęśliwa...

Dziad ruszył ramionami i westchnął.

— Będziecie też pewnie we dworze...

— A noć dla syna paneczku...

— Hm, zawołał Horwat... gdybyście to dla waszej młodej pani serce mieli?

— A czemuż by nie! oj! oj!

— Posłużcie jej...

— Cóż ja mizeractwo potrafię...

Horwat odwiódł go nieco na stronę.

— Moglibyście jej, ale do własnych rąk i na cztery oczy oddać tę kartkę. Pokazał ją z dala. — Ale nikomu a nikomu tylko jej samej.

Dziad oczy otworzył, głową kiwał. Na poparcie żądania Staszek dobył pół talara i na karcie go położył.

— Mój dobrodzieju — rzekł dziad powoli, jeśli sprawa nie jest przeciw Bogu a poczciwości czemu bym jej nie uczynił...? Ale, widzicie, we dworze to trzeba znać jak się dzieje. Jeśli się co stanie, a dojdą sprawcy, mało to że mnie niedołęgę ze wsi wyświęcą, ale i synowi się dostanie...

Poskrobał się w głowę.

— Klnę ci się że to sprawa samej pani młodej i że od niej drugie tyle albo i więcej dostaniecie — a niema w tym nic sprośnego...

Dziad rękę wyciągnął i milczący schował list za koszulę, a pieniądz do węzełka u chusty.....

— A jakże was zowią, mój stary! rzekł Horwat.

— Toboła. stary Toboła... wzdychając powiedział dziad, znając mnie na okół.

— Jeszczem ci ja tylko jednego nie powiedział — dodał Horwat — że list trzeba wręczyć najdalej jutro...

— A no — to jutro... jeśli nogi nie starczą, to mnie litościwi podwiozą, a po drodze się zawsze furka napyta... Niech że będzie pochwalony Jezus Chrystus...

Ufny w to że dziad był narzędziem opatrzności, dalej już nic nie pytając puścił się co prędzej w drogę pan Stanisław, dniem i nocą do Strukczaszego. W podróży sobie wszystko osnuł, co ma mówić, co zamilczyć, jak pobudzić... i gdy rankiem znużony trafił przed dwór w chwili gdy stary na pole się wybierał — plan cały miał osnuty.

Strukczaszy był człowiek gwałtowny, złamany wielu przeciwnościami, nie wdający się w kompromisy z przekonaniami — cały z jednej bryły. Leżało mu na sumieniu szczęście córki, choć na prawdę nic sobie nie mógł

mieć do wyrzucenia, bo wcześnie i ostróżnie wszystkiemu zapobiegł.

Coś z jego charakteru miała córka. Od chwili owego protestu niefortunnego pod kościołem wróciwszy do domu Strukczaszy niewiedział co poczynać dalej. Podał skargę do konsystorza i inhibicyą przeciwko ślubowi i zdało mu się że reszta sama przyjść była powinna. Zobaczywszy onego doradzcę i ptaka złej wróżby, do którego miał jakąś odrazę, choć mu on dobrze życzyć się zdawał, Strukczaszy stanął...

— Dzień dobry...

— Kłaniam uniżenie.

— A co tu asindzieja tak nagle sprowadza?...

— Dobre serce i wierne usługi moje dla domu Waszego.

— A no — pięknie, pięknie, dziekuję — ale co mi zwiastujecie? Co porabia pan młody i panna młoda?

— Właśnie z wiadomością przyjeżdżam że mimo starania źle rzeczy stoją. Łotr potrafił żonę odebrać.

— Ale nie żonę! stukając kijem zawołał Strukczaszy, co za żona! ślub był nieważny...

— I ona i wszyscyśmy tak sądzili —

wszakci ten inaczej i postawił na swym — a choć ona z nim żyć nie chce zamknął ją w Żmurkach...

— Gdzież ją pochwycił?

Staszek siadłszy w ganku opowiadać zaczął *in extenso* jak się to wszystko stało — a Strukczaszy słuchał smutny.

— Czy dla tego — dodał — iż się gwałt dopełnił masz pan słuszniejszą krzywdę domu swojego niepomszczoną zostawić?

— Mów asindziej dalej, do czego idziesz, rzekł Strukczaszy.

— Idę do tego, że trzeba trutnia wstydać, upokarzać. nękać aż mu miedziane czoło wreście okryje się wstydem... Brawuje wszystko bo mu się bezprawia wiodą, i ludzie przed nim tchórzą...

— Ino nie ja — zawołał Strukczaszy...

— Dowiedziałem się na pewno, szepnął Staszek, iż oni oboje z żoną zaproszeni są przez księżną... na Czwartek. Zbisław stary dworzanin jako i faworyt jejmościn, że jej będzie posłusznym ani wątpię. Więc przyjadą. A gdybyścież wy, panie Strukczaszy — gdybyście wy... właśnie na ten sam dzień zdążyli... jakby przypadkowo do Księżnej z panną Anielą, wszak ci to wam dom przyjazny, znany i niby w tym tak dziwnego nie było...

Strukczaszy głową trząsł.

— Niby przypadkowo! powtórzył kilka razy — widzisz asindziej Strukczaszemu niby przypadkowo jechać się nie godzi, kiedy może umyślnie przybyć. Po co kłamstwo? Jeśli mi się zda żem ja tam powinien być, aby mu sromem jak ukropem w oczy chlusnąć — to będę — jeśli nie — na co mi przywdziewać sukienki? Jam tego nie czynił i nie zrobię — prostą drogą chadzałem i pójdę.

— Aleć tu w tym nic też krzywego niema! zawołał Horwat.

— Nic — pewnie, oprócz że przybywszy trza rzec otwarcie — przyjechałem po to by WksMości powiedzieć że oto młode małżeństwo nie jest ślubnym, a ta panna nie jego żoną... bo moja Anielka ma do niego pierwsze prawo, a ślub dany *subreptive.*

— Uczynisz waćpan dobrodziej jak mu się podobać będzie — moją rzeczą było donieść com sądził pożytecznym...

Tych wyrazów domawiał Horwat, gdy z za drzwi do ganku wiodących wychyliła się piękna postać panny Anieli, blada, poważna i smutna skłoniła się lekko głową Horwatowi i zwróciła ku ojcu...

— O co to idzie? spytała.

— O to, moje dziecko, by krzywdy two-

jej nie zostawić niepomszczoną — odparł stary, trzeba tego przeniewiercę zawstydzić i dać mu zakosztować tego czym on poił drugich...

— A! ojcze kochany — zawołała panna powolnie — z oczyma wlepionemi w ziemię — mścić się nie godzi, bo pomstę Pan Bóg ma w ręku, a w jego prawa człowiek się wdzierać nie powinien. Co do mnie wszakże ja sama zwolniłam go ze słowa... a gdy się zbytnio o krzywdę upominać będziemy, ludzie pomyślą że już dla nas ten jeden człowiek na świecie.

Strukczaszy z oczyma łzawemi patrzał na córkę.

— Trzeba nam, rzekł — stanąć mu oko w oko, w dostojnym domu, i pokazać że się go nie sromamy. We czwartek będzie on, z mniemaną żoną swą u księżnej, jak nam oto pan Stanisław donosi, pojedziemy i my.

— My? mój ojcze — nie! stanowczo rzekła Aniela — wam ja rozkazywać nie mogę, ale za siebie prosić będę, abym nie jechała — po co? Wstydliwa dla kobiety rzecz uganiać się za przeniewiercą... a dla mnie on już dziś — niczym... Ja go nie znam...

Starzec głową pokiwał. — Ja cię musić nie będę — niezechcesz: nie pojedziesz, co

do mnie, należy mi tam być — będę... Niech się choć zarumieni. Gdybym słowa nie rzekł, będę mu niemym wyrzutem jego lekkomyślności.—

Aniela spojrzała z ukosa na Horwata, który milczał nie śmiejąc rzec słowa.

— Nie powiem żebym wam wdzięczną była — odezwała się, że mi ojca niepokoicie i targacie. — Odchoruje on wizytę jak odchorował owę podróż nieszczęsną, a nam droższe zdrowie nadewszystko. Dla mnie to obojętne... a zemsty w sercu — Bóg widzi — nie mam! Gdyby mógł ojciec córki czasem posłuchać — dodała, prosiłabym go — aby i on dalszych kroków zaniechał.

— Wam świętym istotom — odezwał się Strukczaszy, wolno nie pragnąć zemsty i przebaczyć winę — nam słabym cudzej krzywdy, która serce burzy, zdawać na łosy nie można. Niech mu choć w oczy spojrzę... dość będzie.

— Ojcze — rzekła błagająco Aniela.

— A no, dosyć — każcie gościowi co podać i zostawcie to mnie.

Wstali tedy z ław na ganku i poszli do domu.

Gdy się to działo u Strukczaszego, stary Toboła modląc się a po swojemu rozmyślając nad sprawami ludzkiemi — wlókł się do Żmu-

rek, nie bardzo spiesznie. Dziadzisko miał w sumieniu wątpliwość jakiego rodzaju była sprawa, do której go przekupując użyć chciano. Znaleźli się poczciwi ludziska co go nieco podwieźli, innym wódki kupował, u drugich jak o jałmużnę prosił by mu starych nóg oszczędzili. Dostał się tedy w czas do rodzinnej wioski i z karczmy u której się rozpytał o wszystko pociągnął do syna do dworu. Ludzie wioskowi rozpowiedzieli mu jak tam rzeczy stały; litowali się oni nad panią młodszą, ale czuli już instynktem że ona sobie z takim zawadyaką rady nie da. Od czeladzi na wici przyszły różne plotki, a mianowicie że państwo młodzi cale z sobą prawie nie żyli, że on mieszkał w jednym końcu dworu, ona w drugim, że młoda pani nawet na obiad nie wychodziła, a służącej być przy sobie dzień i noc nakazała, że zresztą ów butny panicz bardzo łagodnie i grzecznie się obchodził z Domcią... ale niemiłosiernie pilnować i doglądać jej kazał, tak że prawie na dziedziniec obcemu wnijść nie dawano...

Dziad się w głowę poskrobał... nie wiedząc co począć... ale do syna pójść do dworu... przecie grzechu nie było. — List z za pazuchy wyjąwszy wsunął stary za podarty rękaw sukmany... Syn jego Piotrek był przy

stajni. Stajnie ode dworu nieopodal wystawiowione... miały jedno wnijście od wielkiego dziedzińca i dostać się do nich nie było można. tylko przerzynając się w poprzek podwórza.

Ledwie most przeszedł Toboła i bramę minął, naprzód go psy podwórzowe opadły i takiego narobiły *larum*, że aż ludzie poczęli z okien głowy wysadzać... Ze psy to sobie dziadzisko rady dać umiało, bo go wszędzie spotkało od nich to samo powitanie; ale tuż poczęto nawoływać go z ganku... Spojrzał i zobaczył pod słupami dorodnego mężczyznę z kresą czerwoną przez łeb, który jak u siebie stał ręce za pas powkładawszy...

— Sam tu, dziadzie.

Stary tedy poszedł na zawołanie.

— Hę! coś ty to za jeden! zkąd?

— Zwyczajnie dziad, obieżyświat, ale ja tutejszy, ze Żmurek, a przyszło się moje dziecko jedyne nawiedzić.

— A gdzież to te dziadowskie dziecko? gdzie? zapytał stojący w ganku.

— Służy we dworze, Piotrek mu imię, proszę jegomości... w stajni...

P. Zbisław — on to bowiem był — popatrzał długo na żebraka... potrząsł głową...

potym dobył powoli z kieszeni trzosika i dał mu — pół talara.

Toboła oczom wierzyć nie chciał. Skłonił się do kolan...

— Niech Bóg płaci... niech odpłaca... niech błogosławi...

— Dawnoście też pewno syna nie widzieli — rzekł gospodarz nowy, słuszna rzecz sercu ojcowskiemu dogodzić — powiedzcie aby go wam zwolnili na cały dzień — a spyta li kto ze starszych, zkąd rozkaz, odpowiecie od tego co ma kresę przez łeb...

Toboła jeszcze raz do kolan mu się skłonił — ale staremu widząc go, tak dla biednych ludzi dobrym serce uderzyło wyrzutem; jednak powlókł się do Piotrka zachmurzony. Sumienie mu wymówiło że nie powinienby zdradzać tak miłosiernego człeka... Poszedłszy do syna i posiedziwszy w stajni, rozpatrzył się zaraz we dworze wprawnym okiem że też tu i do pani samej przystęp był trudny. W rozmowie parobczak mu powiedział że chociaż żadna się jejmości krzywda nie działa... ale srodze ją pilnowano; bez pozwolenia pana nikt dostąpić do niej nie mógł, a chciała wynijść na przechadzkę to zdala były sługi i stróże żeby do nikogo nie przystąpiła. Dziad zważył iż choćby po jałmużnę niby

idąc zbliżył się do niej, podpatrzono by kartę... a wówczas i on i syn by za nią odpokutowali.

Siedział więc pod stajnią, markotny do wieczora, sam nie wiedząc co pocznie, a dziwiło go to bardzo że w ciągu dnia razy kilka owego z kresą czerwoną widział, przechadzającego się tu i owdzie jakby go chciał mieć na oku.

Już na mrok się brało, gdy z Piotrkiem mieli iść na wieś, dziad karty oddać nie myślał, ba i nie mógł; ale go frasowało że słowa nie strzymał... Idąc mijali Zbisława krążącego koło dworu; i już za okopy wyjść mieli gdy gromko zawoławszy na dziada zatrzymał go.

— Słuchaj stary — rzekł wzręcz do niego — coś mi po głowie chodzi, a wynijść z głowy nie może, żeś ty tu nie darmo przyszedł. Jeśli to bałamuctwo, no — toć po ludziach chodzi, ale jeśliby cię do prawdy tu kto wysłał z czym, lepiej mi się zeznaj...

Dziad stanął osłupiały... i mimowolnie zadrżał.

— Widzisz ja — dodał Zbisław, zły człowiek nie jestem — ale prędki jak siarka... Kiedy daję to garścią, kiedy biję to pałką — kiedy kocham to całym sercem, a jak nie-

nawidzę to na życie... Takim mnie matka na świat wydała... to darmo! Jeśli cię tu jaki tchórz wysłał z kartą albo ze słowem, sam się bojąc wleść w moje ręce.. lepiej powiedz... na sumieniu ci lżej będzie.

Tobole w ustach zaschło ze strachu, nie mógł sobie tego inaczej wyobrazić, tylko że Zbisław coś wiedział a próbował go, począł więc drżeć, a oku wprawnemu nie trzeba było wiele by się z postawy reszty domyśliło.

— Masz kartę? zapytał Zbisław...

— Mam! rzekł dziad.

— Kto ci ją dał?

— Jakiś pan w karczmie na drodze.

— I kazał ją oddać jejmości żonie mojej tak, aby nikt tego nie widział...

— A no, tak... ale jaśnie panie.

— Nic ci nie będzie, nie bój się... chodź za mną, zawołał śmiejąc się Zbisław...

Nie bez wahania powlókł się Toboła do ganku — czekaj tu i krokiem się nie rusz... odezwał się szybko gospodarz... i wszedł do dworu. Pokój Domci był w drugim końcu... pan młody zbliżył się do drzwi i zapukał; a nie doczekawszy odpowiedzi, wszedł powoli i skłonił się.

— Jest tu do was posłaniec — odezwał się — od kogo, nie wiem, niepokaźny, bo

żebrak, miał polecenie oddać pismo do rąk pani tak aby nikt nie widział. To było trudno, dopóki choć imieniem jesteś żoną moją listów pokryjomu odbierać nie możesz. Ale ja też cudzych rozpieczętowywać nie będę. Proszę więc wyjść i list sobie odebrać. Tak mało się tego lękam że w papier nie zajrzę...

Domcia która w początkach nie chciała słuchać i siedziała z głową odwróconą, powoli twarz podniosła zasłonioną.

— Ja o żadnych listach nie wiem! rzekła.

— Właśnie trzeba żebyś pani wiedziała, kto się do niej pisać w ten sposób ośmiela. List może paść w cudze ręce... ja tego nie chcę. Dziad żebrak stoi w ganku, przecież wyjść do niego można...

Zawahała się młoda pani, chwyciła za skronie, wybiegła szybko, mąż powoli poszedł za nią. Spojrzała na Tobołę.

— Masz list? dawaj go! kto ci go dał? gdzie?

— Na drodze jasna pani, na drodze... odparł żebrak — ja nie znam tego pana... młody... jasnowłosy...

Domcia chwyciła list, był bez podpisu.

Zbisław stał za nią.

— Ale tu nie stoi żadne imię! zawołała kobieta...

— Trzeba zobaczyć co w środku, wrzucił mąż z cicha. — Zniecierpliwiona po chwili namysłu, z gniewem list ów rzuciła Zbisławowi i odeszła.. Padł na ziemię. Ten podniósł go zwolna, Tobole dał jeszcze jałmużnę i skinął aby sobie szedł, a sam wrócił z papierem za żoną. Siedziała już płacząc w krześle w swoim pokoju, gdy się zjawił z powrotem.

— Cóż mam zrobić z tym fantem, który trzymam w ręku? zapytał uśmiechając się.

— Co się panu podoba!...

— Chociaż nie złamałem pieczęci, czuję że to poczciwy Staszek śle jakieś ostrzeżenie i przyrzeka pomoc jakąś... ale przysięgam pani że to się nie zda na nic... Moim więc zdaniem, ciekawego tu nie może być nic... sądziłbym że najwłaściwiej rzucić to w ogień... bo później gdyby list do tej która nosi nazwisko moje, pisany ukradkowo przez innego mężczyznę tułał się po świecie, mogła by mi przyjść ochota przyszpilić go na piersi winowajcy i spróbować czy w ten cel trafię...

— Panie Zbisławie, obruszyła się Domcia, czyń pan co się mu podoba... czyń co chcesz, ale racz mnie uwolnić od swojego towarzystwa i rozmowy...

— Przecież się nie naprzykrzam... tego mi pani zarzucić nie możesz... Chciałaś mieć służącą nieodstępną, masz ją pani... nie przychodzisz do stołu, jem sam, nie mówisz do mnie, znoszę milczenie... Na uczciwość jestem powolny i grzeczny jak na człowieka znanego z gwałtowności, przezwanego szaławiłą... a któremu pani z dobrą i nieprzymuszoną wolą poprzysięgłaś — posłuszeństwo.

— Pan wiesz że ślub był nieważny!

— Slub —? może, ale przysięga pani... dobrowolna? dla czego?

— Bom przysięgając sądziła żeś pan był wolny... a nie byłeś nim... zawołała mała jejmość perząc się z gniewu.

— Byłem wolny najzupełniej, bo mi panna wróciła pierścionek i słowo, a jeśli ojciec myśli się mścić... to inna rzecz...

— Proszę mnie uwolnić od rozmowy...

— Ale cóż będzie z listem?

— Co pan chcesz...

— Mam go odczytać głośno...?

— Jak się podoba...

— Bo już też ciekawa dla nas obojga rzecz... co pisze? Ale czy pani nie znajduje że uszy służącej może są zbyteczne.

Domcia obejrzała się — nowa sługa wy-

prostowana, wedle rozkazu jej siedziała u drzwi...

— Proszę niech nie odchodzi...

— A ja — mam czytać...

— Nie — to trzeba mieć anielską litość ażeby wytrwać! zawołała kobieta.

— Wie pani, że to prawda — uśmiechnął się Zbiś — oboje wyjdziemy na aniołów... Mam czytać?

Domcia odwróciła głowę do okna i milczała. Zbisław rozpieczętował, z uwagą po cichu odczytał poselstwo i kłaniając się położył je na stole przed żoną.

Obawiając się zapewne aby karty nie schwytano i nie przejęto, Staszek napisał ją nader enigmatycznie, tak że — zaprawdę nie wiele mogła objaśnić tę której była przeznaczoną. Gdy się drzwi za mężem zamknęły, gwałtownie porwała leżący papier Domcia i przebiegła go oczyma. Były na nim te tylko słowa:

„Nie traćmy nadziei — pomoc niespodziewana przybywa. Czynię co tylko mogę, aby wyrwać panią z rąk tego człowieka. — Wytrwaj do końca... wszystko będzie dobrze i wkrótce niewola się ta ukończy...“

Na pozór karta była skończona. Zbisław też więcej nie czytał, Domcia rzuciła ją była na stół, ale jej na myśl przyszło, że na dru-

giej stronie dodanym być coś może... Odwróciła prędko kartę i w istocie znalazła dopisek:

„Jeżeli zechcą byś pani jechała do księżnej, nieodmawiaj, jedź. — Jest to jedyny środek wyzwolenia, księżna z nami. — Jechać potrzeba koniecznie...“

Lice Domci zapłonęło, nie tak może nadzieją wielce niepewną uwolnienia z rąk męża narzuconego, jak tą pociechą dziecinną iż Zbisław został oszukany i listu nie doczytawszy porzucił. Ażeby go drugi raz do rąk nie dostał, podarła w drobne kawałki i rzuciła w komin... potym z załamanemi rękami poczęła zamyślona szybko przechadzać się po pokoju.

W istocie tegoż samego dnia Zbisław odebrawszy zaproszenie od księżnej, przychodził z nim namawiać żonę na te odwiedziny, a Domcia stanowczo, o niczym nie wiedząc, odmówiła... Jakże tu było teraz obrócić to inaczej, jak zmienić postanowienie? a nadewszystko jak rozmowę naprowadzić na ten przedmiot, kiedy dotąd ani słowa do męża nie mówiła?

A jednak od tej podróży miało zależeć wybawienie? Któż to mógł przewidywać? Domcia biegała po pokoju myśląc, projektując,

gniewając się sama na siebie ale nic wymyśleć nie mogąc. Wieczór i ranek tak zszedł i noc i ranek następny. Około południa zapukano do drzwi, wszedł Zbisław. Spojrzał naprzód na stół żeby się przekonać zapewne co się z listem stało... poszukał go oczyma i odgadł podartym w kominie, a potym grzecznie i spokojnie zapytał. — Czyby pani niechciała przyjść na obiad?

— Nie będziemy sami — dodał, jest ksiądz kapucyn z Lewartowa... bardzo wesoły staruszeczek... przecieżby się pani rozerwała... a potym można wrócić do siebie... gdy się pani podoba...

Domcia zawahała się, nie chciała aby ją ludzie widzieli z mężem razem, więc niby zgadzającą się ze swym położeniem, ale z drugiej strony, był to jedyny sposób... w rozmowie przypadkowej, niby od fantazyi dziecinnej zmienić pierwsze postanowienie i oświadczyć że pojedzie do księżnej.

Chwyciła się więc tego środka i zwracając do Zbisława, rzekła z minką pogardliwą...

— Ksiądz Anioł mój stary znajomy... chcę go widzieć...

— Niechże pani przychodzi, będziemy na nią czekali.

Skłonił się i wyszedł.

Pierwszy raz od powrotu do Żmurek — Domcia pomyślała o przebraniu się, bo choć na obiad nie spodziewała się nikogo obcego prócz księdza, zawsze i przed nim nie życzyła sobie wystąpić zaniedbaną, — zresztą któż wie jakim powodowana uczuciem, zawołała służącej aby jej ubrać się dopomogła. Ostatnią oznaką nieukontentowania i smutku było że cała odziała się czarno, ale z tym jej jeszcze piękniej było... Gdy się spojrzała w zwierdziadło aby sobie włoski poprawić, mimowolnie sama uśmiechnęła się sobie. Z dziwnym też uczuciem przeszła teraz puste pokoje... w których była w domu i jakby obcą. Czuła tu jakąś nową władzę panującą nad nią i nad wszystkim, — westchnęła...

Ksiądz Anioł staruszek z siwiejącą brodą, wesół i rumiany, poważny i rubaszny zarazem przywitał ją u drzwi, niemogąc wytrzymać aby dobrodziejce nie powinszować zamążpójścia. Domcia nie śmiała mu nic odpowiedzieć, łza tylko zakręciła się jej w oczkach i westchnęła.

— Moja dobrodziejko, odezwał się ksiądz spostrzegłszy jej wzruszenie — do nowego życia nie od razu się przychodzi, nie bez trwogi serdecznej... Nowe obowiąski, świat nowy... ale czy-

stym sercom Bóg błogosławi... poczciwe i dobrej woli oczyszcza z mętów i gdy się łzami opłacze dola nowa, a modlitwą uświęci... wszystko potym idzie jak na ziemi wlec się zwykło... aby do świętego końca... co daj Boże...

Domcia jeszcze nie zebrała się na odpowiedź, siadła na miejscu które dawniej matka zajmowała przy tym stole, mąż usiadł i domownicy zajęli krzesła. Był to pierwszy obiad w którym występowała jako pani domu... ale nie męszała się do niczego. P. Zbisław wielce zmieniony, zamyślony, poważniejszy niż był kiedykolwiek w życiu, wysadzał się na grzeczności dla żony, których ona cale widzieć nie chciała. Jednakże przy obcych nie mogła się wstrzymać od odpowiedzi choć pół słówkiem i tak pierwsze lody jakoś pokruszone zostały. Ksiądz Aniół baczne na wszystko miał oko, ale udawał że wiele rzeczy nie widzi i nie rozumie. Wszczęła się tedy rozmowa o różnych rzeczach obojętnych, a Domcia zapomniawszy się, kilka razy dorzuciła do niej słówko weselsze... Naturalnie spytano ks. Anioła zkąd jechał i dokąd zamierza...

— Mam zaproszenie do księżnej Jejmości u której bodaj chorego kapelana przez parę tygodni czy nie przyjdzie zastąpić — odezwał się kapucyn.

— Co to za szkoda, podchwycił Zbisław, mieliśmy i my z jejmością dobrodziejką zaproszenie do księżnej na czwartek, bylibyśmy jegomości do powozu wzięli z sobą, a takby się podróż odbyła wygodniej... ale pani moja odmówiła...

Spojrzał na żonę która chleb kruszyła na drobne kawałeczki i po pruszynce go zbierała.

— Bardzo by mi przyjemnie było towarzyszyć państwu — odezwał się ksiądz Anioł... Kawał drogi, po groblach, kości stare, a choć kapucynowi wygódek się szukać nie godzi... jeśli Pan Bóg sam nadarzy...

— Moglibyście panowie jechać sami odezwała się Domcia...

— Nie — ja sam nie pojadę — rzekł Zbisław...

— Ja nie mam żadnej ochoty do podróży — dodała cicho piękna pani, ale doprawdy aby dobremu księdzu Aniołowi który mnie katechizmu uczył, obrazki mi woził... i kwiatki... ułatwić tę drogę nieprzyjemną... gotowam się poświęcić...

— Biorę za słowo — rzekł mąż — to jest ja i ksiądz Anioł — a więc jutro rano jedziemy, ale chcąc na obiad stanąć musimy wyruszyć z domu zawczasu, a konie na prze-

prząż dziś wysłać... stósowne więc do tego rozporządzenie uczynię...

— Ale jakże ja mam dobrodziejce mej podziękować — zawołał kapucyn, doprawdy sam nie wiem... będę się chyba modlił na jej intencyą... proszę wierzyć że z całego serca — a Bóg starego, niegodnego sługi modlitwy wysłucha.

Zbisława twarz błysnęła źle ukrywaną radością, ale tryumfu swojego jeszcze bardzo małego nie chciał okazywać jawniej, a po obiedzie zaraz pod pozorem zadysponowania koni na jutro wymknął się z pokoju. by zmusić Domcię do pozostania i zabawienia ks. Anioła. .

W ganku czekała go niespodzianka miła... przyjechał Barański któremu się już nudziło że długo Zbisia swojego nie widział. Zapomniawszy o wszystkich sporach jakie kiedykolwiek mieli w życiu, uścisnęli się.

— Tyś pewnie nie jadł... rzekł gospodarz.

— A pewnie że nie jadłem, uśmiechnął się przybyły, ale u was po obiedzie, a mnie byle czym naładować żołądek wszystko jedno... zdaje się że głodny trawę bym jadł... daj nieco bez ceremonii u siebie przekąsić... bo mam ci coś do powiedzenia.

Zostawiwszy więc żonę bawiącą staruszka...

gospodarz na prędce i konie i przekąskę zadysponował, a sam pociągnął do pokoju, który sobie wybrał w drugim rogu domu, poczciwego Barańskiego.

Napiwszy się wódki i zakąsiwszy piernikiem, przyjaciel uśmiechnięty stanął naprzeciw Zbisia.

— Naprzód pocałuj mnie na obie strony i podziękuj.

— Za co?

— Nie pytaj a dziękuj...

— Ależ zagadkę mi rozwiążesz...

— Natychmiast — począł Barański, natychmiast... Zdaje mi się żem cię od prześladowania Horwatowskiego raz na zawsze uwolnił...

— Ale ba? czyś go posiekał na drobne kawałki? zaśmiał się Zbisław.

— Nie, to byłby sposób najgorszy, noszono by go potym w sercu jako bohatera i męczennika... do śmierci... trzeba żeby ów zdradził — i — zdradzi.

— Cóż to jest? jakim sposobem...

— Nie wiem po co go licho nosilo w Hrubieszowskie...

— Ale! do Strukczaszego pewnie!

— Być bardzo może...

Nasadziłem na niego w drodze...

— I znowu krzykną na nas żeśmy zbóje...
— Ale — czekaj... pannę! pannę!
— Jaką pannę...
— Znasz Ptasińskich... spytał Barański...
— Dalipan nie przypominam sobie nic a nic... możem o nich słyszał, ale mi z głowy wywietrzało...
— A no, to ci już muszę wszystko rozpowiedzieć. Primo, mówił Barański, bo to grunt że Ptasińscy to herbu Lewart i że szlachta kapitalna, *nati et possessionati*, ale była to szlachta niezamożna aż do ks. biskupa... który synowcowi a ojcu żyjących Ptasińskich zostawił fortunę magnacką...
— Ale wiem, wiem... fortunę znam... zawołał Zbisław... mów dalej.
— Żyjących Ptasińskich jest dwoje, brat i siostra... Czyś nigdy nie widział brata? Nie — niemasz co żałować, dobry człek, ale szepleni wszetecznie, i niespełna rozumu... tak że go jak dziecko pilnować potrzeba, bo go każdy oszuka kto zechce... głupiusieńki. Ale głupota serdeczna... ściska, płacze... całuje, ślini... przysiada się, przyjaźni i za trzecim słowem gotów dać wieś w dożywocie... Za to siostra jego Urszula, prawda nieładna, niemłoda, ale rozumu ma za dwoje, a że braciszkowi ożenić się nie dała, więc w

przyszłości milionowa partya. Tylko że te miliony okupić trzeba nieustannie piastując pana Waleryana brata, i poddając się despotyzmowi starej panny która do rządów nawykła... Długi czas rozmiłowana w swej swobodzie panieńskiej panna Urszula za mąż iść nie chciała... teraz jej słyszę przyszła fantazya znaleść sobie męża i z imieniem... a młodego... Jestem trochę krewny Ptasińskich, przyszło mi na myśl podstawić Urszulkę Horwatowi... a jej jego... Że jemu o podźwignienie się chodzi... chwyci pewnie wędkę złotą... a panna go nie puści byle raz był w rękach... Myślę że Horwatowi miłość i bieganina po kątach się znudziła... Nastawiłem więc tak sieci że jadącego z Hrubieszowskiego Staszka złapano... i pewny jestem że gdy mu tam błyśnie nadzieja bogatego ożenku... da waści pokój.

Uścisnął rękę przyjaciela Zbisław.

— Wiesz co, odezwał się — dalipan rozum i przebiegłość z latami przychodzą... jak cię kocham, tak osnutego planu po tobie się nie spodziewałem. To arcydzieło... Myślałem że Staszka gdzie posiekać zechcesz, albo go otruć... a to na nic... Jeśli go ożenisz z Urszulą... no... *Centum laudes*... ale cicho. Czy go tylko złapali.

— Ja się tam pokazywać nie mogłem bo mnie jako twojego znają, rzekł Barański — ale to wiem że chłopaka poczciwy pan Waleryan ułapił i do domu wciągnął...

— Czy go potrafią zatrzymać?

— Na to tam postawiłem *qua* rezydenta, kogoś z mojej ręki co będzie te rzeczy popędzał... ale cyt...

— Cyt... powtórzył Zbisław śmiejąc się — zdaje mi się że to ze wszystkiego najlepsze... Kobieta daruje winy inne, ale sprzeniewierzenia się nigdy — teraz, gdyś podjadł i wygadał się pójdziemy do kapucyna i mojej żony, a nuż ich tam jeszcze znajdziemy...

— Chodźmy...

Barański choć był po podróżnemu, otrząsł się z pyłu, pokręcił wąsa i poszli. W istocie Domcia znudzona samotnością nie zbiegła była jeszcze do swojego pokoju, zastali ją na żywej rozmowie z ks. Aniołem, który — jak się zdało — pragnął ją uspokoić. Gdy weszli naturalnie rozmowa się przerwała. Barański wesół umiejący sobie dać radę, zręczny, pozdrowił panią, która mu milczącym odpowiedziała ukłonem... i jakby nigdy nic — wdał się w rozmowę prowadzoną bardzo zręcznie tak, by do niej pani mięszać się musiała. Po razy kilka chciała wychodzić już,

umiał ją, nie dając poznać że to czyni umyślnie — zatrzymać. — A że mu na konceptach i własnych i cudzych nie zbywało, choć kobiecina pragnęła być smutną i nieszczęśliwą, mimowolnie kilka razy ją rozśmieszył. Gniewała się za to na niego i na siebie. — Barański zaś widząc że Zbisławowi tym dogadza, podwajał i sadził się na opowiadanie i koncepta. Były one tak przytym niewinne że starowinę ks. Anioła nawet w dobry humor wprawiły. Jakoś się to aż do podwieczorku przeciągnęło, a Domcia powiedziała sobie że znowu niema konieczności od towarzystwa uciekać. Zbisław trzymał się z dala nie narzucając do zbytku — śledził skinienia i odgadywał myśli. Na nieszczęście tylko jak to bywa w razach podobnych — im mniej mu teraz miała do zarzucenia tym się nań więcej gniewała Domcia, bo by chciała mieć powody do nienawidzenia go, a tych właśnie znaleść nie mogła...

Przeciągnąwszy do wieczerzy wesołą pogadankę Barański... przy stole siadł obok gospodyni i choć mu z razu mało co odpowiadała. potrafił ją wyprowadzić na słowo... W ostatku gdy do dobrej nocy przyszło, rozeszli się w bardzo wesołych usposobieniach i Domcia odeszła do swojego pokoju w cale

innym usposobieniu niżeli tu przybyła. Wprawdzie wpłynęło na to że się jej nieznacznie udało podróż o którą wiele jej chodziło — nie dając żadnego pozoru — doprowadzić do skutku, ale i rozmowa i kilka godzin roztargnienia wiele złego humoru rozpędziły...

W progu pokoju już na wyślizganiu się... Zbisław tak się dopilnował że na dobranoc zażądał ręki do pocałowania. Byli obcy ludzie, Domcia odmówić chciała, nie wypadało, co zresztą znaczy że ktoś w rękę pocałuje?... dwa razy wysunęła i tyleż razy ją cofnęła, w końcu już prawie machinalnie dała do ust przycisnąć.

— Były dla mnie lepsze czasy, kiedyś mi pani nie skąpiła tak rączki — a dziś gdy choć do tego przynajmniej mam cokolwiek prawa... tak mi wybłagać ciężko... Westchnął, Domcia zapłoniła się i uciekła...

Nazajutrz rano wszyscy byli gotowi do podróży, Barański namówiony towarzyszył im... W głębi powozu dano miejsce pani i staremu kapucynowi... na przedzie siedli pan Zbisław i Barański. Choć Jejmość manewrowała tak, żeby nie mieć męża przed sobą, nie potrafiła przecież jego zabiegom zapobiedz. Usadowił się tak, aby jej patrzeć oko w oko... Ale czy to skutkiem rannego wstania, czy roz-

mysłów nocnych, czy wspomnień dnia wczorajszego, który sobie wyrzucała młoda pani, była w bardzo złym humorze. Gniewała się na siebie szczególniej za tę rękę daną do pocałowania.

W drodze dała się śmiać, gawędzić, paplać wszystkim, kapucyn modlitwy odmawiał, ona milczała uparcie.

Może też ta zagadkowa przyrzeczona pomoc księżnej wprawiała ją w takie usposobienie.

Księżna uwiadomiona przez posłańca o przybyciu, oczekiwała z obiadem na który się nieco spóźnili. Gdy zajechali przed ganek pałacowy służba w barwie odświętnej czekała już tutaj, dworzanie, marszałek dworu..... a w sali jadalnej przez którą przechodzić trzeba było, sama księżna ubrana bardzo ładnie, w klejnotach, w koronkach, wybielona, uróżowana, aby się przy młodej pani lepiej wydała... A mogła nawet świeżo wyglądać, bo biedna Domcia była blada, oczy miała wypłakane, usta przykro zaciśnięte... znać w niej było nieszczęśliwą ofiarę..

Ponieważ na dworze godziny obiadów i wieczerzy bardzo były ściśle oznaczone, prawie zaraz po przywitaniu księżna pani spojrzała na kameryzowany zegareczek i kazała

dawać do stołu... sadzając obok siebie panią młodą...

Stół, mimo że prócz przybyłych obcych nie było z rezydentami, plenipotentami, dworzanami i mniej oznaczonych funkcyi ichmościami różnego kalibru... liczył do trzydziestu osób.. Mówiono ciągle... ale w tej rozmowie począwszy od pogody, nowin dworskich, procesów w trybunale, sąsiedzkich plo eczek nic tak bardzo ciekawego nie było. Nie przeszła ona jednak bez katastrofy...

Już wszyscy miejsca zajęli i zupę rakową rozdawać poczęto... rezydenci pozatykali serwety pod brody, brzęk łyżek słyszeć się dawał, a piwniczy z butelkami pod pachą poczynał pierwsze nalewać kieliszki, ażeby dla konkokcyi zaraz po zupie każdy miał pod ręką swą porcyą, — gdy do sali wszedł — widocznie opóźniony ogromny drab, dworzanin i *amanuensis* księżnej, figura pocieszna z długą twarzą, młodą prawda ale niełądną i ostro do góry najeżonemi włosami. Zwano go Żaglem, był z Litwy. gdzie Żaglów rodzina stara niegdyś nawet była można. Jednego z nich czcigodnego prałata jest nagrobek w katedrze wileńskiej.

— Gdzieżci waćpan bywał panie Żagiel, spytała księżna, że zawsze spóźnić się musisz?

— Ale ja proszę W. Ks. Mości, odparł bardzo śmiało chłopak — od dwóch dni polowałem u Chorążyca Ptasińskiego... ledwiem co powrócił...

— U Chorążyca .. toś waćpan może do Chorążanki się zalecał! zażartowała księżna.

— Ale ba, M. Księżno, żwawo odrzucił Żagiel — już by to było za późno, bo tam bodaj pan Stanisław Horwat dobija dziś targu...

Nic pan Żagiel nie wiedział o stosunkach gości. ba może o ich nazwiskach, tylko co przybywszy, nie pytając kto był, obmył się, odział, a że mu o dobry obiad szło, podążył do zupy. Wymówił to więc bez intencyi... Ale zaledwie pochwyciwszy uchem te wyrazy i nazwisko, pani młoda zbladła jak trup... zachwiała się i zdawało się że padnie zemdlona. Szczęściem że księżna dostrzegła zawczasu wrażenia, podstawiła szklankę z wodą, zakrzątnęła się... reszty wstyd dokonał i omdleniu zapobieżono, ale Domcia drżała cała... siedziała jak trup. Nieszczęśliwy Żagiel, który chciał się uniewinnić i zabawić, począł rozwodzić się nad Ptasińskiemi, nad Chorążanką i nad konkurami Horwata, którego tam bardzo miano serdecznie i oburącz przyjmować.

— Ani chybi że on się tam ożeni — dodał w końcu. Chorążanka już nie puści, a fortuna pańska, a chłopak ubogi...

Ktoś siedzący obok przez miłosierdzie trącił Żagla łokciem raz i drugi, że przecież dał pokój, choć nie wiedział za co go admonicya spotkała.

Zamilkli tedy wszyscy, ktoś rzucił w rozmowę ową malowaną piłkę lekką którą sobie łatwo potym podają obojętni współbiesiadnicy... Domcia zaczynała przychodzić do siebie, gdy przed oknami sali jadalnej właśnie wychodzącej w dziedziniec mignęły konie zhasane i bryka...

Natychmiast jeden z rezydentów wstał, zrobiono miejsce nim jeszcze dowiedziano się kto przybywa i wszystkich oczy zwrócone były na drzwi, gdy w progu ukazała się poważna postać Strukczaszego w paradnym stroju, kontusz na wyloty, żupan niebieski atłasowy, pas złocisty i buty kurdybanowe czerwone... Przystanął, nieco stary, wąsa pokręcił, oczyma zmierzył zgromadzenie... Księżna się podniosła nieco, podszedł ku niej i ze staroświecka zniżając się do ucałowania ręki, rozpoczął nieuchronną oracyą.

— Z dawna już spragniony byłem zaszczytu złożenia hołdu mojej czołobitności u

stóp W. Ks. Mości, której rodziny dostojnej zawsze ja i moi byli najwierniejszemi sługami; więc też miło mi dziś dopełnić najgorętszych serca życzeń i submittując się tu wyrazić mój głęboki szacunek...

Reszta zginęła w niewyraźnym mruczeniu, Księżna przewidująca komplikacyą nieprzyjemną, drżącą ręką wskazywała miejsce Strukczaszemu, które właśnie przy panu młodym przypadało, ale stary odmówił.

— Przebaczysz mi W. Ks. Mość, że do jej stołu nie siadę... acz bym to sobie za zaszczyt w innym razie poczytywał... ale nie chcę spokoju zakłócać, bo bym tu starym obyczajem obrus porzezać musiał...

— Czy przedemną? spytał śmiało Zbisław.

— Tyś rzekł — odparł Strukczaszy... za przecherę cię mam... a z takimi do stołu nie siadają ludzie co słowo całe życie dotrzymywali...

— Na miłość Bożą, panie Strukczaszy, dla mojego domu, proszę cię...

— Milczę przez respekt — odrzekł stary, ale do stołu nie siądę...

Zbisław podniósł głowę śmiało.

— Szanujemy oba ten dom — zawołał — więc nie w obronie mojej, ale czcigodnego domu J. O. Księżnej pani zmilczeć nie

mogę. Jest nas tu siła... biorę panów dobrodziejów i samę Księżnę dobrodziejkę osobliwszą za sędziów mej sprawy, bo się jej głośno przed jaki bądź sąd wytoczyć nie waham...

— Panie Zbisławie, przerwała księżna — proszę się nie unosić!

— M. księżno, mówię i mówić będę spokojnie – dodał Szaławiła. Nie jestem ja bez grzechu jako człowiek — ale w tym razie winy w sobie nie czuję. Starałem się za przyzwoleniem pana Strukczaszego o córki jego Anieli rękę, miałem pierścień i przyrzeczenie, dałem słowo — nie przeczę, ale mi pierścień i słowo powrócono, a zatym byłem wolny.

— Ojciec słowa nie wrócił — rzekł surowo Strukczaszy.

— Bom ojca nie widział już, gdy mi mój pierścień w oczy rzucono, dodał Zbisław. I za to zatruto mi małżeństwo, w którym szukałem spokoju... i...

— Sprawa w konsystorzu się toczy... zawarczał starzec... tam ją sądzić będą...

— A więc możemy obrusów zawczasu nie rzeżąc zaczekać na wyrok... rzekł Zbisław.

W czasie tej śmiałej mowy pana młodego oczy wszystkich były nań obrócone... i przy-

znać potrzeba że jego proste tłumaczenie jakoś do wielu przekonań trafiło.

Księżna przerwała rozprawy kładąc swoje veto... Prędko na jej skinienie staremu przyniesiono osobny stoliczek nakryty i podano jedzenie... goście poczęli zagadywać i spór utonął w gwarze.

W czasie tego nowego wypadku, Domci oczy się iskrzyły, wargi drżały, ale kilka razy ukradkiem rzuciła wzrok na Zbisława i znalazła go nie tak wstrętliwym jak chciała. Sama dobrze nie wiedziała czym i jak ją rozbrajał, to pewna, że mniej doń miała gniewu, a na Strukczaszego za to przerwanie obiadu prawie się dąsała...

Słudzy księżnej byli nader wytrawni ludzie, kamerdyner zgadywał skinienia, nie dziw więc, że na rozkaz wydany nieznacznie przyspieszono podawanie półmisków, którym szary koniec tylko głodny i gotów zajadać bądź co bądź zadał cios śmiertelny. Najdostojniejsi goście prawie ich nie tknęli... Strukczaszego bawiła księżna... a gdy chwila wstawania od obiadu nastąpiła, jakoś tak znacznie pokierowano procesyą, że się strony wojujące w pochodzie z sobą nie zetknęły. — Główny plenipotent gospodyni pan Rejent zabrał pod swą opiekę Strukczaszego, pułkownik Żyrski re-

zydent ujął Zbisława, rozprowadzono ich po osobnych pokojach i tak groźne wystąpienie starego wprędce przebrzmiało, dostarczywszy tylko do długich gawędek i śmiechów obfitego materyału.

Zbisław szczególniej, mimo żywości charakteru znalazł się z flegmą i zimną krwią jakiej się po nim nie spodziewano... Powszechnie nawet brano jego stronę, a ze starego procesowicza uśmiechano się po cichu, tak że w kłopotliwym będąc położeniu i dalej nie mogąc się posunąć, wkrótce oświadczywszy księżnie iż powróci później, wyniósł się w odwiedziny do miejscowego księdza Infułata.

Księżna odetchnęła a skorzystawszy z bladości Domci i jej zakłopotania wzięła ją pod rękę uprowadzając do swego pokoju.

Z bijącym sercem weszła do niego młoda kobiecina, której wielki takt księżnej, jej postawa, mowa i sposób znalezienia się wielce imponowały. Księżna siadła na kanapce, mieszcząc ją koło siebie.

— Uspokójże się moja kochaneczko, rzekła... nie płacz... nie desperuj... a opowiedz mi szczerze i otwarcie, w czym ci ja dopomódz i usłużyć mogę. Mówiono mi, że nie kochasz męża i żyć z nim nie chcesz... ale... proszęż cię, pocożeście do ślubu dopuściły?

— A! MKsiężno! zawołała Domcia, i ja i matka byłyśmy pewne że przed ślubem zajdzie protestacya... i że go wcale nie będzie... tymczasem Strukczaszy się opóźnił... nie było sposobu cofnąć się i ten nieszczęśliwy ślub, nieważny... dano.

— Ja nie wiem czy nieważny — cicho rzekła księżna, to konsystorz rozsądzi. Potrzeba w konsystorzu się starać... A tymczasem... jesteś z mężem, mieszkacie razem... jeździcie...

Księżna umilkła potrząsając głową.

— Ja całą moję pokładam w pani nadzieję — ozwała się Domcia składając ręce — proszę mi wierzyć... jam bardzo nieszczęśliwa...

I rozpłakała się biedna, księżna ją tulić zaczęła.

— Powiedzże mi, kochasz tamtego? spytała.

— A! od dawna...

— Masz wstręt do Zbisława?

— Ja się go boję.

— A! to dobry chłopak! ja go znam. ty byś go za nos doskonale prowadzić mogła, bo on się w tobie k cha — dodała gospodyni. Prawda że to sercu nakazać nie podobna — prawda że Staszek chłopak ładny,

ale na całe życie, gdzie trzeba opieki, opiekuna, gospodarza... powiem szczerze, wolałabym już takiego jak Zbisław człowieka. Staszek miły być może ale rozlazły i bez energii. Jakże mógł opuścić ciebie, dopuścić do ślubu? być tak niezręcznym? Czemu nie wyzwał, nie bił się, nie umiał cię bronić?

Domcia westchnęła ciężko, pomyślała że w istocie księżna miała trochę racyi.

— Zresztą, mówiła gospodyni patrząc na młodą kobiecinę z pewnym rodzajem politowania, słyszałaś z czym się p. Żagiel wygadał niepotrzebnie przy obiedzie... wszak to ten wierny wasz Staszek stara się o Chorążankę? Ja ją widuję w kościele na odpuście, a czasem tu u mnie z bratem bywają, to czysty koczkodan, straszydło — ale że będzie bogata... gotów i tam do spódniczki jej się przyczepić.

— A! ci mężczyzni! zawołała z gniewem wśród łez wybuchającym Domcia, to są wszyscy zdrajcy, i...

— Moja droga — odparła księżna — i oni są nie dobrzy i my czasem nie najlepsze... Ludzkie to sprawy... Ale powróćmy do rzeczy i mówmy rozumnie. Z tego całego protestu Strukczaszego w konsystorzu nic nie będzie, ślub był dany... Konsystorz go potwierdzi...

Twój Staszek weźmie Ptasińską... a ty, moje dziecko... zostaniesz ni panną, ni mężatką...

— Ale ja go kochałam...

— To właśnie największe nieszczęście — ozwała się księżna — bo choć dobry chłopak, ale tego był niewart. Co mi za mężczyzna który kobiety obronić i zdobyć nie umie kochając? Lamentuje, łata, prosi, podszczuwa i intryguje... a sam na żaden stanowczy krok się nie zdobędzie! — Niemogąc już inaczej nic dokazać, przyleciał do mnie z prośbami, z lamentami zaklinając abym cię zaprosiła z mężem i — zatrzymała. Mówię szczerze, bo kobieta z kobietą trzymać musi i jedna drugą wspierać... Chcesz się zostać? Chcesz męża porzucić? A co będzie dalej? Mów... rozmyśl się.

Domcia aż położyła się na stoliczku przed kanapą, tak się jej na płacz zebrało.

— Ach! pani moja, odezwała się — radź jak matka kiedy matki niema — co ja pocznę! Czy mam się poświęcić dla tamtego czy...?

— Radź się serca, moje dziecko. Jeśli sądzisz że z tamtym będziesz szczęśliwą.

— Sądziłam dotąd...

— Jeśli masz najmniejszą teraz wątpliwość, wierz mi, trzymaj się tego co jest, a nie rób

ofiar dla człowieka który jest zagadką i zawieść cię może.. Twojego męża ja znam dobrze, był u nas na dworze, patrzałam jak dorastał... zwali go i zowią Szaławiłą... prawda! szalona pałka... bić się, rąbać, awanturę zrobić — nawet jej szukać — o to u niego nie trudno — ale — moja duszko, potrzeba znać ludzi... Piwo co się tak wyburzy i wyszumi, najlepsze... Ty z niego teraz łagodnie, powolnie dobrocią zrobisz co zechcesz, będzie ci służył na dwóch łapkach. Tamtemu zaś, blondynkowi, kto wie czy byś ty nie potrzebowała służyć całe życie i czyby cię kaprysami nie zamęczał. Ja znam te natury męzkie miękkie i pieszczone, rady sobie z nimi dać nie można, a ci Samsonowie co oślą szczęką biją Filistynów, śpią potym na kolanach dobrodziejki w najlepsze.

Powoli główka Domci podnosiła się od stolika, z oczek łzy osychały, słuchała z uwagą, zamyślona, widocznie ważąc co ma zrobić.

— Zbisław brzydki nie jest... serce ma dobre, burzliwy, prędki ale jak proch spali w momencie i niema nic... Gorszy ten co kawęczy i nudzi bez końca... Ale, jak sobie chcesz moje dziecko... ja nie namawiam na nic, czyń co ci się podoba...

Domcia wstała i zaczęła z założonymi rękoma chodzić po pokoju... Księżna przyglądała się jej z zaufaniem... Śliczna była drobnymi kroczkami biegając po pokoju... a nawet królicze oczki czerwone od płaczu, jakoś jej nie szpeciły. Załamawszy dłonie stanęła przed księżną.

— A, pani, dobrodziejko moja... gdybym ja choć wiedzieć mogła — odezwała się cicho — czy doprawdy Staszek stara się o Chorążankę... bo gdyby to była prawda... gdyby... a! o! wówczas nie wahałabym się podać ręki Zbisławowi... Cóż mam robić nieszczęśliwa...

— Czekajże! cicho! sza! moje dziecko! Ja was dziś a może i jutro ztąd nie puszczę... zatrzymacie się u mnie. Sądzę że ani pan Zbisław, ani ty moja droga... nie będziecie się na to skarżyli... ja wyślę w sekrecie Żagla do Ptasińskich, on nam języka przyniesie.

Domcia zarumieniła się i w chwili gdy Księżna miała wychodzić już, żeby urządzić wszystko, pobiegła ją w rękę pocałować, coś szepnąć nagląco do ucha, prosząc... i kryjąc oczy z jakiegoś wstydu... Księżna zaczęła się śmiać, popatrzyła na nią, ruszyła parę razy ramionami... po tym dodała... — Ale dobrze,

ja cię wezmę do siebie... pan Zbisław zajmie dawne mieszkanie w oficynie...

To powiedziawszy Księżna pani którą cała ta historya bawiła... kazała przywołać Żagla, a ten się natychmiast przystawił z dobrą fantazyą.

— Słuchaj Żagiel, ozwała się pani — ja wiem z góry że mi się będziesz od tego wymawiał — ale ja ci rozkazuję. Pojedziesz dziś jeszcze do Ptasińskch... i przywieziesz mi języka co się z Horwatem stało. — Jeśli możesz — rzekła po cichu — pomóż trochę ażeby się sobie z Chorążanką choć zaręczył. Ty tam jesteś dobrze w domu... Dam ci źrebca ze stajni jak go ożenisz...

Żagiel się rozśmiał i ramionami dźwignął.

— Ale szpakowatego chyba... dodał skrobiąc czuprynę.

— No — dam ci szpaczka... rzekła księżna rękę mu podając do pocałowania, którą on długo zatrzymał.

— Ale mój koń zhasany...

— Weź parę ze stajni... siadaj i jedź. Żagiel jeszcze raz pocałował, westchnął, powtórzył: — ale szpakowatego — i zniknął.

Księżna o mroku wróciła z Domcią do salonu, spodziewała się tam jeszcze przejścia

przykrego ze Strukczaszym, tego wszakże zręczny marszałek dworu, dawszy znać ks. Infułatowi, — potrafił na ten dzień usunąć. Konie państwa Zbisławowstwa były zaszły... gdy księżna po książęcemu nie prosząc nawet rozkazała im powrócić do stajni.

— Zostaniecie państwo jaki dzień u mnie, odezwała się do Zbisława, ani chcę słuchać by było inaczej... Spojrzał pan młody na Domcię, która pokornie oczy miała w dół spuszczone... skłonił się widząc że żona nie przeczy.

Zostali więc, ale pan mąż nie wiedział wcale o tym że księżna mu żonę do siebie zabrała, gdy przyszło dawać — dobranoc...

— Niemam gdzie moich kochanych gości postawić, odezwała się mrugając oczyma do Zbisława... w domu reparacye, do oficyny przechodzić niewygodnie... więc Domcię biorę do mnie, a pan Zbisław na starą pójdzie kwaterę.

Dosyć kwaśną z tego powodu minę zrobiwszy pan młody, pożegnał żonę pocałowaniem ręki, której mu ona odmówić nie mogła i poszedł na dawne mieszkanie, gdzie też i dawne obyczaje sobie przypomniał. Młodzież dworska go oskoczyła i jak siedli pić a grać z wieczora, pili a grali do białe-

go dnia. Zbisław trupy pozbierał, przekładał na tapczanach i sianie, a sam wykąpawszy się w zimnej wodzie, zupełnie przytomny położył się spać jakby naczczo.

Następny dzień upłynął podobnie do pierwszego; ta tylko zaszła zmiana w obejściu się Domci z mężem iż po kilkakroć sama doń przemówiła... odpowiedziała na jego pytanie i nie boczyła się tak widocznie jak wprzódy.

Wieczorem Księżna która miała wiele taktu i doświadczenia starała się ich zbliżyć do siebie... a powiodło się to jej dosyć, bo zbytecznie nie nagliła i nie żądała rzeczy nadzwyczajnych od razu... wiedząc że i Kraków od razu nie zbudowany. — Przez parę dni pobytu tego Zbisław zyskał bardzo wiele, i nie wątpił teraz że ostatecznie Domcia się ku niemu skłoni. Zabawna rzecz! było to coś nakształt starania przedślubnego po ślubie, pan młody grał rolę usłużnego i troskliwego kochanka, żona nieco zimnej i wyczekującej panienki... która serce oddać się waha.

My tymczasem towarzyszyć będziemy panu Żaglowi do tego domu w którym nieszczęśliwy Staszek, trochę znużony krzątauiną nadaremną dał się tak na lep złowić. Nie uczynił tego bez wielkich zgryzot sumienia, bez wahania i walki, ale z każdym dniem

przekonywując się mocniej że ze Zbisławem gra, nawet przy pomocy księżnej będzie trudna... osłabł biedaczysko i zdał się na losy...

Powiedział sobie jak nie jeden — że śmierć i żona, przeznaczona... Na pociechę mu owa bobdanka miała ogromną fortunę...

Nieboszczyk Chorąży synowiec biskupi i spadkobierca jego majętności z tłustych prebend i opactw zebranej, mimo praw kanonicznych tyczących się kumulacyi beneficyów — jak wielu innych dorobkiewiczów w końcu XVIII wieku dobiwszy się posiadłości, postawił sobie pałacyk w owym stylu wieku który miał pretensye do klassycyzmu... a nie miał sztuki pojęcia. Było to więc pokaźne. niewygodne, błyszczące, zimne. zaciekające, ale na oko pańskie i zwało się pałacem. Chorążanka i chorążyc odziedziczywszy to pudełko mieszkać w nim musieli, a Ptasiński ów szepleniący i głupkowaty miał prawdziwą pociechę oprowadzać każdego z gości po splendorach swej rezydencyi. Ledwie wysiadł gość, uśmiechnięty gospodarz brał go pod rękę a wyściskawszy... wiódł chwalić się pałacem.

— Wasibździej — mówił szepleniąc — nie wiziales mojego palacu... plosę zobacyć! Splendory... Oto jest sala malmulyzowana...

I stukał palcem w ścianę... To jest falc — malmul, ale jak plawziwy malmul... To duzo kostowalo... o! duzo Lustla... to weneckie!... A to galelia dla muzyki.

I pokazywał ręką na ręku granie na skrzypcach. — Dalej wiódł do sali jadaln j, tłumaczył obrazy, robił inwenturę mebli. opowiadał gdzie które były kupione... Najmilszą jego zabawką było to niewinne popisywanie się domem.

Dobry człeczyna, głupiusienki, zawojowany przez siostrę. robił to co mu pozwalano, ze wszystkiego był zadowolniony i wzdychał tylko do jednej rzeczy — do orderu Św. Stanisława... Więcej już nic sobie w świecie nie życzył.

Panna Urszula zupełnie wyglądała inaczej, ona była właściwie gospodynią, panią, rządzcą, kasyerem i zajmowała się wszystkim za co chorąży tak jej był wdzięczny iż mowiąc o niej ręce podnosił do góry i jak bóbr płakał.

Powierzchowność dobrze nie młodej panny Urszuli powabną nie była — silnie zbudowana, ogorzałej płci, rysów twarzy męzkich, z małym wąsikiem nad wargą, kilką brodawkami ciemnemi, zamaszystym swym chodem i grubym głosem... przypominała więcej grenadyera

niż dziewicę na wydaniu. Ale przy wzroście słusznym miała kibić zręczną, nóżkę i rączkę małą, włosy prześliczne i gdy się starannie ubrała, co się jej nie często trafiało — bardzo wyglądała poważnie. Zdrowie jej służyło wybornie... lice było rumiane, zęby białe... apetyt doskonały, a kieliszeczek starego wina cale jej nie szkodził. Za to brat często z powodu fluksyi miał obwiązaną twarz i w uszach stosy bawełny... a z pod żupana wyglądał mu kaftanik łosiowy którego zimą i latem nie zrzucał...

Staszek z wielu względów podobał się pannie Urszuli — był ładny, młody, łagodny, bojaźliwy, miękkiego serca — cicho mówił, kłaniał się zręcznie i zdawał się mieć wszelkie niezbędne kwalifikacye na męża pod pantofel. Przytym imię było piękne, mitra nad herbem, kolligacye znakomite, szlachectwo stare i pewne... Gdybyśmy powiedzieli że się panna Urszula w nim zakochała, gotówby kto nie wierzyć — tymczasem dziwnie się to czasem trafia... to pewna że jej biło serce i oczy jakoś wilgotniały gdy na Stasia patrzała i ręka jej drżała gdy się do niej ustami dotknął. Zaraz nazajutrz panna Urszula miała potajemną naradę z bratem, z którym, jakeśmy mówili, czyniła co się jej

podobało. Gdy Horwat odszedł do gościnnego pokoju, wsunęła się panna Urszula do kancelaryi Chorążyca. Zastała go klęczącego przed obrazem matki Boskiej ze złożonemi rękami i modlącego się głośno. Modlił się zaś głośno dla tego że po cichu zapominał zawsze modlitwy, i w kościele nawet, Ojcze nasz odmawiał w ten sposób: — Ojcze nasz — co chciałem mówić — któryś jest — co chciałem mówić... itp

Dokończywszy modlitewki Chorążyc przybiegł drobnemi kroczkami do siostry. — Co kochana moja, dloga klólowa lozkaze.

Panna Urszula z ogromnym westchnieniem padła na krzesło, uderzając ręką po poręczy...

— Mój drogi bracie — chciej mnie posłuchać z uwagą.

Chorążyc złożył ręce jak do modlitwy, stanął i rzekł przestraszony:

— Oj! oj! coś to stlasnego! slucham...

— Znasz moje życie, poświęciłam je dla ciebie... zmarnowałam najpiękniejsze lata chcąc ci oszczędzić trudu...

Tu zaczęło jej się zbierać na łzy, a Chorążyc skłonny do płaczu, szlochał zasłaniając oczy.

— Ale cóż ja na to poladzę!

— Ja wreszcie muszę raz pójść za mąż!

— Selce, dusko... a cóż ja niescęsliwy pocnę! co ja pocnę! ja psywykłem do ciebie Ulsulko...

— Mąż może mieszkać z nami...

— A! to będzie paladnie! niech on mieska z nami! ja się na wsysko zgadzam! ja go będę kochal... ja jego będę sluchal... niech on mieska z nami, ale kogoz ty chces za męza?

— Mnie się Horwat podobał.

— A! i mnie się dusko — balzo, balzo Holwat podobal... I owsem... to dobly chlopiec...

— Ale ty Chorążycu nic nie potrafisz, ty sobie rady nie dasz. Inny brat, mówiła panna Urszula, wiedziałby jak siotrze w tym usłużyć... tyś dobry... ale...

— Ulsulko! klólowo moja — odezwał się Chorążyc — to ty mów — a ja złobię — ty wies ze ja ciebie slucham... bo ja jestem... co chcialem mówic — dobly blat.

Panna Urszula wzdychała ciągle...

— Tymczasem, rzekła, tylko to zrób żeby Horwata z domu nie puszczać aż się oświadczy.

— A jak się nie oswiaccy?

— Ale musi.

— No, to kiedy musi... to dobze. Cy ty

chces żebym ja jemu powiedział że to nic nie pomoże a musi?

— Daj pokój, nie mięszaj się do niczego — ale bądź z nim dobrze i nie puść go z domu, ja resztę biorę na siebie.

— Moja klolowo! ty wies że ja posłusny! Pocałował w rączki siostrę, wziął od niej dyspozycyą... i konferencya wieczorna na tym się skończyła... Miał jednak tak dalece na sercu interesa panny Urszuli poczciwy brat, że niespokojny aby się czasem co nie chybiło, kazał zaraz do siebie przywołać rezydenta, wielkiego faworyta i pochlebcę, który totumfackim był przy dworze, zabawiał go, służył, śmieszył i trzy lata już przy Ptasińskich wisiał. — Zwano go przez grzeczność panem Pisarzem, choć pono pióra dobrze w ręku trzymać nie umiał, flintą za to dobrze władał, szablą paradnie, myśliwy był, bibuła i na kuferku w pokoju panien siadłszy całe dnie panny respektowe i służące piosnkami zabawiał... Zresztą niemiał innego zajęcia nad przypodobanie się chlebodawcom, które wyżlim sposobem wykonywał. — Uśmiech nigdy mu z ust nie schodził, giął się w pół gdy mówił do Chorążyca... na skinienie panny Urszuli gotów był w ogień i wodę, ale za to jadł i pił za czterech. Ten nieszczęśliwy żo-

łądek zmusił go do rezydencyi na bogatym dworze, bo lada czym głodu niemógł zaspokoić. — O zakład zjadał dwie pieczenie cielęce, wazę barszczu i misę bigosu na jedno danie... Indyk stary postawiony przed nim znikł w pół godziny tak że oprócz świecących kostek, ogryzionych *con amore*, nic z niego nie pozostawało. Chleba inaczej jak pół bochenka nie dawano mu do stołu. Pił jak piasek suchy... co napadł, nie doznając żadnych złych skutków — wody tylko znieść nie mógł, znajdując ją mdłą i dla gęsi stworzoną. Piwo, wódka, wino, miód wszystko mu było jedno byle w dobrym towarzystwie. Sam na sam nie lubił pić.

Zawołano pisarza, który już pono był na pół rozebrany, ale gdy chłopak do niego przybiegł w mig się odział i poskoczył.

— Mój dobrodzieju, Chorążycu... staję na usługi, co każecie? zawołał z progu.

— Selce, dusko... kładnąc mu ręce na ramieniu odezwał się Chorążyc, ty wis ze ja ciebie, dusko, kocham... Jus ja tobie dam konika z zędem... złób mi laskę.

— Panie — co rozkażesz... cały na usługi.

— Tak — ale sa! sa! palec na usach kładnąc — rzekł Chorążyc — bo to delikatna materya... o! delikatna...

Odprowadził go do pół pokoju, nachylił mu się do ucha:

— Seklet! panna Ulsula się zakochala! Plasnął w ręce, pisarz załamał dłonie. — Ją koniecznie tseba ozenić!

— Z kim?

— Z Holwatem...

Wpatrzył się w Pisarza, który nic nie mówił i słuchał.

— Wpadla do mnie, mówię tobie w sekleciku — jak salona! plac! zgzytanie zębów... smierć! stluchlalem! tseba ją ozenić...

— Chyba żeby za mąż poszła... poprawił Pisarz...

— To wsysko jedno! ozenić czy zamęzyć! wsysko jedno! — Ja ciebie plosę — zeby nie puscić Holwata, az będzie po halapie!

— Jak to po halapie?

— Wsysko jedno — ty lozumies — po załęcynach! A tseba plędko! plędko... aby nie uciek... bo ona mówi ze umze... a ja nie mogę — co chcialem mówić, żeby ona umalla... Ona umze, ja umze i Ptasińskich niema...

— A niech Pan Bóg broni — zawołał Rotmistrz... Ależ pan byś się też mógł ożenić.

— Nie — nie... ja nie mogę!

— Czemu?

— Święty Pawel powiedzial... tak — święty

Pawel, balzo lozumnie powiezial — że dobze się zenić, ale ze jesce lepiej się nie zenić... Otóż ja chcę zlobić jesce lepiej.

Rotmistrz ruszył ramionami i podumał: potym za kolana ścisnął Chorążyca.

— No, słowo się rzekło... dobrodzieju... powiedziałeś że dasz konia z rzędem.

— Jak to? konia z zędem? zdumiony odparł Chorążyc — i z zędem!

— Słowo się rzekło!

— No... to widzis — rzekł Chorążyc — kiedy slowo się zekło, to tylko kobyla była u plotu... dam kobylę...

A po chwili namysłu dodał:

— Dam juz konia! co lobić... ale ty jego zaręcz...

— Zaręczym go! daję słowo... rzekł Rotmistrz, tylko proszę na jutro sąsiadów na obiad zebrać, zatrzymać na wieczerzę i piwnicy nie żałować, a wszystko pójdzie po myśli.

— Lób sobie co chcesz... plenipotencye ci daję...

Pisarz się skłonił — Bądźże Chorążyc spokojny... a spuść się jak na Zawiszę...

Chorążyc ukląkł się modlić płacząc, a potym wypiwszy szklankę wody spać się położył.

Nazajutrz przybył niespodzianie Żagiel i trafił na pierwszego pana Pisarza który się nadzwyczajnie krzątał, poszeptali z sobą i poszli razem. Ruch we dworze był wielki, goście z sąsiedztwa sproszeni zjeżdżali się na obiad, pod pozorem jakiegoś anniwersarza. — Chorążyc wystroił się jak lalka porcelanowa w jasne barwy, przyjmował wszystkich, ściskał, rozczulał się i po domu oprowadzał — z ukosa spoglądał kiedy niekiedy na pisarza, a ze szczególną atencyą obchodził się ze Staszkiem Horwatem... Przed podaniem do stołu wyszła i panna Chorążanka bardzo wystrojona, w kanakach, koronkach i od jedwabiów... Sąsiadów już przed zupą nastrojono do dobrego humoru kilkakrotnemi kielichami pięćdziesięcioletniej litewskiej starki.

Pisarz pilnował Staszka, który dosyć miał słabą głowę, aby pił jak drudzy, naprzykrzał mu się nawet nieco, ale na swoim postawił. Żagiel którego zapoznano z Horwatem bliżej, także przylgnął do niego. Obiad był suty co się zowie i przeciągnął się długo, a gdy od stołu wstali ogromne baterye butelek czekały na gości w bocznej salce, którą Chorążyc nazywał *histolycną* dla tego że dwóch królów i jeden biskup wisieli na ścianach.

Staszek Horwat, który u stołu naglony

był niepomiernie aby do kielicha dotrzymał, zaraz po obiedzie ujęty przez Żagla, musiał pójść pić z innymi do historycznego salonu...

Tu mu na piękne dolano... a gdy już był w różowym humorze co się zowie, puszczono go swobodnie.

Spiskowym wszystko się jak najśliczniej składało, Staszek bowiem salwujący resztę rozumu znalazł się wychodząc przy Chorążance, z którą przy dobrym rezonie wdał się w czułą rozmowę. Serce czułe zmiękło mu jeszcze od wina, oczy panny Urszuli do reszty je pokonały...

Zostawiony prawie sam na sam, przechadzał się po pałacu, aż do gabinetu z alabastrową lampą w końcu znajdującego się doszedłszy ze swą towarzyszką. Tu przysiedli, a że się biedakowi nogi plątały, niezmiernie był rad tej stacyi. Więc na nowo poczęło się gołębie gruchanie, pół żartem, pół do prawdy...

— Żadnemu z was, moi panowie, mówiła panna Urszula, nigdy zawierzać nie można... Przysięgacie, obiecujecie, a potym fru! i uleciał ptaszek!

— Panno Chorążanko dobrodziejko! zawołał z zapałem starego węgrzyna Staszek — nie przeczę są ludzie płosi... ale są serca wierne... a miłość prawdziwa...

— A gdzież prawdziwa...? i poczym ją poznać? spytała Chorążanka.

— Po gwałtowności jej... Jedno wejrzenie ją zapala... O! pani!

— Tu się wstrzymał, a p. Urszula dodała cicho... — Mów pan...

— Kobiece serca są płoche... nasze...

— Kobiece serce raz się oddaje na wieki.

— A! pani! powtórzył Horwat — miłość prawdziwa...

Tu ujął ją za rączkę, był trochę pijany.

— Co za śliczna rączka! pocałował.

— Szczęśliwy co ją będzie posiadał... Rączka się nie usuwała... czułe jej spojrzenie towarzyszyło...

— O pani! nie mógł się jakoś zebrać na jaśniejsze wynurzenie swych uczuć. Gdybym śmiał...

— To co? spytała panna Chorążanka.

— Ale to być nie może...

— Dla czego? cicho szepnęła panna Urszula..

— Ja się boję...

— To się pan nie bój... A gdybyś się nie lękał — to co?

— A! pani... to bym sięgnął po tę śliczną rączkę...

— Spróbuj pan... Jakże się to w takim razie postępuje... pokaż mi pan...

Staszek wciąż niby żartami, zerwał się z kanapy, przykląkł na jedno kolano i całując rączkę — zawołał:

— Królowo serca mego!

Nie miał czasu dokończyć gdy zaczajeni znać goście z bratem panny na czele, wpadli z kielichami do gabinetu. Chorążyc szedł przodem oblewając podłogę i wołał.

— Oświadczyl się! oświadczyl się! Vivat! państwo mlodzi. Vivant!

W tej chwili pocałował Staszka w głowę i z kielicha wino wylał mu za kołnierz... Chorążanka niby zawstydzona zrywała się i uciekać chciała, ale dokoła był tłum winszujących i zapijających. Horwat ani mógł ani umiał się wycofać. Znaleziono go na kolanach przed panną..... rzecz była tak oczywista iż się oświadczać musiał, iż nie pozostawało nic tylko zamienić pierścionki... Chorążanka niby zmuszona przez brata oddała z palca soliter, a że Horwat nie miał nic oprócz sygnetu z krwawnikiem, zdjęto mu herbowny klejnot który panna Urszula tymczasowo przyjęła...

Natychmiast zalać trzeba było winem niespodziane szczęście, Horwat z rozpaczą i szałem pił, i gdy się uczta owa skończyła, praw-

da przyznać każe iż go Żagiel z pisarzem wziąwszy pod ręce zanieśli bardziej niż zaprowadzili do łóżka, położywszy na spoczynek, a dla bezpieczeństwa jeden z nich został na straży.

Noc miał narzeczony panny Urszuli niespokojną, dwa razy z garderoby przynoszono rumianek,.. ale nakoniec usnął snem głębokim i spokojnym i w zapomnieniu trosk żywota dotrwał do godziny dziesiątej rano. — Wszyscy we dworze już byli powstawali, gdy się przebudził; ale przetarłszy oczy nie pamiętał nic a nic, oprócz że wczoraj niepomiernie kieliszka nachylał.

Jeszcze z głową ciężką wydobywać się próbował z pościeli, gdy nadbiegł Chorążyc żałować go już jako szwagra w sposób bardzo czuły, ale nie mniej uprzykrzony.

— Selce, dusko... jak się tobie spalo? bo my wszyscy wcola... pohulali...

— Jakoś mnie głowa boli...

Nad łóżkiem stał też Żagiel i Pisarz. — Oba się śmieli.

Zaczęto bzdurzyć o tym i owym — ale Chorążycowi pilno było do rzeczy.

— Moja dusko, blacisku — bo ja ciebie juz od dzisiejsego dnia blaciskiem nazywać będę. Kiedyż będzie wase wesele?

— Jakie wesele? zapytał odurzony Staszek.

Wszyscy się niezmiernie zgorszyli.

— Cóż pan żartuje czy co? zawołał Pisarz. Spojrz że pan na rękę — wszakżeś pan się zaręczył z Chorążanką... sto osób było świadkami...

Horwat popatrzał na palce —, zobaczył pierścień, powoli z głębia pamięci dobyły się połamane dnia wczorajszego wspomnienia. — Stało się! — Przekonawszy się iż był zaręczonym, poddał się wyraźnej woli opatrzności i został u Ptasińskich dla dalszej narady o przyszłym weselu.

Żagiel który tylko przebudzenia czekał i ostatecznego na czczo utwierdzenia zaręczyn, poleciał na powrót do księżnej.

Tak się w sposób nader niespodziewany skończyła historya, której wcale zrazu inne rozwiązanie prorokować było można.

Gdy Żagiel przybył ułożono tak, aby znowu w czasie obiadu, niby niespodzianie nadjechał. Zrobiono mu miejsce, a księżna jakby o niczym nie wiedząc, spytała go głośno.

— Gdzieżeś to asindziej znowu bywał?

— Zabawiłem się trochę dłużej, odparł *amanuensis*, bo mnie tam u tych Ptasińskich zatrzymało... nie było sposobu się wyrwać...

Wpadłem na same zaręczyny tym razem... i to uroczyste...

— Czyje?

— A, panny Chorążanki z panem Horwatem...

Domcia która pierwszą razą na wiadomość podobną pobladła, teraz się tylko mocno zaczerwieniła, spuściła główkę i zaczęła pośpiesznie zajadać z talerza.

— No? jakże? poszczęściło się przecie raz temu biednemu Horwatowi? dorzucił Zbisław — na prawdę?

— Mówię państwu, byłem na zaręczynach, a odbyły się przypadkowo tak uroczyście jak rzadko które... Dzień tam jakichś urodzin wypadał, było mnóstwo gości, piliśmy okrutnie. — Pan Stanisław głowa nie tęga, uszedł nam z placu, wysunął się z Chorążanką romansować... W chwili gdy przed nią na kolana padł, zjawiła się kompania cała — Vivant! i oblano pierścionki węgrzynem, a brat panny bodaj czy z pół kielicha przyszłemu szwagrowi z radości nie wylał za kołnierz... Najśmieszniejsza rzecz iż nazajutrz Horwat, dopiero pierścień na palcu zobaczywszy..... przypomniał sobie iż wolność postradał... Teraz tylko o wyznaczenie dnia na wesele chodzi.

W czasie tego skróconego przez nas opowiadania Domcia czerwieniała, łzy się jej kręciły w oczach, usiłowała ukryć wzruszenie, ale szczęściem przytomni począwszy od księżnej przez grzeczność i delikatność udawali, że wcale na nią nie patrzą. Miała więc czas ochłonąć, przyjść do siebie, gniew wziął górę nad innemi uczuciami i gdy od stołu wstali, podała sama rękę mężowi. Nie sprzeciwiała się też wcale powrotowi zapowiedzianemu do domu...

Zbisław miał tyle mocy nad sobą iż ze zwycięstwa nie szukał chluby i skromnie się znalazł... Nazajutrz tylko sproszono sąsiedztwo całe do Żmurek i odbyło się dopiero weselisko co się zowie, na którym i księżna Jejmość i matka pani młodej i stryj i ksiądz proboszcz co ślub dawał, wszyscy byli, śmieli się i radowali pojednaniu nowożeńców.

Na pociechę też Zbisława dowiedział się tego samego dnia, iż panna Aniela zaręczoną została z wołyniakiem, który już od dawna próżno o nią konkurował...

EPILOG.

Było to wkrótce po roku 1831... i jeszcze burza co przeszła warczała zdala nad krajem piorunami bijącemi w oddaleniu, błyskało jeszcze na niebie naszym, a już po ucisku jak po gradzie i nawalnej ulewie zieleniały trawy i szmaragdowały się drzewa. Znajdowałem się naówczas w Lubelskim, pełnym smutku po wygnańcach dobrowolnych, po ofiarach krwawych, po ruinach dusznych i cielesnych... W każdym domu trafiało się to na opowiadania walk, to na sceny drgające ledwie odegranej tragedyi; a pomimo to coś było naówczas w narodzie żywo odradzającego zeń siłę do nowego bytu... Wszystkie te straty święte do ofiar nie zniechęciły — ucisk Mikołajewski znoszono z uśmiechem.. a w kół-

ku domowym cicho rozlegał się śpiew — „*Trzeci Maja*“ i „*Cześć polskiej ziemi*“. — Były to jeszcze czasy lepsze... świeżo w walce splecione dłonie synów Polski jeszcze bratnim witały się drżeniem i nie wymyślono jeszcze dzisiejszych podziałów które odcinają jednej matki dzieci od siebie — o! lepsze i świętsze to były czasy.

Jeżdżąc od domu do domu zbierałem legendy o wojnie i powieści o wojakach, płakaliśmy z nieznajomemi razem... potym nagle przychodziła chwila szału i szedł kielich z rąk do rąk i śmiała się nadzieja, starzy i młodzi szeptaliśmy sobie

— Bóg sprawiedliwy!

W tej na poły wesołej, pół bardzo bolesnej wędrówce, gdzie nieraz o opalony i zrujnowany dwór i kulami poprzeszywane ściany oprzeć się było trzeba — zajechaliśmy raz w okolicę Żmurek... Krewny nasz mieszkający w pobliżu powiada mi wieczorem jednego dnia: Jutro musiemy pojechać w odwie-

dziny, zaproszeni jesteśmy i my i całe sąsiedztwo na rzadki obrząd...

— Cóż to takiego? spytałem...

— Złote wesele u starych Wierzchowskich...

— A no! dobrze, pojedziemy na złote wesele... Jakoż w istocie nazajutrz wybraliśmy się naprzód wprost do owego kościołka, gdzie, jakem się dowiedział później, pierwszy ów ślub przerwany przed laty dany był panu Zbisławowi i Domci... Mimo policyi, wojska i nadzoru trwożliwego Moskali, którzy dwudziestu ludzi zgromadzonych na zabawę obawiają się jakby dla państwa niebezpieczeństwem grożącego wypadku — zebrało się do kościoła prawie całe sąsiedztwo... bo złote wesele nie często się przytrafia...

Już nad wieczór ujrzeliśmy paradne powozy Wierzchowskich ciągnące od Żmurek, ludzie z bukietami, konie we wstążkach, a kompania niemała, bo dzieci, wnuków i prawnuków razem liczyło się do osób ośmdziesięciu... Gdy to zaczęło wysiadać było na

co patrzeć. Od najświeższej wiosny i dziecią-tek na paskach do posiwiałych już mężczyzn, wszystkiego było po trosze. — Alem najciekawszy był państwa młodych, którzy osobną przybywali landarą, cztery śliczne szpaki ich wiozły... Zbisław wyglądał jeszcze rumiano i zdrowo, tylko kresa na głowie łysej zupełnie znaczniejszą była niż kiedy; jejmość maleńka, nieco otyła ale ruchawa zachowała przy wieku podeszłym ślady dawnej piękności. Cała była ubrana biało, a mąż w taratatce granatowej, bo już polski strój został zakazany — choć na jednę nogę zakuliwał, zachował swą piękną postawę i miał jeszcze coś młodego w sobie mimo wieku... Wziąwszy się pod ręce razem szli do kościoła, a za nimi trzej synowie, dwie córki, wnuczki, wnuki żonate i prawnuczęta w białych sukienkach z bukietami, z dziecinną wrzawą wesołą. Wszystko to razem otoczyło ołtarz i parę sędziwą, do której przemówiwszy i dając im poświęcane laski kwieciste, pobłogosławił nowy ksiądz proboszcz. Na chórze zagrzmiało *Te*

Deum, wyszliśmy wszyscy po obrzędzie rozczuleni, zapłakani a weseli i jechaliśmy wśród okrzyków do Żmurek, gdzieśmy się ledwie pomieścić mogli, tak nas było pełno. Pomimo że z rodziny brakło jednego syna i dwóch wnuków którzy wyszli z emigracyą za granicę — jeszcze naówczas nikt powrotu nie tracił nadziei, a stary Zbisław klął się że nie umrze aż Polskę całą i zmartwychwstałą zobaczy.

Przyglądając się temu rozczulającemu obrazowi uczty rodzinnej i twarzom jasnym dwojga staruszków, a nie znając wcale przeszłości ich, odezwałem się do krewnego z którym przybyłem...

— Otóż to prawdziwie szczęśliwe stadło, na którym znać że je miłość prawdziwa skojarzyła, a nie rozkaz rodzicielski, ani jakaś fantazya swatów...

Krewny mój śmiać się począł.

— Znać, rzekł, że wcale nie słyszałeś o panu Zbisławie, jego dziejach i sławnej a osobliwej przygodzie która to małżeństwo po-

przedziła. Masz tedy wiedzieć, że się zrazu pobrawszy rozstali, że panna doń nie miała serca i że ją zdobywać musiał... powtóre...

P. Zbisław opowiadać lubi, jeśliś ciekaw a posłuchać masz wolą, nastręczę ci sposobność w tych dniach z ust jego własnych dowiedzieć się o historyi tego osobliwszego małżeństwa, które się poczęło wojną a skończyło miłością, pożyciem najszczęśliwszym; i ułagodzeniem charakteru człowieka, który przed ożenkiem za awanturnika uchodził i zwan był powszechnie Szaławiłą...

Nie potrzebuję nawet mówić żem z ochotą przyjął zapowiedzianą mi powieść i pozostał dla niej parę dni dłużej. — Trzeciego czy czwartego potym dnia przybyli państwo Zbisławowstwo i przy kieliszku stary rozochociwszy się jął nam historyą swą, tak jakeśmy ją tu powtórzyli... ze wszystkiemi szczegółami powtarzać może poraz setny.

— Hej! mospaneńku — dodał w końcu... co to gadać — poczciwa a mądra kobieta co zechce z człowieka zrobi, nie potrzebując go

ani pod pantoflem gnieść, ani za nos ciągnąć... bo go za serce chwyciwszy poprowadzi jako się jej zda...

Bałem się zrazu, aby w Domci affekt się później do onego białokurego nie odezwał, alem prędko uspokoił się zobaczywszy go w kilka lat potym tak zbiedzonego i ogłupiałego jak Chorążyc, i po nieboszczyku zajmującego wakujące krzesło gospodarskie..... jeszcze mu do innych przymiotów przybył nieborakowi nos czerwony... Niewiem jakim to sposobem się dzieje, że ci co rozumnie jakoś piją to im nie idzie ani do głowy ani do trąby... a takim jak Staszek wnet się kameryzują i policzki i nosy... Spotykaliśmy się potym na świecie wiele razy... i Domcia Panu Bogu dziękowała że za tego mazgaja nie wyszła, a jam też miał za co się modlić, że mi Opatrzność taką dała żonę. Wychowaliśmy na pociechę sobie i krajowi poczciwe dzieci... i mogę powiedzieć śmiało żem był w życiu szczęśliwy jak mało... Gdyby jeszcze ojczyzny doczekać!

Westchnął stary. — Naówczas tym życze-

niem kończyło się wszystko, inaczej serca biły, innemi uczuciami żyli i oddychali ludzie... Przyszły nauki nowe, prorocy nowi, wagi i miary i zasady i prawdy inne... a co stare... legło w mogiłach. Dziś wzdychając tylko napisy na nich czytamy...

Koniec.